



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

LISTOPAD - GRUDZIEŃ 6 (53) 1999

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH · WROCŁAW



St. Tondos mal.

Wesołych Świąt

Spis treści

Życzenia Świąteczne	1
Kolęda Lwowska – wiersz – Marian Hemar	1
Boże Narodzenie – święta wspomnień – Danuta Śliwińska	1
Rozmyślania na koniec wieku – Jerzy Masior	3
Lwowska kolęda na koniec wieku - śl. Jerzy Masior, muz. Juliusz Wesolowski	5
Bolesne powroty – Stanisław Srokowski	6
Asymilacja ludności napływowej. II. Niemcy – Stan Scheller	7
Z dziejów Ziemi Radziechowskiej – Tadeusz Kukiz	10
Moje wojenne edukacje – Tadeusz Łaszkiwicz	12
Narodziny „Pogoni” Lwów – Jerzy Duda	15
Jakub Potocki, twórca Fundacji do Badań nad Rakiem i Gruźlicą, mecenas sztuki, Honorowy Obywatel Miasta Brzeżan – Adam Wićcek	16
Wspomnienie pogromu wsi Parośle – Wiesław Skibiński	18
Wspomnienia (c.d.) V - Franciszka Grodecka	18
Wisna – Wisznia – Sądowa Wisznia – Roman Wójcicki	21
UROCZYŚCZOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW	
60 rocznica WRZEŚNIA 1939 – Alfred Janicki	23
Wystawa w Muzeum im. Dzierzona w Kluczborku „Kresy Południowo-Wschodnie w poezji i mojej pamięci” – Stanisław Rakowski	24
Powstanie Makroregionu Południowo-Wschodniego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich – Opracowała Jadwiga Sibiga	25
XI Konferencja Makroregionu Południowo-Wschodniego w Tarnowie 6.11.1999	29
X-lecie Oddziału Bydgosko-Toruńskiego TMLiKPW w Bydgoszczy – Danuta Śliwińska	30
X lat Oddziału TMLiKPW w Katowicach	32
Uroczystość dziesięciolecia powstania i działalności Klubu Terenowego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Kępnie	33
Lwów zawsze wierny – Bożena Mielcarek	34
Brzeskie „Madonny Kresowe” – Zbigniew Grata	35
W czasie wojny na Kresach, Wołyń – Lwów – Podole – Barbara Charewicz-Wiśnicka	36
Wspomnienia z podróży łodzią z Przemysła na Hel (Przedruk z kwartalnika „Turysta Polski” z r. 1931 nr 2)	38
Wspomnienia o Franciszku Leskim (1886-1959) – Helena Leska	40
Koniec polskich wakacji (Przedruk z „Przemiany na Szlaku Piastowskim” nr 31 z dn. 30.07.1999 r.)	41
Swoim rodakom (Przedruk z „Nasze Przemiany” nr 22 z dn. 28.05.1999 r.)	41
LISTY DO REDAKCJI	
List Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddział w Rzeszowie do Jego Eminencji Ks. Kardynała Józefa Glempa Prymasa Polski	42
List Andrzeja Konoplickiego do Redakcji miesięcznika Semper Fidelis	43
Zapomniana lwowska piosenka – Zbigniew Kratochwil	44
List od Prezesa Zarządu Oddziału TMLiKPW w Katowicach mgr. inż. arch. Lesława Hawlinga do Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Zarząd Główny	44
List Sekretarza Generalnego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzeja Przewoźnika do Prezesa TMLiKPW we Wrocławiu	45
List Izabeli, Mieczysława i Romana de Teisseyre do Prezesa TMLiKPW we Wrocławiu	45
List z Przemysła-Twardogóry-Goszcza do Prezesa TMLiKPW we Wrocławiu	45
List TMLiKPW Oddział w Gnieźnie do Komendy Hufca ZHP w Gnieźnie	45
Lwowska ulica w okresie międzywojennym	46
WCZORAJ, DZIŚ, JUTRO	
Kronika Kresowa – Zbigniew Umański	47
Kwsta w kraju na odbudowę Cmentarza Orłąt Lwowskich i Łyczakowskiego	50
Poszukiwania	50
Podziękowanie	50
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	
Wspomnienie o Zofii Orliczowej – Tadeusz Tomkiewicz	51
Śp. Mieczysław Holz (1916-1999) – jeleniogórzanin o lwowskim rodowodzie (słowa pożegnania) – Zbigniew Domosławski	52
Ku czci i pamięci – Bogdan Skotnicki	53
Errata do Nr. 5 (52) 1999 r.	53

Czasopismo jest współfinansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Ministerstwo Kultury i Sztuki

<i>Redaguje Kolegium:</i>	Danuta NESPIAK, Jerzy PETRYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Zbigniew UMAŃSKI.
<i>Redaktor naczelny:</i>	Andrzej KAMINSKI
<i>Właściciel tytułu i adres redakcji:</i>	Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, tel. 344-88-93; konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-99192-270-1-111
<i>Wydawca:</i>	Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” (adres i telefon jak wyżej). Zarząd: D. TABIŃSKA-JUHASZ – dyrektor, Z. BAKULIŃSKA, Z. UMAŃSKI.
<i>Konto bankowe Fundacji Kresowej „SF”:</i>	PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111.
<i>Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.</i>	



Kartka świąteczna ze zb. A. Kaminskiego – 1926 r.

*Dostatku
Sily i spokoju ducha
Na Święta i Nowy Rok
Niech Boże Narodzenie
Będzie świętem radości i dobroci,
A rok 2000 nadzieją
Na spełnienie pragnień*

życzy Redakcja

Marian Hemar

Kolęda Lwowska

*Tutaj do szkoły On, do świętej Anny chodził,
Tutaj kasztany zbierał w Jezuickim Ogrodzie,
Tu w Lyczakowskim Parku zielone pagórki,
Tam biegał na wagary i karmił wiewiórki,
A one z topoli zlatywały susem
I na ścieżce siadywały przed Panem Jezusem
We Lwowie, we Lwowie.*

*Tu On się w Stryjskim Parku uczył do matury,
Tu, z Wysokiego Zamku, z Cytadeli Góry,
Na swoje śliczne miasto patrzył w zamyśleniu,
Gdzie na kamieniu kamień, kamień na kamieniu,
Gdzie za tramwajem, tramwaj za tramwajem,
I choinki na Wałach, zielonym gajem,
We Lwowie, we Lwowie.*

*Tutaj na Kaźmierzowskiej, czy na Batorego,
Człowiek szedł, niewiedzący otarł się o Niego,
Aż kiedyś Matkę swą ostawił jak sierotę
I on sam jak sierota poszedł na piechotę,
Poszedł na poniewierkę, na tułaczkę srogą,
Het precz, za rogatki, niewiadomą drogą
ze Lwowa, ze Lwowa.*

*A potem się rozeszły po całym mieście
straszne pogłoski jakieś i szeptane wieści,
Że On na krzyżu zginął, na obcej ziemi,
W cierniowej koronie, z dłońmi przebitymi,
Ażeby męką swoją cały świat zasmucić
I miasto swe odkupić. I zza grobu wrócić
Do Lwowa, do Lwowa.*

Danuta Śliwińska

Boże Narodzenie – święta wspomnień

*„Najważniejsze jest to by gdzieś
istniało to czym się żyło. I zwyczajem.
I świętami. I dom pełen wspomnień...”*

A. Saint-Exupéry

Przez całe życie pamięta się Wilie z dzieciństwa. One zawsze pozostaną najpiękniejszymi, najbardziej kolorowymi. I ta atmosfera przedświąteczna i dom pachnący gałązkami świerkowymi, ciastem, pieczysem i ... świętami. I to wyczekiwanie w radosnym nastroju na pojawienie się pierwszej gwiazdki na ciemnoszafirowym, lwowskim niebie. Miało to coś z magii; wszystkim domownikom, a zwłaszcza dzieciom udzielał się nastrój podniecenia, wzruszenia. Kiedy gwiazdka zabłyśła – lamaliśmy się oplatkiem, składali sobie życzenia, stawaliśmy się sobie bardzo bliscy. I dzisiaj w takiej chwili wracamy myślami do dzieciństwa i wspominamy tych, którzy odeszli, których zabrakło przy wspólnym stole. Jednocześnie jesteśmy pełni pokoju, szczęścia i nadziei. W ten jedyny, niepowtarzalny dzień w roku łączymy się myślami z naszymi Rodakami we Lwowie, na Kresach. Wierzmy, że

kiedyś dla nich zaświeci jaśniejsza gwiazda i uporają się z kłopotami dnia codziennego.

Najpiękniejszym zwyczajem staropolskim i lwowskim było zapraszanie na Wilie osób samotnych. W ten wieczór nikt nie powinien być opuszczonym i samotnym. Niestety dzisiaj, w coraz bardziej zmaterializowanym świecie – często zapomina się o tym zwyczaju.

W ciepłych płomykach świec, przy wigilijnym stole dzieci wpatrzone były w drzewka tonące w powodziach złotych, srebrnych, białych i innych kolorów i czekały z niecierpliwością na chwilę, kiedy można było rozdawać i rozpakowywać podarki. A później – śpiewanie kolęd.

Kolędy polskie, pastorałki, należą do klejnotów polskiej pieśni religijnej. Spotykamy w nich melodie w rytmie ludowych tańców jak mazura, krakowiaka, poloneza, oberka. Fryderyk Chopin przebywając daleko poza krajem wyraził swą wielką tęsknotę za Polską wplatając w Scherzo h-moll – melodię popularnej kolędy „Lulajże Jezuniu...”.

Również na obczyźnie w tęsknocie za Lwowem tworzył Marian Hemar. Oto pierwsza i ostatnia zwrotka „Kolejdy lwowskiej”, napisanej w Londynie:

*„Tutaj do szkoły On, do świętej Anny chodził,
Tutaj kasztany zbierał w Jezuickim ogrodzie,
Tu w Łyczakowskim Parku zielone pagórki,
Tam biegał na wagary i karmił wiewiórki,
A one z topoli zlatywały susem
I na ścieżce siadywały przed Panem Jezusem
We Lwowie, we Lwowie.*

*.....
A potem się rozeszły po całym mieście,
Straszne jakieś pogłoski i szeptane wieści,
Że On na krzyżu zginął, na obcej ziemi,
W cierniowej koronie, z dłońmi przebitymi.
A żeby męką swoją cały świat zasmucić
I miasto swe odkupić. I z za grobu wrócić
Do Lwowa, do Lwowa.”*

Święta Bożego Narodzenia, a zwłaszcza Wilia to bardzo ważna kulminacja roku kulinarnego dla każdej gospodyni. A kuchnia – to mnogość zapachów, aromatów i te wspaniałe potrawy wg przepisów przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Smak i ceremoniał tradycyjnych i wigilijnych potraw pozwalają sięgać wspomnieniami w przeszłość i marzeniami w przyszłość.

A oto dalszy ciąg rodzinnych przepisów wigilijnych (poprzednie w nr. 4 (17) 1993 r. w „Mojej wili w Snopkowie” i w nr. 6 (47) 1998 r. w „Naszej Lwowskiej wili”):

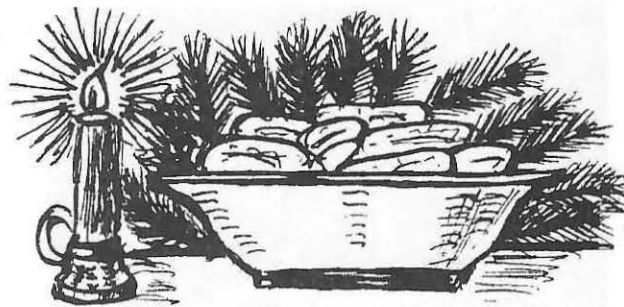
1. Zupa grzybowa

5 dkg suszonych grzybów borowików zalewamy 1 litrem letniej (przegotowanej) wody i pozostawiamy na 3 godziny. Następnie gotujemy w tej samej wodzie, w której się moczyły – do miękkości. Osobno obieramy 3 marchewki, 2 pietruszki, 1 seler, 2 pory, 1 cebulę, wszystko drobno kroimy i lekko dusimy z łyżką masła. Tak przygotowane warzywa zalewamy 1 litrem wrzącej wody, solimy i gotujemy do miękkości. Grzyby odcedzamy z wywaru i drobniutko siekamy. Wywar z warzyw odcedzamy, łączymy z wywarem z grzybów, dodajemy grzybki i solimy oraz pieprzymy do smaku, na końcu wrzucamy łyżkę posiekanej pietruszki. Do takiej zupy oddzielnie gotujemy łazanki i wówczas podając zupę na talerzach zaprawiamy 1/2 szklanki śmietany.

Natomiast do podanej czystej w bulionówkach – jako dodatek możemy dać kapuśniaczki – z kapustą i grzybami.

2. Sandacz z jajami

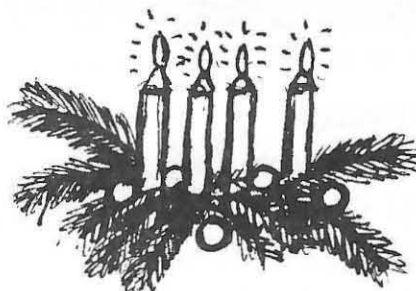
Sandacza oczyścimy, solimy i pozostawiamy tak na godzinę. Osobno gotujemy smak z jarzyn biorąc na 1 litr wody: 2 marchewki, 1



pietruszkę, 1 cebulę, 1/2 selera, 1 por, 3 ziarenka ziela angielskiego, 5 ziarenek pieprzu tureckiego, 1/2 łyżeczki tymianku, 1/2 łyżeczki cząbrzu. Gdy jarzyny są miękkie odcedzamy rosół i po ostudzeniu zalewamy nasolonego sandacza i gotujemy krótko oraz pozostawiamy w rosole na 1/2 godziny, żeby nabrał smaku. 3 dkg masła rumienimy na patelni, dodajemy posiekaną zieloną pietruszkę, wsypujemy poszatkowane 4 jaja ugotowane na twardo i silnie podgrzewamy. Sandacza układamy na półmisku, kropimy sokiem z 1/2 cytryny, polewamy 4 dkg zarumienionego masła oraz posypujemy jajami z zieloną pietruszką.

3. Karp zapiekany

Oczyszczonego karpia gotujemy krótko w osolonej wodzie (żeby był na pół twardy). Następnie wybieramy grubsze ości, układamy na



żaroodpornym półmisku, polewamy sosem beszamelowym, do którego dodajemy białego pieprzu. Posypujemy grubo posiekanymi orzechami włoskimi (5 dkg), startym serem żółtym (4 dkg), najlepiej parmezanem, całość skrapiamy mocno roztopionym masłem i wstawiamy do gorącego piekarnika. Ryba jest gotowa, jak sos jest przyrumieniony.

4. Łazanki z kapustą

Z 25 dkg mąki, 2 jaj i kilku łyżek wody zagniatamy twarde ciasto, rozwałkujemy cienko na placki, podsuszamy, a następnie kroimy w paski, a później w kwadraciki. Rozsypujemy na stolnicy do przeschnięcia. Gotujemy w osolonym wrzątku z dodatkiem 1-jej łyżeczki masła. Po odcedzeniu, przelaniu zimną wodą, osączeniu, mieszamy łazanki z jedną łyżką masła. 3 dkg suszonych grzybów, najlepiej borowików, moczymy przez noc, a następnie gotujemy do miękkości w tej wodzie, w której się moczyły. Grzyby odcedzamy, wywar zachowujemy. Oddzielnie gotujemy 1/2 główki słodkiej kapusty, a po ugotowaniu wyciskamy z wody i drobno siekamy. Siekamy również 30 dkg kiszzonej kapusty. Obieramy jedną cebulę, kroimy w drobną kostkę i wrzucamy do rondla na roztopioną 1-ą łyżkę masła. Jak cebula się zeszkli, dodajemy drobno pokrojone grzybki oraz posiekaną kapustę słodką i kiszoną, dusimy pod przykryciem ok. 1 godziny. Kiedy płyn wyparuje, podlewamy wywarem z grzybów. Przyprawiamy solą i pieprzem do smaku. Następnie przekładamy warstwami do wysmarowanego tłuszczem i wysypanego tartą bułką żaroodpornego naczynia – łazanki – kapusta – łazanki itd., na wierzchu powinny być łazanki. (Możemy też gorącą kapustę z



grzybami wymieszać z łazankami i tak wypiekać.) Całość kropiemy obficie roztopionym masłem i zapiekamy w piekarniku ok. 1/2 godziny.

5. Kompot z fig

1/2 kg fig po wymyciu moczymy w 1/2 litra wody przez noc. Na drugi dzień gotujemy figi w tej samej wodzie co się moczyły, dodajemy sok z jednej cytryny, 3 łyżki cukru i kawałek skórki z cytryny. Gotujemy do miękkości ok. 5-10 minut. Tak przygotowany kompot podajemy oddzielnie, możemy też połączyć z kompotem ugotowanym z suszonych śliwek lub same ugotowane figi dodać do mieszanych kompotów.

6. Pierniczki

Do wysypanej na stolnicy 1,5 szklanki mąki wlewamy 1/2 szklanki miodu zagotowanego z łyżeczką korzeni mielonych (tj. cynamon, goździki, gałka muszkatołowa), siekamy nożem, a po przestygnięciu dodajemy 1/2 szklanki cukru, 1 płaską łyżkę masła, całe jajo i 1/2 łyżeczki sody oczyszczonej. Wyrabiamy ciasto. Rozwałkowujemy jak na kluski grub. ok. 1/2-1 cm. Wykrawamy foremkami kółka, gwiazdki, półksiężycy, smarujemy jajkiem i na środkach układamy 1/2 migdała bez łupiny. Pierniczki kładziemy na posmarowaną tłuszczem blachę i pieczemy ok. 10 minut w gorącym piekarniku. Pierniczki należy trzymać w słojach, gdy skruszeją są wyborne, świeże po upieczeniu są twarde. □

Pamiętanie, ale jakie

Jerzy Masior

Rozmyślenia na koniec wieku

Czas jakiś okrągły się zamyka i w dodatku bardzo dla mnie późny, a ja jeszcze tyle mam do napisania. Mógłbym to zrobić wierząc w kolejne wcielenia po 2000 roku, ale nie mogę. Chyba wiecie dlaczego. Tłumaczenie Wam tego, drodzy Czytelnicy byłoby chyba nietaktem, a takowych jak i wszystkich niemiłych sytuacji, zwłaszcza po spotkaniu prezesów naszego Towarzystwa w Brzegu, wolę unikać. Mam potem niespokojne i krótkie sny, a na to pozwolić sobie już nie mogę. Dawniej, jeszcze we Lwowie i przez parę lat we Wrocławiu to co innego. Sny mogły być dosadne, dramatyczne, wręcz... namacalne. Jakiś tam zawód po przebudzeniu niekiedy bywał, ale z dzisiejszej perspektywy to już głupstwo. Snów z Brzegu, nawet przedwyborczych, mieć nie chcę, bo nuż wyśnię nie tak jak potrzeba i będzie chryja... Przepraszam, zapomniałem, mogę śnić, ale tylko o Lesznie, a właściwie o porannych spacerach z moimi artystkami po wiosennym parku pałacowym w Rydzynie: z Kingą, Kasią, Moniką. Tylko nie myślcie sobie byle czego, bom już rupieć stary i powietrze ze mnie uchodzi...

W ciągu mego przydługiego życia nie udało mi się zapaść na schizofrenię, majaczenia i fantazmaty mnie nie nawiedzały, choć pomysłów przeróżnych, niekiedy „szalonych” (nomenklatura mojej Żony) – miałem na podorędziu zawsze sporo. Z ich realizacją nie zawsze było najlepiej. W grę wchodziły także tzw. uwarunkowania. Zupełnie jak w realnym i też tzw. socjalizmie. Chciało się, lub marzyło niektórym „różowym” jeszcze wtedy, ho! ho! A co z tego wyszło: okrągły stół! A tymczasem koniec wieku za pasem, bo się na ogół wszyscy zmówili, że ten koniec to 31 grudnia nadchodzącego za miesiąc, a to przecież nieprawda, choć ta bardzo zaokrąglona i podwójna data (drugie milenium też wtedy mija) wypada dopiero za rok – też w grudniu – też 31. W rachunkach nigdy celerem nie byłem, ale upływanie tak dużych pojemności czasu i wieku wyliczyć potrafię. A swoją drogą na to upływanie czasu i nie tylko 2000 lat to najlepiej można na... krzemieniach. Są to takie bardzo twarde i niesłychanie dawnego pochodzenia kamienie, ostro łupane samoistnie, obficie rozsypane nad Ikwą pod Krzemieńcem. Takie kamyczki służyły onegdaj człowiekowi do zapalania skrami ogniska, wyrobu narzędzi i grotów strzał. Pomyślcie: ile to lat temu? I dobrze, bo właśnie dlatego z tych skamielin można czytać czas. Nawet gdy zwykliśmy patrzeć wyłącznie do przodu, to oglądanie się wstecz może być pożyteczne. Uczy. Wobec trwania stuleci zbiórka tych tęczywych, twardych kamyczków nad Ikwą, przez dziewczęta i chłopców z IV L.O. z Nowego Sącza to zaledwie chwila,

symboliczny kwadrans pochylenia się nad dawnością. Przywożąc kilogramy tych skamielin z wycieczki. A ja w tym momencie dostrzegam symbolikę i materialną formę czasu. W nadrzecznym rozproszeniu krzemiennej twardości i w pawim ubarwieniu niektórych okazów. Cóż bowiem znaczy nawet 2000 lat wobec nieobliczalnej pory krystalizacji tych kamuszków: trzeba się cofnąć w ery powstania twardości z lawy formującej glob, a to były przecież miliony, a nie okruszyny lat, jakimi są ich milenia.

I jeszcze ta wołyńska gleba i wołyński, łąkowy krajobraz nad Ikwą. Przez lata toczyła się tutaj także historia ludzi. To już nawet nie tak odległe czasy i wielu z nas ona dotknęła. Wprawdzie historią można kręcić, manipulować, bałamucić, ale ta prawdziwa zawsze odnajdzie swą właściwą drogę, by upływowi czasu przydawać wiarygodnych zakończeń – aksjomatów. Tak powinno już być, a nie jest na Wołyniu, Podolu, nad Dniestrem, w Paroślach, Hucie Stepańskiej, Hucie Pieniackiej, w Ostrówku, w Petlikowicach Starych, w Podkamieniu i w setkach innych miejscowości tamtych stron. Wspominam o tym, bo to, że dzieli nas od owych ponurych lat przeszło pół wieku i mamy swoje miejsce na ziemi, na którym doczekamy trzeciego milenium, wydaje się być bez znaczenia wobec lat przeżytych tam. Jakieś miasto, dom, ulicę, zakręt rzeki, widok z okna, horyzont rozległy, nie dający się zapomnieć wakacyjny pejzaż, to wszystko tak niezbywalnie wprowadziliśmy w nasze istnienie, tak nas stygmatyzuje DAWNYM, że mimo krótkotrwania tamtych lat i w tamtych stronach, ustanowiliśmy nasze przybytki czułości i nostalgii. Jakaż magiczna moc była TAM, skoro klamry spinające z utraconymi krainami są tak trwałe, tak wręcz konieczne dla naszej obecnej egzystencji. Czy można wypełniające nas uczucia nazwać banalnie tęsknotą? Znam takich, którym ta „tęsknota” jest balastem, nie mogą z nią normalnie żyć. Bo z nią trwa nierozzerwalnie świadomość posiadania i utracenia. Świadomość, że życie mogło upływać inaczej: ciekawiej, lepiej, bez postojów w miejscach niepożądanych i nieprzychylnych. Chodzi o to, ażeby upływanie życia działo się tam, gdzie był jego początek, gdzie nabieraliśmy umiejętności jego stawania się – spełniania. Takie bowiem uczucia towarzyszą niektórym z nas – w co wierzę – przez cały czas. Być może prostota życia w tamtych latach i tamtych stronach, ów niewątpliwy prowincjonalizm, stały się przyczyną naszych terażniejszych atawizmów. W owych latach łatwiej znajdowało się swoje miejsce na ziemi, bo to nie my, a ona wyraźnie dotykała nas i kształtowała. Myśmy z ufnością poddawali się tej ziemskiej kreacji.

Prowincjonalizm kresów uwypuklał ich ustawiczną ponadczasowość. Tam tak wolno upływał czas, że można było nieustannie być w zasięgu jego początku i końca. Ponadczasowość wyczuwalna była wszędzie, w każdej okolicy: miejskiej i pozamiejskiej – łąkowej, w głębi meandrów rzek Podola, w jego połądowaniu leśno-konopnym, albo kukurydzianym. W zawiłościach pylistych dróg, ale i w jasności myśli. Ponadczasowość była porozrzucana po tych krainach jak krzemienie nad rzeką Juliusza, których tęczowa krystalizacja zaczęła się w prawieku i w nim ginie, a teraz zamknięta w dłoniach uwiera ostrością krawędzi, ale obiecuje trwanie...

Scripta manent – zapisujemy setki stronicy pamięci, myśli powracających TAM i jest właśnie tak jak to lapidarnie i głęboko określił tegoroczny noblista _Günther Grass: „Nie odczuwam tęsknoty za moją małą ojczyzną (Gdańsk, Kaszuby – J. M.). Na jej utratę znalazłem lekarstwo w tym, że mogę o niej pisać. Zdaję sobie sprawę, że już nigdy nie uda mi się w równie jednoznaczny sposób „posiąść” jakiegoś miejsca, „należeć do niego...”. Ale przecież coś za coś – nie wszyscy chcą i potrafią trzymać pióro w rękę by pisać, pisać, pisać! Czy istnieje jakiś inny równoważnik tęsknoty, niż pisanie? Ależ tak, oczywiście. Bo czymże są te przeróżne festiwale piosenki czy bałaku, zorganizowane zespoły uprawiające lwowską muzykę, spotkania działaczy różnej maści i temperamentu, spotkania oddziałowe makroregionów i pielgrzymowanie do miejsc kresowo uświęconych. O naszych lwowskich i kresowych periodykach i zwartych tomach nie wspomnę, bo to pisanina. Ale wydaje mi się, że jej ilość przerasta roczną frekwencję zapisywanego w tamtych stronach papieru przed wojną.

Henryk Zbierzchowski, bard Lwowa, pochowany w 1942 r. w Krynicy w 2 trumnach sposobiony był zapewne do podróży na Łyczakowski Cmentarz. Nie wiem czy było to wołą rodziny czy Poety. Jest wielu takich, którym marzy się tamtejsza Boża Rola, a może i Campo Santo, bo sobie na to walką i życiem zasłużyli. Weźmy pierwszych z niedalekiej przeszłości: W. Szolginia i Z. Ojrzyński, a może i Z. Herbert. Z tym ostatnim to mam wątpliwości: czy aby w ilości napisanych o Lwowie i dla Lwowa strof dorównał Zbierzchowskiemu? Pomijam wysokość lotów muzy. Zapamiętajmy jednak i to, że ziemia cmentarzy lwowskich staje się dla nas jakby mniej przychylna. Wyrósł już gąszcz obcych mogił. Ci pochowani byli najczęściej nam nieprzychylni. Cóż, zapiekłości i czas robią swoje. A my wciąż uparcie żywi i z zaświatów chcielibyśmy tę Ziemię dowartościować swoją w niej obecnością. To jednak myślenie „pobożne”, ponad nasze możliwości i czy nie nazbyt egocentryczne? I, że tak powiem, egzystencjalne.

Za kilkanaście tygodni wkraczamy (niezbyt dokładnie, ale się nam spieszy) w XXI wiek. Wielu spodziewa się niezadługo przełomowych wydarzeń, czasem wręcz katastroficznych lub metafizycznych. Nic z tego, nic nadzwyczajnego się nie wydarzy. Obudzimy się 1 stycznia 2000 r. tacy jacy byliśmy wczoraj – 31 grudnia 1999. Szaleństwo daty i lęki cybepoki powoli ogarniają świat, ale nam przecież powinno chodzić przede wszystkim o losy najbliższej, kresowo-lwowskiej gromady. Tej tu i tej tam. Ubywa nas nieustannie. To dostrzegłem na ostatnim, wrześniowym spotkaniu prezesów oddziałów TMLiKPW w Brzegu. Cóż, wpisana mamy od zawsze przemijalność i wszystkie tego konsekwencje. Jednakże nam, którzy jesteśmy, nie może być obojętny los żyjącej gromady ziomeków. Co nas czeka w wieku, który nadchodzi. Jakie cele i zadania sobie postawimy. Myślę, że ważna jest kontynuacja, że prawie wszystko wiemy o tym co tu i tam. Niezbymalnym obowiązkiem być musi nasz związek z Kresami, z tymi, którzy tam tkwią i stanowią o ciągłości pokoleń i historii, i nie tylko pacierz potrafią odmawiać w języku ojczystym. Te

sprawę uważam za pilniejszą i trudniejszą niż świadectwo cmentarzy z takim trudem odbudowywanych. Trwanie na Kresach: języka, wiary, kultury, trwałych związków osobistych i organizacyjnych, umocnienie roli i praw konsularnych wszędzie tam gdzie istnieją na wschodzie większe skupiska polskie, oto dyktat na bliższą i dalszą przyszłość. Starania o egzekwowanie praw Polaków za wschodnią granicą muszą być autorytarne i bezwzględnie oparte na zasadzie wzajemności. Na tzw. Zachodniej Ukrainie tylko ciężkimi politycznymi kolubrynami można coś uzyskać. Ukraińcy de facto są jeszcze stale podszyci lękiem o swój niezawisły byt i o tym trzeba pamiętać, zwłaszcza tam gdzie dzierży się stery nawy zagranicznej polityki Polski.

Potknięciem ostatnich lat jest zachwianie struktur naszej TML-owskiej jedności, choć nie jest ona aż tak wielka by nasz Wielebny Kapelan Ks. Janusz nazbyt dramatycznie nawoływał do jedności, do konsolidacji szeregów Kresowian. Księżę Januszu, nie jest tak źle! Jeżeli niektórzy działacze górnoląscy dążą do upolitycznienia Towarzystwa, to niech się w tym własnym sosie smażą. Garstka zaledwie opowiada się za tą bardzo polityczną żegluga i jej celami. Zresztą ta cała „polityczność” Towarzystwa i jej praktyka w kontekście naszego już od przeszło 10 lat istnienia jest obecna nieustannie, od samego początku. Tylko ślepcy tego nie postrzegali. A że ktoś ma ochotę na dodatkowe profity i porachunki – Bóg z nim! Szkoda wprowadzić naszych częstochowskich spotkań i pielgrzymowania, ale ta do Dukli, do świętego naszego Patrona – Jana też była udana. Z bieszczadzkiej pustelni wróćmy jednakże Księżę Januszu do Częstochowy. Nie sądzę, ażeby Matce Bożej we Lwowie – mianowanej tam Królową Korony – miłsza była obecność pod Jej Ołtarzem p. Leppera i jemu podobnych niż nasza – kresowa i lwowska. Wracając do Jasnej Góry módlmy się o łaski i wsparcie, którego nam słabym tak bardzo potrzeba, a nie wiecujemy! To nie takie miejsce i nie taka potrzeba. Do M. B. Żołnierskiej dotarli w tym roku tylko niektórzy. Do Królowej Korony Polskiej ze Lwowskim rodowodem i naznaczeniem – chcemy wszyscy.

Mój przykusi felieton (Redaktor i tak będzie narzekał) nie może zgromadzić wszystkiego co wypełnia nasze umysły i serca pod koniec wieku. Np. zaistniała sprawa częstotliwości ukazywania się naszego „SF”. Jeszcze jest od dawna nabrzmiały problem zraszania naszych najmłodszych roślinek – Szkół Orleńczych, którym nie poświęcamy ani w Oddziałach, ani w ZG pieczołowitej uwagi, a przecież myśl kresowa tam właśnie powinna nieustannie kiełkować. Jedynie Janusz Ragankiewicz na estradach Leszna robi co może dla popularyzacji lwowskiego śpiewania. Ten Jego festiwal zasługuje na wyraźniejsze wsparcie Zarządu Głównego. Do wychodzenia naprzeciw, by organizatorzy nie musieli kołatać i kołatać. Ta – już ogólnopolska – impreza musi uzyskać priorytet wśród innych spraw we Wrocławiu. I jest jeszcze tyle różnych przypomnień i zadań, na pewno, nie we wszystkim się ze mną zgodzicie. Ale to tym lepiej, bo zmuszę Was do „pomyślniku”, a może i do chwycenia za pióro. Piszcie Kochani, bo to przecież o nasze sprawy chodzi. Już w wieku XXI. Daj Wam Boży zdrowi w jego latach i trwania, trwania...

Nowy Sącz, w październiku 1999

Od Redakcji: redaktor nigdy nie narzekał i zawsze drukował to co otrzymał od Autora. Oczywiście nie zgadzał się z różnymi wypowiedziami i stwierdzeniami – ale nigdy publicznie nie krytykował. A robili to Czytelnicy. Teraz również traktuje te rozmyślenia jako osobiste a nawet bardzo osobiste wypowiedzi Autora. Wyjaśnienia wymaga sprawa naszego dwumiesięcznika „Semper Fidelis”. Stoję na stanowisku, że powinien to być kwartalnik. Co sądzą o tym Czytelnicy? Oczekuję na listy. (A. K.)

Stanisław Srokowski

Bolesne powroty

I. Urodziłem się na Podolu, w Hnilczu, niedaleko Halicza, nieopodal Stanisławowa, choć moim województwem był Tarnopol, a powiatem Podhajce. Mieszkali tu Polacy, Rusini i Żydzi. W sierpniu 1944 r., gdy miałem osiem lat, bandy UPA napadły na Hnilcze i niemal w całości polską część wsi spaliły. Ja wraz z rodzicami ocalałem. Uratowała nas młoda Ukrainka, Olga Misiuraczka. Ukryła w swojej stodole, a sama uciekła, podobnie jak wszyscy Ukraińcy tej nocy, do lasu. Polacy zostali. Mieli być wymordowani w pień. Jednak dzięki takim sąsiadom, jak Misiuraczka, uniknęli strasznego losu, pokryli się po polach, w bunkrach, w kukurydzy, w zbożu i znaczna większość ocalała. Nie ocalał jednak dobytek. Z gospodarstw zostały tylko ruiny i zgliszcza. Poginęło także wiele zwierząt.

Poświadczenie tego faktu można znaleźć w książce ukraińskiego historyka, którego warto tutaj zacytować ze względu na dość dużą rzetelność opracowania, Siergieja Tkaczowa z Tarnopola, który pisze m.in.: – „Riabenko (sekretarz powiatowy)... powiadamia Komitet Wojewódzki KP(b) U, że z 17/18 sierpnia 1944 r. nocą odbył się silny napad na wieś Hnilcze. Banderowcy zaproponowali wszystkim Ukraińcom wyjazd do lasu. We wsi zostali tylko sami Polacy. W nocy bandyci dokonali napadu, spalili 70% wsi, ostrzelali wieś z karabinów maszynowych zapalnymi kulami, a mieszkańcy w panice rozbiegli się. Bandyci obrabowali wieś i uszli do lasu” (Siergiej Tkaczow – „Polsko-ukraiński transfer ludności 1944-1946”, Tarnopol, 1997).

Rzeczywiście, mniej więcej tak było. Badacz nie dodaje tylko, że tej nocy, a także wcześniej i później, w Hnilczu i okolicy zostało zamordowanych kilkunastu mieszkańców wsi i przysiółków. Wśród nich w sposób straszliwy zamordowany został siekierami mój dziadek i moja ciotka, a także mój kuzyn, którego spalono.

Wydarzenia te opisałem w swojej pierwszej kresowej powieści pt. „Duchy dzieciństwa” (1985). Potem, po wielu walkach z cenzurą, ukazał się drugi tom tej sagi kresowej pt. „Repatrianci” (1988, 1989). Szczególnego smaczku dodaje tutaj fakt, że gdy moja powieść złożona w 1983 roku w wydawnictwie „Czytelnik” w Warszawie czekała na druk, jakimis ubeckimi kanałami dowiedziała się o tym ambasada sowiecka w Polsce i kategorycznie zażądała (interweniując u najwyższych władz PRL) wycofania mojego dzieła z druku, ponieważ, jak uzasadniono, „godzi ono w interesy ZSRR”. Musiała więc książka czekać w czyścicu na swój czas. I gdy zaczęła się następna odwilż w 1988 roku, książka ujrzała światło dzienne. Trzeci zaś tom „Czas diabła” wchodzi na rynek w końcu 1999 roku. Powtórzę: to są powieści, gdzie rzeczywistość miesza się z fikcją. To jakby dokument duchowy czasu zbrodni, a nie faktograficzna rejestracja zdarzeń. Dlatego na moje powieści należy patrzeć jak na lustro odbijające dramaty wewnętrzne pojedynczych ludzi i zbiorowości. Mają więc charakter pewnych prawd uniwersalnych, pokazują cierpienie i ból ludzki opisywanej krainy, a nie konkretnej wsi, czy miasta.

II. Po ponad pół wieku postanowiłem odwiedzić w końcu września 1999 r. miejsce swego urodzenia. Nigdy tam po wojnie nie byłem. To była trudna decyzja, bolesna. Bałem się tego spotkania. Nosilem w sobie wciąż obraz wsi mordowanej, a teraz miałem ją zobaczyć. Dzięki inicjatywie red. Grażyny Orłowskiej-Sondej z TV Wrocław, która bardzo wiele czyni dla ratowania zabytków polskiej kultury na Wschodzie, towarzyszyła mi kamera filmowa, która nagrywała mój powrót do ziemi ojców. Wraz z nami pojechała grupa działaczy PCK z Dzierżoniowa i Ziębic, by przekazać polonijnym stowarzyszeniom i polskiemu Kościołowi dary od mieszkańców Dolnego Śląska. Zatrzymaliśmy się w Stanisławowie i tam wylądowaliśmy duży samochód z darami, m.in. także moje książki dla polskich bibliotek. Zmarły nas konflikty i ambicjonalne nieporozumienia, ja-



Pomnik rodziny Leibschang

kie zastaliśmy w tamtejszej „Polonii”. Ze Stanisławowa robiliśmy wypadki do Kołomyi, Halicza i Obertyna. W Obertynie widzieliśmy skromną, nowo zbudowaną kaplicę, w której modlą się zarówno Polacy jak i Ukraińcy, a polski kapłan odprawia mszę ekumeniczną w obu językach. Niezwykle wzruszające były śpiewy polskiej młodzieży i dzieci, które pielęgnują mowę swoich dziadów. Godna największych pochwał jest postawa duszpasterza, który pieczołowicie dba o dobrosąsiedzkie stosunki między Polakami i Ukraińcami. Widziałem jak stare Ukrainki przychodzą do kościoła, bo – jak mi powiedziały – „ksiądz tak pięknie i mądrze tutaj mówi”. A pewna śliczna dziewczynka, która podeszła do mnie, poprosiła, bym jej przysłał kilka polskich książek. – Dlaczego chcesz książkę, a nie spódniczkę – spytałem a jej odpowiedź mnie zdumiała. – Bo polska książka, proszę pana – odrzekła – to moja Ojczyzna. Przez pewien czas patrzyłem na nią, nie wierząc własnym uszom. Tu we Wrocławiu, ani w żadnym innym miejscu w Polsce, nie spotkałem się z taką odpowiedzią, by polska książka była dla kogoś Ojczyzną. Czy pisarz może coś piękniejszego usłyszeć?

W Obertynie rozmawialiśmy z Polakami, którzy z wysoką świadomością pielęgnują pamięć historyczną swojego narodu, dbają o groby, ale nie są w stanie uratować cmentarza. Z największą troską zaś mówią o coraz bardziej niszczonej polskiej nekropolii Polonusi z Kołomyi. To stary, pełen wprawdzie podniszczonych, ale pięknych nagrobków, pomników kultury polskiej, cmentarz, który z roku na rok coraz bardziej się rozsypuje. Redaktor Orłowska poczyniła starania, by cmentarz ten uchronić od dewastacji. Najpierw należy go ogrodzić, zadbać o jakiegoś opiekuna i powołać odnawiać. Wraz z innymi dziennikarzami kwestowała na wrocławskich nekropoliach na rzecz cmentarza w Kołomyi, ma stały kontakt z proboszczem parafii w tym mieście i utworzyła specjalne konto, na które spływają datki, mające uratować kołomyjski cmentarz.

I na koniec kilka słów o mojej odysei do Hnilcza. Serce pod gardło mi podeszło, gdy stanąłem u bram wsi, słowa do kamery nie



Pomnik adwokata Tadeusza Kraśnickiego i jego żony Wandy

mogłem z siebie wydusić, tak byłem poruszony i przejęty. Niemal przez pół dnia szukałem miejsca, gdzie stał nasz dom. Nawet starcy już o nim zapomnieli, albo udawali, że nie pamiętają. Na tym miejscu pobudowała teraz chatę pewna Ukrainka, która знаła moich rodziców, a także moje imię. Ale mojego domu już nie ma. Nic po nim nie pozostało. Wziąłem tylko słoiczek ziemi, by rozsiał ją po grobie moich rodziców pochowanych we Wrocławiu, na Osobowickim. Kościół polski w kiepskim stanie. Do niedawna był tam jeszcze magazyn. Teraz stoi pusty i niszczeje.



Pomnik rodziny Baeckerów

jakimś czasie, gdy powiedziałem, że nie przyjechałem, by tu zamieszkać, uspokoili się i zaczęli wspominać dawną Polskę. – Jak

Na polskim cmentarzu pasa się krowy. Odgrzebałem jeden kamień, na którym odsłonił się napis: Aniela Mażańska. Zapaliłem świeczkę. Nie ma polskiego cmentarza. A gdy spytałem mieszkającą niedaleko Ukrainkę, dlaczego nie dbają o te resztki, oglądnęła się za siebie i szepnęła: lepiej o tym nie mówić. Nie ma grobu mojego dziadka i nikt nie wie, gdzie został pochowany. Gina ostatnie ślady polskości. Wiele rozmawiałem z mieszkańcami Hnilcza. Na początku byli nieufni, ale po



Pomnik nieznannej rodziny

O/Wałbrzych Nr 1201519-3128-132-3000 z dopiskiem – „Cmentarz Kołomyja” □

to dobrze było, gdy byli tu Polacy. Jak wesoło było, przyjemnie – powiedziała stara Ukrainka, Perściuczka, z której wnukiem, Sławkiem, niegdyś się bawiłem. Nie żyje także i Sławko. Nie żyje również Misiuraczka, która mnie uratowała. Zapaliłem na jej grobie świeczkę i pomodliłem się w intencji jej duszy. Wracalem przybity, smutny i popekany.

A oto numer konta, na które można wpłacać datki na odbudowę cmentarza w Kołomyi: PCK Zarząd Okręg. Wałbrzych, BZ

Stan Scheller

Asymilacja ludności napływowej. II. Niemcy

O wiele bardziej złożoną sprawą było osadnictwo Niemców i ich równie szybka i gruntowna polonizacja. Oni bowiem nie byli wskutek prześladowań zmuszeni do emigracji i szukania swego miejsca na ziemi jak Ormianie czy Żydzi. Żyli w kraju potężnym gospodarczo i militarnie, w którym byli bezpieczni, jeżeli nie liczyć wojen religijnych. W ich przypadku działały więc chyba głównie względy ekonomiczne. Poszukiwali lepszego losu, a może też i przygód? Osiadali w Polsce, która była niespotykanym w świecie krajem tolerancji, a przywileje królewskie jakimi obdarzył Lwów Kazimierz Wielki w 1356 roku, dając miastu wyjątkowo szeroki samorząd umożliwiały wprowadzanie prawa niemieckiego (magdeburckiego)¹⁾ jakże sprzyjającego dynamicznym jednostkom, a także całym grupom osiedleńców. Przyciągały ich tu zapewne również niższe ceny ziemi i siły roboczej, co stwarzało znacznie większe możliwości bogacenia się, szczególnie przy ich wysokich umiejętnościach zawodowych i wyższym poziomie cywilizacyjnym od – jakże nielicznej wówczas – ludności autochtonicznej. Tak więc również i oni wnieśli ogromny wkład w rozwój Lwowa i tamtejszych miast, budując domy, kramy, kościoły, zakładając warsztaty rzemieślnicze, cechy i tę całą miejską infrastrukturę. To samo dotyczyło również niemieckich chłopów, dla których dodatkową atrakcją była wspaniała gleba, znacznie lepsza od tej, którą pozostawili w swym Starym Kraju. Przybywali tu więc całymi gromadami, zakładali wsie, którym często nadawali niemieckie nazwy, co było jeszcze jednym przykładem tolerancji, z jaką w Nowym Kraju spotykali się na każdym kroku. Wkrótce nawet przestawali się dziwić traktując to jako tutejszą²⁾ normę do której szybko przyzwyczaili się, lecz nie sądzę, by to wszystko spływało po nich bez śladu. Te nowe zjawiska i doświadczenia zostawiały widoczny odcisk na ich zbiorowej podświadomości, co uwidaczniało się wyraźnie w chwilach ekstremalnych prób. Takich, jak na przykład ich liczny udział po stronie polskiej w Obronie Lwowa w 1918 roku, kampanii wrześniowej, czy też wybór między polskością a niemiecznością w wydaniu hitlerowskim po zajęciu Lwowa przez Niemców w 1941 roku. Jednak o tym trochę później.

Przykładem opisywanych zachowań była rodzinna wieś mojego Dziadka – Bruckenthal koło Żółkwi. Kiedy i skąd tam przyjechali – nie wiem, a informacje zasłyszane w dzieciństwie od starszych człon-

ków mojej Rodziny (pokolenie moich Rodziców) traktuję z dużą ostrożnością. Były bowiem dwie wersje: według jednej – przybyli ze Schwarzwald, wg. drugiej – z Turyngii³⁾. Co do czasu – również nie mam żadnej pewności: chyba jednak z końcem XVIII lub początkiem XIX w. Prawie na pewno nie byli spokrewnieni ze znamienitym, wymienianym przez kroniki patrycjuszem lwowskim Jerzym Schellerem „prowizorem” (zawiadującym, gospodarzem) z ramienia miasta, wielce zasłużonym w budowie łacińskiej Katedry, której budowę doprowadził do końca w 1481 roku (a więc w 100 lat przeszło od położenia kamienia węgielnego) przez wykończenie murów, budowę ołtarzy, ozdabianą witrażami i rzeźbą św. Jerzego⁴⁾.

W Bruckenthalu nikt nie wtrącał się w ich sposób życia, przestrzegane przez nich ich prawa (głównie prawo tzw. majoratu, czyli sposobu dziedziczenia majątku nie pozwalającego na rozdrobnienie ziemi), kulturowanej religii, obyczajów, języka. To zdumiewało i przyciągało następnych. Na tym jednak nie kończyły się zdziwienia i atrakcje: osadzeni na prawie niemieckim nie odczuwali pańszczyźnianego ucisku podobnie jak mieszczanie, którzy praktycznie mieli prawie tak dużo swobody jak szlachta, a nie podlegając zakazowi handlu jak herbowi, byli od nich znacznie bogatsi. Mieli ponadto o wiele większe możliwości ekspansji niż ich pozostawieni w Niemczech rodacy, jeżeli nie liczyć mieszkańców nadmorskich miast hanzeatyckich.⁵⁾

No i wreszcie ostatni, chyba decydujący (lub co najmniej współdecydujący) element, jakim było zderzenie z szeroką, bujną naturą przeciętnego mieszkańca Lwowa, który nie miał w sobie ani krzyży ksenofobii, tego wykrzywionego, zdegenerowanego poczucia jedności czy solidarności, która każe nie tyle kochać „swojaka”, co przede wszystkim nienawidzić „obcego”. Nasz wspaniały XX wiek dostarczył aż nadto przykładów nieszczęść i zbrodni dokonywanych na całych narodach w imię tak pojętej „solidarności”, opartej na kryterium używanego języka, czy wyznawanej religii. My, Lwowianie przeżyliśmy to w jakże drastycznych okolicznościach ostatniej wojny i bez dodatkowych wyjaśnień doskonale (niestety!) wiemy o co chodzi!

Lwowski mieszczanin tamtych czasów – początków budowy naszego Miasta (podobnie zresztą na przestrzeni całej jego historii)

był nie tylko zupełnie pozbawiony tej obrzydliwej cechy, ale wprost przeciwnie: każdy przybysz był tu mile widzianym gościem, o ile oczywiście nie zjawił się z zamiarem zdobycia Miasta: wtedy bowiem, przez długie wieki nieuchronnie „dostawał po kulach”⁶⁾ Przybysz był więc nieodmiennie serdecznie przyjmowany, goszczony i żegnany z żalem, gdy okazał się tylko przelotnym ptakiem. Jeśli natomiast pozostawał na stałe szybko przekonywał się, że w kategoriach myślowych osiadłego mieszkańca Lwów był miastem otwartym dla wszystkich bez względu na wyznanie, narodowość czy używany język⁷⁾.

Przybysz zwykle dorabiał się tu mniejszego lub większego majątku – na ogół w trudzie i wśród niebezpieczeństw. Te dobra materialne nie były jednak wszystkim, złotym cieclem przed którym pada się na twarz i poza nim nie widzi niczego więcej⁸⁾. Liczył się tu bowiem jeszcze (a może przede wszystkim) pewien zespół cech i wynikających z nich zachowań: odwaga, honor i godna postawa. Mieściło się w tym poszanowanie siebie, ale także drugiego człowieka, nie było natomiast kultu rzeczy materialnych, czy nawet ich prymatu wśród ustalonych w tym Mieście hierarchii wartości. To wszystko łącznie musiało powodować uzdrawiający wstrząs u niemieckiego „Dreckfressera”⁹⁾, który zwykle już w pierwszym, a najdalej drugim pokoleniu zmieniał styl i z lubością zanurzał się w wszechogarniającej atmosferze Miasta, przybierając tamtejsze zwyczaje i obyczaje. A więc wiele z szerokiego gestu tamtych ludzi („zastaw się, a postaw się”) i rozkwitem gościnności. Świetnym, choć niezupełnie lwowskim – (niech mi to będzie darowane!) przykładem takiej transformacji był Nikolas Wirzig (vel: Wersing), który zdumiał swą wystawną ucztą jednego cesarza (Karola IV) i trzech Króli (ale nie tych od Betlejem, tylko: Cypru, Danii i Węgier), ofiarowując im ponoć „na deser” całą złotą zastawę stołową. Tak, chodzi tu o naszego Mikołaja Wierzyńka, który – jak widać – zdołał bardzo po polsku, bardzo szybko trochę oszaleć! Stało się to w roku 1364, za czasów miłościwie panującego Króla Jegomości – Kazimierza Wielkiego, w słynącym z rozrzutności mieście Krakowie.

Kończył się (lub co najmniej malał) dusigrosz – kutwa, a pojawiał się „honet lyta”¹⁰⁾, lub „honet panisko”. Zachowane kroniki podkreślają nadzwyczajną hojność mieszczaństwa niemieckiego wykazaną przy zbiórce pieniędzy na budowę Katedry Lwowskiej⁴⁾ (już cytowany Łoziński).

Powstaje, lub może ujawnia się również potrzeba mocnych wrażeń i fantazja, zamiłowanie do ryzyka. Jakże szybko spokojny, staceczny niemiecki mieszczanin czy chłop przemieniał się w niespokojnego ducha i trochę szalonego mieszkańca tamtej Ziemi! Pamiętam opowiadanie Ojca, który kiedyś, przy jakiejś okazji odwiedził naszą rodzinę w Bruckenthalu. Opowiadał mi z podziwem o wyścigach konnych Jego młodych krewnych, na które zjeżdżali się również sąsiedzi z okolicy. Konie mieli wspaniałe, co zbliżało nieco widowisko do miejskich „normalnych wyścigów”. Różnica polegała „tylko” na tym, że tu jeźdźcy pędzili galopem stojąc nogami na grzbietach końskich (na siodłach). Była to więc rzeczywiście jazda na złamanie karku i Ojciec, który sam był bardzo odważnym Człowiekiem, opowiadał mi o tym z nieskrywanym podziwem.

Tak rosły i rozwijały się pokolenia tamtych Niemców, którzy nie tracąc niczego ze swych pozytywnych cech (wśród których zawsze były: odwaga, waleczność, wierność, pracowitość, zmysł organizacyjny oraz zdolność zgodnych działań w gromadzie, a także parę innych zalet), nabywali tę odrobinę (no, może trochę więcej) szaleństwa, która czyniła z nich ludzi o wiele bardziej lekkich i strawnych dla otoczenia od „normalnych” Niemców, ciężkawych i bez nadmiaru wdzięku, a w dodatku obdarzonych przez Stwórcę poczuciem humoru ciężkim jak ołów, czy młyńskie kamienie. Ci nasi Niemcy bardzo szybko uczyli się znajdować przyjemność w zupełnie odmiennym, typowo polskim dowcipie: finezyjnym, lekkim i często aluzyjnym,

który niekiedy kłuł boleśnie, lecz nie walił w głowę jak niemieckie „Witze” trafiające obiekt wprost, z siłą Panzerfausta i nie zostawiające miejsca na domysły, czy samodzielny wysiłek intelektualny słuchacza.

Może należałoby już teraz zatrzymać się dłużej nad zagadnieniem, które na to na pewno zasługuje, gdyż bez niego wizerunek tych nowych Polaków z opcji byłby absolutnie niepełny, a przez to nieprawdziwy. Mam tu na myśli udział i rolę spolszczonych Niemców w polskiej nauce i kulturze. Nie zrobię tego jednak już tu i teraz (mimo wielkiej pokusy), ponieważ rozsądziłoby to ramy moich – z konieczności – skrótowych refleksji. Wróć do tego jeszcze. Uczynię tu tylko wyjątek dla jednego z nich, który w sposób zupełnie wyjątkowy wzbogacił polską literaturę, a do którego mam bardzo osobisty stosunek za bogactwo wrażeń, których dostarczył mnie i bardzo wielu ludziom mego pokolenia w Kraju i polskiej diasporze na całym świecie¹¹⁾. Nie mogę pozwolić mu zmaleć i zniknąć w tłumie innych postaci, które chcę przywołać.

Mowa o Kazimierzu Wierzyńskim, skamandrycie i współtwórcy tej grupy, wspaniałym, profetycznym poecie polskim, który w mojej, bardzo osobistej ocenie, był – obok Jamesa Joyce’a – autorem najpiękniejszych erotyków w literaturze światowej. Czy wiesz, Drogi Czytelniku, że był on z pochodzenia drohobyckim Niemcem, którego ojciec zmienił rodowe nazwisko „Wirstlein” na „Wierzyński”? Aby było trochę śmiesznie: przypuszczam, że tak naprawdę, jego niemieckie nazwisko pisało się inaczej: „Würstlein”, co znaczy „kielbaska”, natomiast „Wirstlein” nie znaczy nic. Może to jakiegoś polskiemu biografowi nie przeszła przez pióro ta kielbaska, a może też był to poliglota (i erudyta zarazem) zbliżony do niektórych polskich telewizyjnych sprawozdawców sportowych, dla których takie „subtelności” nie mają większego znaczenia? Nie wiem, a ta drobna różnica, to tylko mój domysł, zresztą bez znaczenia. Materiałów źródłowych nigdzie nie znalazłem.

Tak więc niemieccy przybysze, wtapiając się w tamtą polską ludność wnosili potężny potencjał, bogaty „posag” pozytywnych cech, które w niekwestionowany sposób wzbogaciły „bank genów” tamtejszej polskiej populacji. Ta grupa etniczna położyła niezmierne zasługi dla Lwowa i pozostałych naszych miast na Tamtej Ziemi – Rusi Czerwonej – jako jedna z najpierwszych, najliczniejszych, najbardziej dynamiczna i konstruktywna, oraz najsilniej – obok Ormian – zasymlowana (czyli spolonizowana) część mieszkańców Kresów Wschodnich. A także co tak ważne właśnie na tychże Kresach Rzeczypospolitej jakże niespokojnych, nawiedzanych przez ustawiczne krwawe wojny i najazdy: waleczna i bitna. Niemcy stanowili więc bardzo cenną i pożądaną pozycję. Byli przytem mniejszością przeważnie tylko z nazwy, wsiąkając w polski żywioł bardzo szybko i bez reszty (no, może z tą niezbyt liczącą się i niezbyt wartościową resztówką, o której już wspominałem uprzednio), a więc polonizowali się zupełnie, pozostawiając sobie niekiedy (poza nazwiskami) jedyny ślad pochodzenia – wyznanie ewangelickie¹²⁾.

W swej wierności Tamtej Ziemi wielokrotnie zweryfikowali się jako Jej obrońcy. Tak postępowali zawsze, nigdy nie łącząc się z żadnym najeźdźcą, co niektórym innym mniejszościom się zdarzało.

Czy pamiętasz, szanowny Czytelniku, ten fragment „Ogniem i Mieczem”, który poprzedza obronę Lwowa tuż przed najazdem Chmielnickiego i Tatarów zaraz po opuszczeniu Miasta przez wojska Jeremiego Wiśniowieckiego? Wówczas to, na zebraniu rajców lwowskich z gen. Arciszewskim, w ratuszu lwowskim, wobec nabrzmiewającego przerażenia na wieść o bliskim już nieprzyjacielu, przywódca mieszczan Groszawer¹³⁾ – „człowiek energiczny i śmiały ozwał się: – Każdy wie, co ma robić i stało się to, co się było stać powinno. Obronę mam w ręku i będę się bronił do śmierci”.

To ponoć było wydarzenie historyczne. A jeśli nawet nie, to było bardzo prawdopodobne, a sam opis wart jest głębszej refleksji: dla-

czego Sienkiewicz, który wcale nie był admiratorem Niemców jakoś tak dziwnie zdobywa się na ciepłe tony i z nutą przyjaźni pisze o lwowskich Niemcach? Myślę, że również i on dostrzegł tu nową jakość, lecz mu się to nie komponowało z resztą jego twórczości.¹⁴⁾

Jacy więc byli ci Niemcy przybywający do południowo-wschodniej części Rzeczypospolitej? No, bo przecież zachowywali się zupełnie inaczej niż ci wysyłani przez władze niemieckie na Pomorze, do Wielkopolski i na Śląsk w celach germanizacyjnych. A więc „tamci” byli na pewno inni od „naszych” Niemców a potem i Austryjaków, którzy jako urzędnicy różnych szczebli byli tu w czasie zaboru przysyłani z „Widnia”. Ci często polonizowali się już sami, w pierwszym pokoleniu, a prawie zawsze polonizowały się ich dzieci. Jak więc wytłumaczyć fenomen niezwykłej siły asymilacyjnej Tamtej Ziemi sprawiający, że także Niemiec nie mający ani kropli krwi polskiej, a w dodatku urodzony na Morawach, którego przywieziono do Lwowa jako kilkuletniego chłopca, w ciągu bardzo krótkiego czasu od chwili przyjazdu stał się Polakiem tak dalece zauroczonym nową Ojczyzną, że nie tylko zapomniał o swoich korzeniach, ale też nadstawił karku (w czasie sowieckiej i niemieckiej okupacji) za sprawy Polaków, a rzucając na szalę cały swój olbrzymi autorytet, uratował nie dającą się określić liczbę ludzi od prześladowań czy śmierci. „Jego” ludzie byli bowiem nietykalni dla policji ukraińskiej, tej kolejnej organizacji realizującej w ledwie skrywany sposób plan eksterminacji Polaków i Żydów. „Jego” ludzie byli również w pewnym stopniu chronieni przed różnymi niemieckimi służbami policyjnymi (oczywiście z wyjątkiem Gestapo), a także przed wywózką na roboty do Niemiec. To był bardzo spektakularny przypadek!

Człowiekiem, którego tu przywołuję był bowiem sam Rudolf Weigel, twórca szczepionki przeciwko durowi osutkowemu (czyli tyfusowi plamistemu), uczony ze ścisłej czołówki światowej, który tylko przez polityczne intrygi nie dostał nominacji do nagrody Nobla¹⁵⁾, na którą rzetelnie zasłużył i miał duże szanse!

W zjawisku asymilacji, czyli tym zwykłym nagłym, lecz prawie zawsze trwałym „przylgnięciem” do Lwowa obcych przybyszów współgrały wszystkie czynniki opisane już uprzednio. A więc ta przebogata paleta typów ludzkich – stałych mieszkańców Miasta – ich nazwisk dźwięczących osobliwie dla każdego, lecz na pewno najsilniej dla wrażliwego ucha, a także ich zachowań typu: przyciągająco-odpychających, ta niemiecka: „Haß liebe”, która paradoksalnie! – stanowi chyba najpotężniejszą siłę uczuciową wiążącą ludzi, ale też odczuwaną niekiedy do idei, przedmiotów czy miejsc. Niemcy wiedzieli od dawna o istnieniu takich uczuć, my dopiero ostatnio połapałiśmy się w tym. A także trudna do opisanego uroda naszego Lwowa, na którą składały się: urbanistyka, architektura, klimat i w końcu – last, but not least¹⁶⁾ – ukształtowanie terenu w kompleks wzniesień i pagórków pokrytych – podobnie jak spora część ulic Miasta – wybuchającą zielenią drzew i krzewów, a także kwiatami, przesycającymi ten nasz Świat szeroką gamą woni¹⁷⁾. Tak, to wszystko liczyło się jak najbardziej, lecz głównie wchodził tu w grę i decydował o wszystkim, całkiem na pewno! – duch miejsca, genius loci Lwowa i tamtej wspaniałej, okrutnej ziemi. Z jakim ogromnym wyczuciem opisała to zjawisko Ewa Malec¹⁸⁾, wrażliwa młoda dziewczyna mogąca znać Lwów tylko z relacji ludzi starszego pokolenia, lub z opisów! To bardzo podnoszące na duchu: ta młoda Dama stanowi bowiem chlubny „łączenie” międzypokoleniowy, podtrzymujący nadzieję na uratowanie przed zapomnieniem i zachowanie naszej kresowej tradycji i kultury. Szczerze zazdroścę jej rodzicom!

Ten genius loci to jest coś zupełnie niepojętego, niesamowite eteryczne zjawisko oparte na imponderabiliach lecz realnie istniejące, stwierdzalne nie tylko na podstawie opisywanego tu fenomenu polonizowania obcoplemiennych przybyszów, lecz także infekowania Polaków z innych stron kraju, którzy zwykle, wkrótce po zetknięciu z tamtejszą atmosferą, „zapadali” i ciężko „chorowali na Lwów”.

Wszelkie próby analizy tego zjawiska w oparciu o empiryczne kryteria mają (może z wyjątkiem metod statystycznych) małe szanse powodzenia, co wcale nie wyklucza istnienia samego zjawiska. Czy można bowiem kwestionować jakość szampana czy koniaku z powodu nieuchwytności czynników składających się na to, że Champagne to takie coś, czego nie da się podrobić czy zastąpić płynem pt. „Sowietskoje szampanskoje”, a Cognac’a „Gruzińskim koniakom” czy „Białym Ajstom”? Oczywiście można próbować. Lecz efekty są zawsze te same: tylko bardzo prymitywna gęba nie uchwyci różnicy!

Skąd więc się to wszystko bierze? Ano, z całego kompleksu czynników, których nie da się uchwycić, zmierzyć, czy ująć w ścisłe ramy jakichś wymiernych, powtarzalnych kryteriów. A więc: jakości gleby i jej dokładnego składu chemicznego z biopierwiastkami na czele, zmieniającej się stale wilgotności, opadów, chmur, kierunków wiatrów, nasłonecznienia, współlistniejącej flory (w tym mikroflory), fauny i tak dalej, wielu innych jeszcze, potencjalnie możliwych, ale „za to” absolutnie nie dających się zmierzyć, ani nawet z grubsza określić – czynników¹⁹⁾. Możliwe, że w nie dającej się oznaczyć przyszłości uda się to w końcu specjalistom, na razie jednak należy się cieszyć szampanem i koniakem, tak wspaniale umilającymi życie, choć właściwie do końca nie wiadomo, co złożyło się na tę wspaniałość? Może tak samo – lub przynajmniej bardzo podobnie – ma się sprawa z winoroślą ludzką? Tu na pewno sprawa będzie o wiele bardziej złożona, lecz ogólne zasady mogą być w końcu takie same. Może też i to zagadnienie będzie kiedyś rozpoznane, tylko że – po co i co nam z tego? Nam, wymierającym członkom tej oryginalnej populacji, przedziwnej „sałamaczy” ludzkiej, co dała by taka wiedza?

Dokonana została zbrodnia czystka etniczna, wypleniono wszystko co się dało, by ... ano właśnie: po co? Wielki Językoznawca, Inżynier Dusz Ludzkich dokonał wielkiej operacji, której jednym z głównych motywów była nienawiść do człowieka w ogóle, a do Polaków i Ukraińców w szczególności. W dalszej kolejności także do Niemców, współkreatorów tamtej Ojczyzny wielu narodów, oraz Żydów. W konsekwencji wszyscy zostali zubożeni, choć nie wszyscy jeszcze o tym wiedzą! Nienawiść płeni się nadal, choć delikatnie, nieśmiało i efemerycznie widać jakby zarysy cofania się tej złowrożej tsunami²⁰⁾.

Przypisy:

1) Nie będąc fachowcem nie jestem w stanie ocenić subtelności odróżniających prawo magdeburskie od innych wariantów prawa niemieckiego.

2) Powiniem być może użyć sformułowania: „tamtejszą”, ale to mi nie przechodzi ani przez gardło, ani przez pióro. To zupełnie tak, jak bym o zmarłych Rodzicach napisał: „tamtejsi Rodzice” – i to tylko dlatego, że już umarli, że już ich nie ma! Albo też może po to, aby jakimś zasmolonemu panu ministrowi sprawić przyjemność wyrażeniem haniebnej satysfakcji, że Lwów wreszcie przestał być polski! Lwów nie przestał być moją Ojczyzną tylko dlatego, że znikł jak Atlantyda, że już go nie ma!

3) To zresztą jest absolutnie bez znaczenia: przybywali do Polski bo tam, u siebie widać było im za ciasno, a może też za głodno?

4) W. Łoziński: Sztuka Lwowska w XVI i XVII wieku. Lwów, Ks. Altenberga, 1901.

5) Ci mieli więcej okazji do wędrowania po morzach niż kupcy miast śródlądowych (dla przypomnienia ciekawostka: Kraków też należał do HANZY).

6) Dostać po kulach – zebrać baty, być pobitym.

7) W tamtej Polsce były w oficjalnym użyciu następujące języki: łacina i polski – w Królestwie Polskim, starobiałoruski – w Wielkim Księstwie Litewskim i niemiecki – w większych miastach. Te były oficjalne i najczęstsze, ale w użyciu było jeszcze kilkanaście innych, choć już nie na podobną skalę. Były więc języki bałtyckie, ormiański,

jidysz, rumuński, słowacki, tatarski i wreszcie turecki, po którym zostało do dziś w lwowskiej, wdzięcznej pamięci parę relikwii: meszty, chałwa, makagigi...

I jeszcze język staro-słowiański w obrządku cerkwi prawosławnych i unickich oraz arabski – w muzułmańskich meczetach: Jacek Woźniakowski, Tygodnik Powszechny Nr 33 z dnia 13 sierpnia 1999.

8) Myślę, że niezbyt wypada, bym próbował przybliżyć Czytelnikom różnicę między zdrowym instynktem posiadania, a niepohamowaną chciwością, przemieniającą ludzkie mózgi i serca w midasowe złoto!

9) Dreckfresser = gównozjad.

10) Honet = rozrzutny, mający gest. Łyta = bogacz, panisko.

11) Mam tu na myśli okres rządów komunistycznych, w którym próbowano „zamilczeć go na śmierć” tylko dlatego, że pozostał na emigracji, nie chcąc żyć w postawie „na kolanach” przed ZSRR i lizać d... Stalinowi. Na nic! Był czytany do upojenia z przedwojennych, jakże rzadkich! – egzemplarzy swych książek (mam jedną z nich, wydaną przed wojną), przepisywanych i uczonych się na pamięć cyklów Jego wierszy. Ich fragmenty posyłałam kochankom, a także posługiwano się nimi jako kluczem identyfikacyjnym non-konformistów oraz ludzi o jednakowej wrażliwości na ponadczasowe piękno.

12) Też nie wszyscy! Wielu z nich było bowiem katolikami lub zmienili wyznanie przechodząc na katolicyzm.

13) Tenże Groszawer miał w śródmieściu Lwowa swoją ulicę: była to boczna Nabelaka i Mączyńskiego, przecinająca ul. Potockiego.

14) Dotyczy to zwłaszcza takich pozycji w jego twórczości jak „Krzyżacy” czy „Bartek zwycięża”. W „Ogniem i Mieczem” pisze jednak „innym piórem”. Ot, choćby jeszcze o zaciężnych pułkach niemieckich tzw. jurgieltnikach, chwając ich żołnierski honor i wierność Rzeczypospolitej.

15) Mam nadzieję rozwinąć ten temat w oddzielnym opracowaniu.

16) Ostatni, lecz nie najmniej ważny.

17) Lwów praktycznie nie miał żadnego przemysłu, jeśli nie liczyć oplakiwanej do dziś przez niektórych fabryki Baczewskiego, „ekologicznie” produkującej słynne w świecie wódki i likiery.

Samochodów – jak wszędzie w tamtych czasach – było niewiele, a więc nie było znaczących źródeł zatruć powietrza. „Za to” Miasto tonało w zieleni i kwiatach. Z „Gazety Lwowskiej” czasów okupacji niemieckiej pamiętam wzmiankę wg. której Lwów miał najwyższy wskaźnik zieleni (drzew) na m² z wszystkich większych miast europejskich!!

18) Ewa Malec: „Genius loci Lwowa – we Wrocławiu?” Semper Fidelis Nr 2 (43) z marca-kwietnia 1998.

19) Podejrzewam także istnienie czynników z zakresu czystej metafizyki, ale ani przez moment nie ośmieliłbym się powoływać na nie w tekście. Zbyt wiele zjawisk z tej dziedziny otacza nas na co dzień (ot, choćby nasza gospodarka czy w ogóle – sposób sprawowania rządów) bym miał sumienie jeszcze i tu gnębić („stressować”) Czytelnika.

20) Ogromna, niesłuchanie niszcząca fala oceaniczna powstająca w wyniku wybuchu podwodnych wulkanów i trzęsień ziemi. □

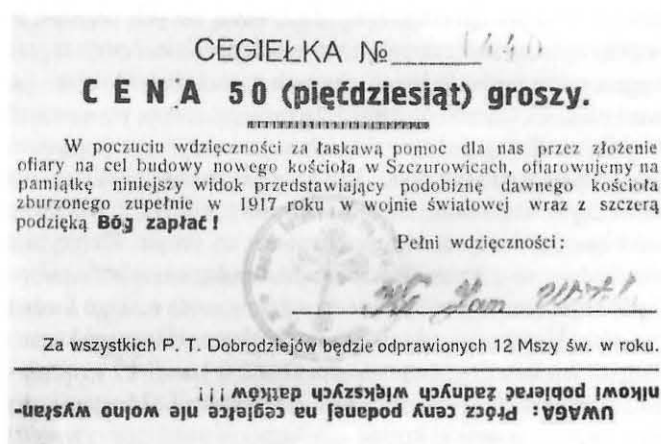
Tadeusz Kukiz

Z dziejów Ziemi Radziechowskiej

Zbierając materiały do dziejów Ziemi Radziechowskiej wiele uwagi poświęcam pochodzącym stamtąd ludziom, zwłaszcza tym, którzy przekroczyli próg przeciętności. Dawni mieszkańcy powiatu radziechowskiego na ogół wiedzą, że w Łopatynie spoczywa generał Józef Dwernicki i że w Pawlowie tworzył i jest pochowany autor „Chorału” Kornel Ujejski; już zapewne mniej osób będzie wiedziało, że w Dmytrowie urodził się wybitny poeta i prozaik Józef Wittlin. A to tylko paru spośród wielu stamtąd, którzy zaznaczyli się na różnych polach działalności.

O Romanówce Szczurowickiej i ludziach stamtąd

Romanówka, wieś położona na lewym brzegu górnego Styru, od południa przylegała do miasteczka Szczurowice w powiecie radziechowskim, toteż dzieje obu miejscowości były ze sobą nierozłącznie związane, zwłaszcza w obecnym stuleciu. Podczas walk pozycyjnych w latach pierwszej wojny światowej zostały prawie doszczętnie zniszczone; zniszczeniu uległ również siedemnastowieczny kościół parafialny w Szczurowicach, fundowany przez króla Jana Kazimierza. Zbudowana po wojnie drewniana kaplica nie zaspokajała potrzeb parafii, dlatego ówczesni proboszczowie, najpierw ks. Józef Szelest, potem ks. Jan Witek, podjęli działania dla zgromadzenia potrzebnych funduszy na budowę nowego kościoła; ks. Witek wydrukował kilka tysięcy cegiełek i jednostronicowy apel do księży lwowskiej archidiecezji. Działania te i ofiarność parafii doprowadziły do wystawienia do 1939 r. w stanie surowym krytego blachą okazałego kościoła. Wybuch wojny uniemożliwił kontynuację prac; później zamieniono kościół na magazyn. Miejscowy cmentarz został prawie całkowicie zdewastowany, zachowały się tylko nieliczne nagrobki; niektóre z nich, m.in. wykonane przez znanego lwowskie-



Cegiełka nr 1440 na budowę kościoła w Szczurowicach (lata 20.). Repr. T. Kukiz

go rzeźbiarza Pawła Eutelego, dowodzą, że był to cmentarz zabytkowy.

Romanówka i Szczurowice w okresie zaborów znajdowały się na północno-wschodnich krańcach monarchii austro-węgierskiej i Styry właśnie oddzielał je od kordonu rosyjskiego. Po każdym narodowym zrywem niepodległościowym – od Kościuszkowskiego począwszy – przemykali się tędy powstańcy uchodzący przed prześladowaniem władz carskich. Część uciekinierów nie mając środków, by udać się na emigrację, zostawała w okolicy znajdując zatrudnienie w rozległych dobrach Chołoniewskich (należała do nich także Romanówka), rozciągających się wokół pobliskiego Łopatyna. Podobno Chołoniewscy nadawali im ziemię, najpewniej jednak z czasem dorabiali się sami. Do dziś w niektórych rodzinach, wysiedlonych stamtąd po



Fot. T. Kukiz 1995 r.

Jeden z pomników nagrobnych z XIX w. na cmentarzu w Szczurowicach (inskrypcja nieczytelna).

popowstaniowej 1831 r. był Ignacy Kulczyński. „Przez sześć lat Kulczyński, tropiony przez lwowską policję, miał u Nawratilów w Romanówce (kolejnych właścicieli majątku – T. K.) bazę, z której podejmował swe agitacyjne wędrówki po galicyjskim Podolu. Do Kulczyńskiego w Romanówce w czerwcu 1837 r. zjechał z Paryża sławny Szymon Konarski, stąd Kulczyński z pomocą Nawratila przeschwarcował wodza tragicznej wyprawy partyzanckiej przez Styr za kordon. W jesieni tegoż roku Jan Szczepanowski ze Stowarzyszenia Ludu Polskiego przywiózł do Kulczyńskiego w Romanówce księdza Faustyna Masiewicza, spiskowca z Litwy, tam sobie pokonferowali...” – pisał Ryszard Zieliński 13 grudnia 1839 r. (!) Kulczyński, osaczony przez żandarmów w chatce leśnika, sam się zastrzelił; uniknął więzienia, z którego uwolnić by go mogła dopiero Wiosna Ludów. W parę miesięcy później chatka splonęła od pioruna; Nawratilowa – bo Piotr Nawratil poszedł za Kulczyńskiego do więzienia – postawiła na tym miejscu figurę Męki Pańskiej i zasadziła topole. Dziś nie ma po niej śladu.

Także później nie omijała Romanówki nasza powikłana historia. To tu, w piwnicach spalonego dworu Nawratilów, znajdował się skład szybkostrzelnych karabinów, tzw. manlicherów, przygotowanych dla Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) na Ukrainie, dowodzonej tam przez legendarnego Leopolda Lisa-Kulę (1896-1919). Przeleżały bezczynnie, gdyż wobec niekorzystnego rozwoju wypadków wojennych, Lis-Kula przedostając się przez okoliczne lasy do Lublina musiał Romanówkę ominąć.

Z Romanówki wywodził się zapomniany obecnie młodopolski poeta lwowski Józef Nawrocki (cioteczny wnuk Nawratila), który w pierwszych latach XX w. ogłosił kilka tomików wierszy. Może to romanowieckie pola i łąki natchnęły go do napisania „Baśni nocy”, zaczynającej się od takiej zwrotki:

*Kiedy na niebie rysuje się nów,
nocami,*

po polach

i po przestrzeni w śnie leżących łąk,

w krag,

coś mami –

od widniejących na tle nieba drzew

nadpływa chłodny wiew,

drugiej wojnie światowej na Ziemi Zachodnie, przechodziła się tradycja o powstańczych przodkach. Wiadomo mi o kilku takich rodzinach: Trytków i Muszyńskich z Łopatyna, Brzezickich ze Smarzowa, Chrzanowskich z Rudenka Lackiego i Tomaszewskich z Dębownicy, z których – w linii żeńskiej – i ja się wywodzę. Czasem jest to tylko jakiś mglisty przekaz mówiący o pochodzeniu rodziny „z Rosji”, bowiem część uciekinierów – w obawie przed ścigającymi ich władzami austriackimi – swój udział w powstaniu zatajała.

Niektórzy jednak nadal prowadzili działalność niepodległościową. Jednym z najwybitniejszych spiskowców galicyjskich z emigracji

*słysząc w nim gwar stłumionych słów,
szepcanych po topolach,
i z dalekiego boru
lęk idzie poprzez gęstwiny wieczoru.”*



Roman Jaworski

przedstawiono przed laty na deskach teatru w Nowej Hucie, a niedawno Telewizja Polska emitowała program poświęcony twórczości Jaworskiego. Matka pisarza pochodziła z Bieńkowskich, skoligaconych z Nawrockimi, spadkobiercami Nawratilów, stąd nie dziwi, że Jaworski, którego rodzice mieszkali w Brodach, w dzieciństwie wiele czasu spędzał w Romanówce.

Skoro mowa o Bieńkowskich, warto podać, że właśnie w Romanówce urodził się Piotr Bieńkowski (1865-1925), ojciec polskiej archeologii śródziemnomorskiej; zorganizowana przez niego katedra archeologii w Krakowie była pierwszą w Polsce. Studia i podróże po Europie, Afryce Północnej i do Anatolii umożliwił mu znany mecenas nauki i sztuki Karol Lanckoroński (ten sam, któremu wiele zawdzięczał Jacek Malczewski).

Z Bieńkowskich – po kądzieli – był też Ryszard Zieliński (1926-1994), pisarz i publicysta historyczny, działacz społeczny, autor – poza wymienionymi „Grami majowymi” – „Skrzydeł z wosku”, „Nieba i piekła”, „Wejścia w mrok” i innych książek o naszych dziejach pierwszej połowy XX w. Mnóstwo w nich faktów podanych lekko, umiejętnie, mogących zainteresować także historyków.



Tadeusz Andrzejewski

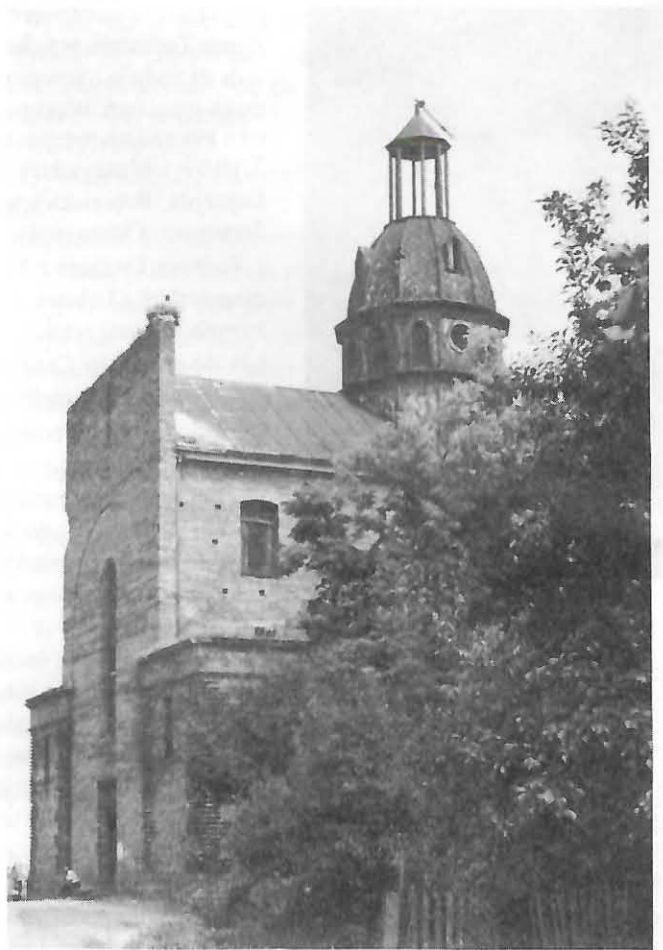
Z Romanówki pochodzi syn osiadłego tam uczestnika Powstania Styczniowego, emerytowany major Tadeusz Andrzejewski, do 1939 r. dyrektor gimnazjum im. Marszałka Badienego w pobliskim Radziechowie, a po wojnie organizator i pierwszy dyrektor gimnazjum i liceum w Grodkowie. Jego żona (również nauczycielka) 13 kwietnia 1940 r. wraz z dziećmi została wywieziona do Kazachstanu. Za odmowę przyjęcia sowieckiego paszportu (przyjęcie go było równoznaczne ze zrzeczeniem się polskiego obywatelstwa) przez dwa lata przebywała w łagrze. Niedawno córka, Anna Andrzejewska-Heinrich wydała książkę pt. „Młodość, której nie było. Wspomnienia z Kazachstanu 1940-1946”.

W ubiegłym roku ukazała się książka emigracyjnego pisarza Romualda Wernika „Zło nie trwa wiecznie”, w której opowiada on o losach rodziny Fajarczuków z Romanówki. Rodzina ta 10 lutego 1940 r. została wywieziona; znalazła się w rejonie Kotłasu, na półno-

cy europejskiej części Związku Sowieckiego. W rozumieniu sowieckich władz była to zapewne kara za posiadanie kilkunastohektarowego pola, które Józef Fajarczuk kupił w 1921 r. (za pieniądze zarobione w Kanadzie) i za udział w wojnie polsko-bolszewickiej. On i jeden z jego pięciu synów nie przeżyli zesłania, chociaż trwało ono względnie krótko dzięki umowie Sikorski-Majski z lipca 1941 r. i tzw. amnestii. Pozostali członkowie rodziny, po wielu trudach, głodni i obdarci dotarli do rejonu formowania Armii Andersa w Uzbekistanie. Trzech starszych synów trafiło do jej szeregów, a matka i najmłodszy Karol po jakimś czasie odnaleźli się w Indiach. Po wojnie wszyscy szczęśliwie spotkali się w Kanadzie; tam się osiedlili i z czasem założyli dobrze prosperujące przedsiębiorstwo budowlane w Mississauga w pobliżu Wielkich Jezior. Wszyscy bracia pracowali również społecznie w polskich organizacjach emigracyjnych. Kiedy miasto rozrosło się i zwiększyła się liczba Polaków, powstała konieczność wybudowania kościoła. Na czele komitetu budowy stanął Karol Fajarczuk; i on i pozostali bracia nie szczędzili grosza na ten cel. Tablicę pamiątkową dla kościoła poświęcił Jan Paweł II, a w uroczystości konsekracji wziął udział ks. kardynał Władysław Rubin. Przy kościele zbudowano polski ośrodek (na czele komitetu znowu stanął Karol Fajarczuk) mieszczący muzeum, bibliotekę, sale dla różnych organizacji (w tym dla harcerstwa) oraz polski bank Credit Union. Ośrodek służy dziś Polonii Mississauga i Toronto; odwiedził go prezydent Wałęsa.

Mimo utrudnień stwarzanych przez władze komunistyczne, Fajarczukowie już od 1963 r. przyjeżdżali do kraju, odwiedzali swoich krewnych i znajomych z Romanówki i Szczurowic, wysiedlonych stamtąd po wojnie i mieszkających głównie w Szklarach i Goworowicach niedaleko Grodkowa. W Szklarach właśnie na przykościelnym cmentarzu ufundowali symboliczny grób, upamiętniający zmarłych na Syberii – ojca, brata i bliskich.

Drukowane tu artykuły pisałem głównie z myślą o ludziach wysiedlonych z okolic Radziechowa, by przypomnieć im rodzinne strony, a może czasem poszerzyć wiedzę o nich. Ale pisałem też myśląc o młodych, tu urodzonych, którzy często niewiele wiedzą o dziejach swych rodzin i miejscach, z których pochodzą ich przodkowie. Dowodzą tego m.in. badania Marii Szmei, opublikowane w książce „Starzy i młodzi mieszkańcy Opolszczyzny” (informację o tej książce zawdzięczam Panu dr. Adamowi Wiercińskiemu). Píše ona: „Dzieci przesiedleńców miały też skąpą wiedzę o swych rodzinach. Wszyscy orientowali się, że rodzice przyjechali ze wschodu, ale były to raczej wiadomości fragmentaryczne, nieściśle, przypadkowe. Na ogół, choć nie zawsze, znali nazwę wsi, z której rodzina przybyła, nie potrafili



Fot. T. Kukiz

Kościół parafialny w Szczurowicach – ze złamanym krzyżem i bocianim gniazdem. Stan w lipcu 1995 r.

jednak określić, gdzie ta wieś leżała (powiat, województwo, pobliskie miasta, rzeki). Często nie uświadamiali sobie, że tereny, na których wyrosli ich rodzice i dziadkowie, leżały kiedyś w polskiej państwowości. Powszechnie mówili, że rodzina przyjechała z Rosji (! – T. K.). Niektórzy wręcz zastanawiali się, czy rodzice są Polakami, skoro urodzili się w Rosji. Nie były im znane przyczyny przesiedlenia na Śląsk (...). Nie wywołuje to u nich zawstydzenia. Po prostu historia rodziny, regionu pochodzenia i zamieszkania nie są dla nich ważne.

Smutne. □

Tadeusz Łaszkiwicz

Moje wojenne edukacje

We wspomnieniu tym chciałbym utrwalić własne przeżycia szkolne w czasie okupacji sowieckiej i niemieckiej. Będąc zarazem udziałem młodzieży mego pokolenia, stanowią one przyczynek do poznania szkolnictwa tego okresu.

Do szkoły powszechnej poszedłem jako dziecko w pełni zscjalizowane, bowiem poprzedziły ją dwa lata przedszkola. W roku 1936/37 posyłano mnie do przedszkola w Uszy koło Mołodeczna, gdzie dla grupy pracowników Korpusu Ochrony Pogranicza, garnizonu jednostki wojskowej, nadleśnictwa i urzędników państwowych stworzono przedszkole polskie z uwagi na to, że ogół ludności był narodowości bałoruskiej, litewskiej i żydowskiej. Inaczej było we Lwowie, dokąd ojciec ze względu na zły stan zdrowia został przeniesiony. Tamtejsze przedszkole przy ul. Zielonej obfitowało w wiele dzieci żydowskich, podobnie jak i szkoła powszechna, do której mnie zapisano w 1938 r. Było to



Ja – Tadeusz Łaszkiwicz. Lwów 1943 przy domu, ul. Szewczenki 9

gimnazjum prywatne im. Zofii Strzałkowskiej, które ukończyła niegdyś moja matka, poszerzone o klasy szkoły podstawowej. Posyłano do niej dzieci z rodzin zamożnych, przeważnie żydowskich. Pamiętam stamtąd kolegę Pordesa, a także Jurka Zalewskiego, wnuka właściciela znanej firmy cukierniczej.

Tę pierwszą klasę wspominać miłe nie tylko dlatego, że skończyłem ją ze specjalnym listem pochwalnym, ale głównie dlatego, że byłem lubiany przez moją nauczycielkę-wychowawczynię. Uważała mnie za swego rodzaju pomocnika, bo prawdopodobnie jako dziecko wiejskie



Z matką Zofią Łaszkiewicz na lwowskiej ulicy. 1936 r.

Władze sowieckie uznały, że ich system nauczania posiada wyższy poziom, w związku z czym cofnięto całą młodzież o jeden rok niżej. I tak od listopada 1939 r. znalazłem się znów w pierwszej klasie, tym razem już w szkole nr 65 przy ul. Stelmacha (dawna szkoła im. Zofii); szkoła im. Strzałkowskiej została zlikwidowana. Natychmiast wprowadzono organizację pionierów, do której wpisała się cała młodzież żydowska i część ukraińskiej. Pionierom przewodziła nauczycielka tzw. pionierwożata. Chodzili oni dumnie z czerwonymi chustami spiętymi specjalnymi suwakami pod brodą, stanowiąc nietykalną kastę lepszych dzieci. Większość nauczycieli starała się wychowywać młodzież w duchu polskim; z tego czasu przypominam sobie wychowawczynię p. Jaworską.

Był to straszny czas aresztowań i wywózki na Sybir. W domu wszyscy drżeli, ukrywali lub niszczyli różne dokumenty, fotografie i przedmioty, wśród których najbardziej niebezpieczną była broń. Tak mój dziadek, oficer armii austriackiej, a później polskiej, jak i mój zmarły ojciec, a także brat matki, oficer wojska polskiego, posiadali wiele różnej broni, zabytkowej, muzealnej, zdobyczej i służbowej – karabiny, rewolwery, pistolety, szable, szaszki, pałasze itp. Dziadek trzymał w salonie na pamiątkę swój drewniany wojskowy kuferek, obity skórą, pamiętający wędrówki po frontach, pełen różnej broni, czapek, czak, pasów. Wszystko to zostało gdzieś wywiezione, czy też wyrzucone lub zakopane – później już tego nie widziałem. Majątek został znacjonalizowany, a dziadek wyrzucony na bruk, mój wuj został aresztowany, a jego żona w ciąży wywieziona na Sybir. Reszta rodziny przygotowała suchary na ewentualność podobnych tragedii. Żyliśmy ze sprzedaży różnych przedmiotów w antykwariatach i komisach lub drogą wymiany za żywność u chłopów czy rodzin sowieckich.

I tak dotrwaliśmy czerwca 1941 r. i ucieczki Sowietów przed Niemcami, którą obserwowałem będąc na Podkarpaciu, gdzie wkroczyły wojska słowackie sprzymierzone z niemieckimi. Pojawiły się nowe nieszczęścia. We Lwowie utworzono getto żydowskie. Początkowo, kiedy można tam było wchodzić, mama zabierała mnie z sobą i odwiedzała swoje koleżanki, aby im pomóc. Widziałem strasznie zabiedzonych i wychudzonych ludzi, stłoczonych w mieszkaniach pełnych brudnych szmat, a na ulicach szwargot i jazgot ludzkich głosów oraz potworny smród biedy, brudu i kału, które do dzisiaj pamiętam. Kilkakrotnie mieliśmy na noclegu uciekinierów z getta, wśród których zapamiętałem koleżankę mamy, Almę i jej męża. W lecie 1943 r. nastąpiła

wyróżniałem się szerszym i bogatszym doświadczeniem wśród grona miejskich maminsyneków.

Miałem iść do drugiej klasy, kiedy wybuchła wojna. Wykupione książki, a w tym podręcznik do nauki języka ruskiego, nie przydały się na nic. Polski program nauczania przewidywał już od drugiej klasy naukę języka ruskiego. Jest to przykład rzekomej „dyskryminacji narodowości ukraińskiej” na naszych polskich kresach.

najstraszliwsza część tej zbrodni – pamiętam lunę pożarów, kannonadę strzałów za operą, krzyki i hałasy, smród spalenizny. Wszystko to niosło się i falowało lecąc z zachodu na wschód przez całe miasto.

W tym czasie dostałem się do szkoły zorganizowanej w budynku zakonnym przy ul. Piotra i Pawła 39. Tutaj w okresie 1941-1943 skończyłem czwartą klasę. Pamiętam nauczycieli: p. Stanisławę Blus, p. Karwowskiego oraz ojca bernardyna, który doprowadził mnie do I Komunii. Przebywając u rodziny we wsi Liskowate chodziłem przez kilka miesięcy do wiejskiej szkoły, w której ok. 10 dzieci uczyła p. Maria Basista.

Budynki szkół, do których chodziłem, miały różnych lokatorów. Zakłady Naukowe im. Zofii Strzałkowskiej za obydwo pobytów Sowietów stały się szkołą dla dzieci rosyjskich, za okupacji Niemców gmach ten zajęła komenda Luftwaffe. Łączy się z tym fakt, że wiosną 1943 r. w tym rejonie zostały zrzucone przez aliantów najcięższe bomby. Koło szkoły, w pałacyku Jabłonowskich mieściła się komenda i sztab armii włoskiej. Budynek szkoły nr 65 przy ul. Stelmacha wraz z kilkoma domami studenckimi Niemcy wykorzystali na magazyny, a po przejściu frontu w 1944 r. Sowietci na przyfrontowe szpitale. Ich mieszkańcy, kalecy, obdarci i głodni krążyli po okolicy i rabowali co się dało.

Parokrotnie, dla bezpieczeństwa mego i rodziny, byłem ekspediowany do domu znajomej mamy, krawcowej Jadwigi Witkowskiej, zamieszkałej przy ul. Piekarskiej, gdzie przebywałem nieraz po kilka dni. Wychowanka czy też krewna tej pani była członkiem Armii Krajowej. W późniejszym okresie, po likwidacji komendy AK przez Sowietów, zginęła na Syberii. Nasz dom, ukryty głęboko wśród sąsiadujących ogrodów, nie ustrzegł się niemieckich rewizji i kontroli. Kiedyś, jak pamiętam, do domu wszedł patrol esesowców. Jeden z pilnujących naszego domu i biegających po ogrodzie bokserów rzucił się na Niemca. Kiedy ten mierzył już do psa z pistoletu, ja w ostatniej chwili uchwyciłem go za obrożę. Mój rozsądny odruch wywołał podobną reakcję u żołnierza: schował on pistolet i powiedział, że jest to piękny pies rasy niemieckiej.

Do moich zajęć pozaszkolnych należało roznoszenie prasy podziemnej, takiej jak „Biuletyn Informacyjny” i „Głos Ziemi Czerwieńskiej” do sąsiadów i zaprzyjaźnionych, dobrze znanych rodzin. Czasopisma te odnotowały z potępieniem mecz piłki nożnej odbyty między drużyną polską złożoną z przedwojennych zawodników pochodzących z różnych klubów, tak nazwaną lwowską jedenastką ubraną w biało-czerwone kostiumy, a drużyną niemiecką o nazwie KONA, stanowiącą reprezentację Generalnego Gubernatorstwa. Wprawdzie mecz ten odbyty na boisku chyba dawnego Sokoła wygrali Polacy z wynikiem 3:2, to jednak bratanie się z Niemcami i narażanie zawodników oraz kibiców na represje spotkało się z ostrą krytyką społeczeństwa polskiego.

W lipcu 1944 r. nastąpiła sowiecka ofensywa na Lwów. Gwardyjska dywizja pancerna wchodziła od strony Sichowa na ul. Zieloną, tracąc po drodze kilkanaście czołgów T 34, które potem przez parę miesięcy cuchnęły trupim czadem spalonych żołnierzy. Ciężkie walki trwały 2 tygodnie, a najbardziej ucierpiała na tym nasza dzielnica na skutek blokującego ostrzału artyleryjskiego wojsk niemieckich jak też bombardowania lotniczego.

Po wkroczeniu Sowietów do Lwowa została zaproszona przez nich komenda Armii Krajowej do ujawnienia się i zainstalowała się przy ul. Kochanowskiego u wylotu ul. Klonowicza. Wiele osób chodziło tam specjalnie by zobaczyć polski mundur czy opaski. Nie trwało to długo. Ujawnionych wywieziono do Związku Radzieckiego, wielu nadal ukrywało się, część przedostała się i wyruszyła na pomoc Warszawie. My młodzi musieli-



Mój ojciec Tadeusz Łaskiewicz z żoną Zofią z domu Kopernicką i mną. Leśnictwo Usza nad Uszą. 1936 r.

śmy iść do szkoły, ja do swojej 65 przy ul. Stelmacha. Znowu zawiązano pionierów, ale tym razem było mniej Żydów, bowiem większość zginęła lub poszła w świat.

Do tej szkoły, która stała się szkołą ukraińską, ale na szczęście z polskim językiem wykładowym, chodziłem jeszcze przez cały rok.

Z najwyższym szacunkiem wspominam nauczycieli Polaków, a to dyrektora Teofila Karwowskiego i jego żonę Stanisławę Blus oraz kochaną przez wszystkich nauczycielkę przyrody Annę Eberle. Jedynym antypatycznym wyjątkiem był Ukrainiec Kliszcz, którego wszyscy nienawidziliśmy, prawdopodobnie ze względów politycznych. Pewną ciekawostką tego okresu była tzw. wojenna podgotówka, czyli przysposobienie wojskowe, które prowadził podoficer sowiecki zwany przez nas Wojenruk. Przysposobienie to obejmowało musztrę strzelca, marsz w szyku, ćwiczenia w terenie, znajomość broni, składanie i rozbieranie na czas karabinu Nasin i automatu P.P.S2, celowanie, rzucanie granatem, następnie poznanie jego budowy, obronę przeciwgazową, ratownictwo. Obowiązywało ono od piątej klasy włącznie tj. od 12 lat i zajmowało 6 godzin tygodniowo.

Tak przeszła mi szósta klasa w r. 1944/1945. Ze szkoły tej pamiętam wielu kolegów, a to: Tadeusza Witka – „Kicię”, syna kierowcy z wodociągów miejskich, Tadeusza Balawendera, syna pracownika tychże wodociągów, Ryszarda Radomskiego, syna kowala-mechanika z sąsiedztwa, Artura Kożę, Edwarda Wrone z Pasiak, Mumyka – Rusina z Sichowa, Jurka Zalewskiego – „Zajka” z lwowskich cukierników, Janka Gałązkę, Jana Prokopowicza, Żyda Rubinowicza Hanusina oraz Ewę Galewicz. W szkolnych kręgach miałem przezwisko „Rabin” z tytułu długiego, przerobionego z kogoś z rodziny, czarnego płaszcza, kojarzącego

się z chałatem. Pamiętam też kilku kolegów spoza szkoły, takich jak Tadeusza Kuśnierza – „Pchelkę”, syna właściciela komisju, Jurka Rzepeckiego, syna pułkownika sowieckiego lotnictwa, który przywoził dziecku z okupowanej strefy bardzo ciekawe niemieckie zabawki typu militarne. Mieszkał on u naszego sąsiada p. Berlińskiego. Odwiedzałem również rodzinę Borejszów, których syn w moim wieku cierpiał na samotność z powodu częstych wyjazdów ojca. Przyjaźniłem się też z mieszkającym po drugiej stronie ulicy Leszkiem Parobkiem, później Dąbrowskim. Miał on rower, na którym nauczyłem się jeździć. Jego piękna starsza siostra obracała się w środowisku oficerów Armii Berlinga. Była to chyba czołówka frontowa. Dysponowali oni tanecznym zespołem teatralnym, wokół którego i my z kolegą kręciliśmy się, usiłując pomagać przy zakładaniu instalacji, oświetlenia czy nagłośnienia. Przyjaźniłem się również z Marysią Blus, córką nauczycielki oraz kuzynką, Krysią Bukowską, córką lwowskiej śpiewaczki.

W wolnych chwilach chodziłem do kina Bajka lub kina koło pomnika Fredry – gdzie wyświetlano sowieckie filmy, straszliwie propagandowe. W czasie tego upalnego lata chodziło się też na kąpielisko Zielone Oko lub na Żelazną Wodę. Było tam zwykle moc rannych z okolicznych szpitali, kąpiących się z cuchnącymi ranami, co nam, młodym, specjalnie nie przeszkadzało. W niedzielę chodziliśmy do kościoła najbliższego tj. białego i pogodnego ss. Sakramentek (był bliżej od parafialnego). Naszym kościołem parafialnym był kościół oo Bernardynów, a parafia była pod wezwaniem św. Andrzeja. Kościół Bernardynów był miejscem, gdzie odbywały się wszystkie ważne ceremonie religijne naszej rodziny. Bywałem często z Matką na cmentarzu Łyczakowskim, gdzie w 1939 r. został pochowany mój ojciec. Jego grób znajdował się parę metrów za kaplicą Obrońców Lwowa, po stronie cywilnej. Dziś grób ten został zlikwidowany i przekopany.

Mocno wrył mi się w pamięć dzień 8 maja 1945 r. – koniec wojny, kiedy nastąpiła spontaniczna iluminacja, jakiej już chyba nigdy nie zobaczę. W mieście znalazły się ogromne ilości żołnierzy obrony przeciwlotniczej, z których każdy czuł się zobowiązany do strzelania czym tylko się dało. Całe niebo było w ogniu, w górę waliła amunicja świetlna i ostra, świeciły reflektory, a na ziemię leciał grad odłamków. Trwało to całą noc, było jasno jak w dzień. Z czasem, po paru dniach te kanonady radości ucichły.

Porozumienie jałtańskie oddało Lwów Związkowi Sowieckiemu. Wobec alternatywy pozostania we Lwowie jako obywatele sowieccy zdecydowaliśmy się na wyjazd do Polski. We wrześniu nie poszedłem już do szkoły. Trzeba było likwidować resztki majątku, sporządzać skrzynki na dobytek. Matka załatwiała formalności dotyczące karty ewakuacyjnej, biletów, miejsca w transporcie, ja zajmowałem się pakowaniem. Na początku grudnia doczekaliśmy się podstawienia wagonów, z których każdy mieścił 4 rodziny i bagaż. Wszystkie bagaże ułożono tak, aby było miejsce do siedzenia, a także parę „gniazd” do leżenia i spania.

Nasz transport był drugim transportem uniwersyteckim. Po paru dniach stania na bocznicu pociąg zaczął toczyć się, a koła stukać na złączach szyn. Wtedy chodziły mi po głowie słowa piosenki: W dzień deszczowy i ponury...; usiłowałem też jak najdłużej zatrzymać w oczach widok wież kościoła św. Elżbiety.

Tadeusz Łaskiewicz

(wnuk Marceliego Kopernickiego, właściciela sklepu optycznego przy ul. Hetmańskiej 12, zamieszkałego przy ul. Szweczenki 9) □

Jerzy Duda

Narodziny „Pogoni” Lwów

W maju 1938 roku – w dwudziestą rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości – Lwowski Klub Sportowy „Pogoń”, jako pierwszy i jedyne jak do tej pory, wyróżniony został przez władze państwowe tytułem „najlepszego i najbardziej zasłużonego klubu sportowego w Polsce”. Był to niezwykle dowód uznania dla organizacji sportowej „tak silnej i potężnej, jakiej świat i Korona Polska nie widziały”, której sportowcy i działacze najpiękniej zapisali się w dziejach miasta, już wcześniej bo w 1920 roku odznaczonego przez Naczelnika Państwa Polskiego Józefa Piłsudskiego Krzyżem Virtuti Militari „za zasługi położone dla polskości tego grodu i jego przynależności do Polski”. Warto przy tym podkreślić, że Lwów został pierwszym miastem polskim odznaczonym tak godnie, był to hołd złożony także młodzieckim obrońcom Lwowa, którzy w sierpniu 1920 roku w Zadvórze powstrzymali natarcie potężnej sowieckiej formacji wojskowej, konnicy Siemiona Budionnego; poległo ponad 300 obrońców, ich ciała spoczęły na Cmentarzu Orłąt, tuż obok nekropolii Łyczakowskiej.

I właśnie dlatego, że sportowcy lwowskiej „Pogoni” we wszystkich zdarzeniach dla miasta ważnych udział wzięli, to w „historii polskiego sportu „Pogoń” lwowska ma miejsce szczególne... jest niepowtarzalna, a jej legenda i sława trwają do dzisiaj, choć klub skończył swój żywot jesienią 1939 roku... W pamięci pokoleń pozostał na zawsze...”¹⁾

Jeszcze dzisiaj, zwłaszcza wśród historyków sportu trwają namiętne spory co do daty powstania lwowskich klubów sportowych. Do takiej sytuacji przyczynili się sami działacze. Pierwszy jubileusz – dziesięciolecie – obchodziła „Pogoń” w 1917 roku, bo w 1907 roku przyjęto nazwę klubu. Z kolei obchody trzydziestopięciolecia zaplanowano na 1939 rok, bo właśnie w 1904 roku w klasie IV lwowskiego IV Gimnazjum powołano do życia Klub Gimnastyczno-Sportowy i z niego wywodzili się członkowie przyszłej „Pogoni”.

Zorganizowany ruch sportowy rozpoczął się jednak we Lwowie znacznie wcześniej. Kazimierz Hemerling wydawca i redaktor pierwszego na ziemiach polskich tygodnika sportowego „Gazeta Sportowa”, pisał 15 października 1900 roku²⁾: „Do współdziałania w gymkhanie, urządzonej przez Komitet Sportowy Lwowskiego Klubu Cyklistów i Towarzystwo Kolarzy na torze Lwowskiego Klubu Cyklistów zaproszono wcale dobrze zgraną partię gimnastyków z IV. Gimnazjum. Godność sędziego rozjemczego spełniał p. dr Eugeniusz Piasecki, sędziami granicznymi byli pp. Feigl i Hemerling. W ciągu 20 minut dały sobie obie drużyny po jednej bramce; partia zakończyła się wtedy 1:1. Młodzież IV Gimnazjum gra bardzo inteligentnie, zna reguły gry, orientuje się bardzo dobrze i jeżeli tylko będzie grę kontynuowała, można się po nich spodziewać doskonałych futbolistów. Zasługa w tym p. dra Piaseckiego, który potrafił złożyć tak dobrą partię i wpoić w nią ściśle zachowanie reguł. Byłby też najwyższy czas, aby i inne gimnazja pomyślały o wprowadzeniu tej przepięknej gry w program zabaw młodzieży.”

Nie był to przypadek wyjątkowy, bo już w kolejnym numerze „Gazety Sportowej” możemy przeczytać:³⁾ „Bardzo zajmująca była partia piłki nożnej, rozegrana 26 października przez Lwowski Klub Cyklistów i młodzież IV Gimnazjum, która coraz więcej okazuje rutyny i wprawy. Godność

kapitanów sprawowali: Horodyski po jednej, a Cerkiewicz po drugiej stronie. Gra trwała 15 minut, w której nie udało się żadnej partii – dzięki dobrej obronie – zrobić bramki. Partia zakończyła się tedy 0:0.”

Mimo niezbitych dowodów, że już w 1900 roku istniały w IV Gimnazjum drużyny piłkarskie, jedyne wówczas na terenie Lwowa, za datę powstania klubu przyjęto 1904 rok, wtedy bowiem stworzone wcześniej przez dra Eugeniusza Piaseckiego drużyny przyjęły oficjalną nazwę: Klub Gimnastyczno-Sportowy IV Gimnazjum. Z rokiem tym łączy się również data pierwszego wyjazdu poza Lwów, uczniowska drużyna wyjechała do Krakowa. Tam w Zielone Świąta w Parku Jordana z krakowskimi sportowcami rozegrano „pierwsze zawody w piłce uszatej i lekkiej atletyce.”⁴⁾

Była „Pogoń” Lwów kamyczkiem, który pociągnął za sobą lawinę. W latach 1907-1908 jako pierwszy klub w Polsce opracował statut, stworzył organizacyjną infrastrukturę klubową, zdobył miejsce na własne boisko i pobudował je, potrafił w swoje szeregi przyciągnąć młodzież, a pełnienie funkcji działacza sportowego było swoistą nobilitacją społeczną. Za przykładem Lwowa poszedł Kraków, tam usamodzielnili się: „Cracovia”, „Wisła”, Akademicki Związek Sportowy, jak grzyby po ulewie pojawiły się prowincjonalne kluby: „Pogoń” Stryj, „Revera” Stanisławów, „Kresy” Tarnopol, „Pogoń” Złoczów itd. I chociaż fanatykom lwowskiej „Pogoni”, a takich wciąż jeszcze można spotkać, nawet przez myśl nie przejdzie, że może jednak pierwsza była „Sława”, czy też „Czarni”, to co do jednego, zwolennicy różnych lwowskich klubów, są zgodni: działaczem niezwykłym, który dał początek potędze lwowskiego sportu i towarzyszył narodzinom wszystkich lwowskich klubów sportowych był prof. dr Eugeniusz Piasecki.



*Prof. dr Eugeniusz Piasecki
Pierwszy prezes Lwowskiego Klubu
Sportowego „Pogoń” Lwów – 1907 r.
Pierwszy prezes Polskiego Związku
Sportowego – 1909 r.*

uczycielem gimnastyki w IV Gimnazjum we Lwowie, w tymże roku ogłasza też drukiem swoją pierwszą publikację naukową: „Wpływ ćwiczeń cielesnych na rozwój psychiczny młodzieży”. Na przełomie roku szkolnego 1899/1900 organizuje pierwsze uczniowskie drużyny piłki nożnej, a w 1904 roku

Urodził się 13 listopada 1872 roku we Lwowie, w znakomitej rodzinie. Ojciec Wenanty był doktorem medycyny, założycielem „Sokoła”, jednym z pierwszych wszechstronnie wykształconych nauczycieli gimnastyki. W Krakowie, Eugeniusz Piasecki zetknął się z dr. Henrykiem Jordanem, stał się jego gorącym zwolennikiem. W 1899 roku jako młody lekarz zostaje na-

powołuje do życia Klub Gimnastyczno-Sportowy IV Gimnazjum, zalegalizowany przez dyrekcję szkoły; był to załóżek „Pogoni”, jednej z trzech pierwszych – obok „Czarnych” i „Lechii” – organizacji sportowych Lwowa. Utworzone przez Eugeniusza Piaseckiego pod koniec 1904 roku Towarzystwo Zabaw Ludu i Młodzieży obejmuje zakresem działania młodzież całego miasta, a prezesem honorowym Towarzystwa, przemianowanego w 1906 roku na Towarzystwo Zabaw Ruchowych zostaje dr Henryk Jordan. Towarzystwo to daje początek szybko potężniejszemu na terenach dawnej Polski ruchowi sportowemu. W 1907 roku w wyniku połączenia Klubu Gimnastyczno-Sportowego z „Lechią” powstaje Lwowski Klub Sportowy „Pogoń”. Jego pierwszym prezesem zostaje Eugeniusz Piasecki, lecz funkcję tę sprawuje tylko do roku 1909, w tym bowiem roku młode kluby Galicji zjednoczą się w Polski Związek Sportowy. Na czele tej organizacji staje twórca „Pogoni”, ale w myśl statutu nowo powstałego Związku nie można łączyć dwóch prezesur. Wspólnie z Józefem Schreiberem wydaje pierwszy polski podręcznik „harcerstwa”; tę polską nazwę skautingu Baden-Powella zawdzięczamy właśnie Eugeniuszowi Piaseckiemu. W 1909 roku zostaje docentem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, jest specjalistą z zakresu higieny szkolnej, prowadzi kurs teorii wychowania fizycznego. Zagnany losem I wojny światowej do Kijowa wykłada tam w Polskim Kolegium Uniwersyteckim. W 1919 roku już w wyzwolonej

Polsce obejmuje Katedrę Higieny Szkolnej i Teorii Wychowania Fizycznego na Wydziale Filozoficznym, później Lekarskim Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Katedra wkrótce zostaje przemianowana na trzyletnie Studium Wychowania Fizycznego, gdzie kształceni są przyszli nauczyciele wychowania fizycznego. Jako zadeklarowany przeciwnik niezdrowej manii rekordów, podjął w 1925 roku inicjatywę stworzenia w Polsce – na wzór Szwecji i Finlandii – państwowej odznaki sportowej, powszechnej, wkrótce w życie wprowadzonej. Wdzięczni Lwowianie przyznali swojemu wybitnemu obywatelowi tytuł honorowego prezesa „Pogoni” Lwów. Profesor Eugeniusz Piasecki, autor kilkuset prac naukowych, wydanych drukiem w wielu krajach i w wielu językach, marzył o wskrzeszeniu rodzinnych, narodowych igrzysk sportowo-rekreacyjnych, na wzór wskrzeszonej muzyki i sztuki ludowej. Zmarł w 1947 roku w Poznaniu, z dala od ukochanego nade wszystko Lwowa.

Przypisy:

- 1) Andrzej Gowarzewski i inni: Lwów i Wilno w ekstraklasie. Dzieje polskiego futbolu kresowego. Katowice 1997 GiA, str. 18.
- 2) Gazeta Sportowa, nr 15 z 15 X 1900 roku, str. 121.
- 3) Gazeta Sportowa, nr 16 z 1 XI 1900 roku, str. 129.
- 4) Księga Pamiątkowa. „Pogoń” Lwów 1904-1939. Lwów 1939 LKS „Pogoń”, str. 7.

Adam Więcek

Jakub Potocki, twórca Fundacji do Badań nad Rakiem i Gruźlicą, mecenas sztuki, Honorowy Obywatel Miasta Brzeżan



Jakub Ksawery Aleksander hr. Potocki 1863-1934

Brzeżany, stare kresowe miasto na krańcach Podola, wydało wielu znanych i zasłużonych dla kraju ludzi. Jednym z nich był na pewno Jakub Potocki (1863-1934), ziemianin, twórca jedynej tego rodzaju w Polsce międzywojennej fundacji do badań nad rakiem i gruźlicą, chorób tak groźnych w ówczesnych czasach.

Jakub Potocki urodził się w Berlinie i tam ukończył gimnazjum. W latach 1885-1888 studiował prawo na uniwersytecie w Dorpacie (dziś Tartu, w Estonii), później zaś rolnictwo w Wyższej Szkole Rolniczej w stolicy Niemiec.

Po przejęciu majątku, po śmierci ojca Stanisława (zm. 1887), założyciela bogatego księgozbioru w podbrzeżańskim raju, młody Jakub kontynuował swe zainteresowania humanistyczne wspierając hojnie życie artystyczne i kulturalne kraju.

Odziedziczone po ojcu dobra obejmowały łącznie ponad 30 000 hektarów ziemi, liczne pałace i dwory, budynki w Paryżu oraz udziały w bankach i przedsiębiorstwach francuskich. Rozrzucone były one głównie w południowo-wschodniej i centralnej Polsce. W ich skład wchodziło 38 folwarków w powiecie brzeżańskim, dobra w Helenowie i Jaktorowie w pow. Błonie, w Miastkowie i w Osiecku w pow. garwolińskim, w Wysokim Litewskim i Telatyczach niedaleko Brzeżcia nad Bugiem oraz w Pratulinie, pow. Biała Podlaska. Do roku 1918 był też Potocki właścicielem majątku w Bałabanówce na Ukrainie.

Jakub Potocki był wielkim miłośnikiem książek. W swoich pałacach założył i stale wzbogacał cenne księgozbiory. Na szczególne wyróżnienie zasługuje biblioteka w Helenowie koło Warszawy, licząca ponad 12 000 dzieł, w tym 2 700 rzadkich starodruków, bogatą kolekcję literatury angielskiej i francuskiej oraz cenny zbiór wartościowych rękopisów. W jej skład wchodziły m.in. zakupione przez Jakuba w 1912 r. zbiory książek z zakresu archeologii i numizmatyki oraz nauk przyrodniczych z kolekcji Kazimierza Stronczyńskiego oraz Jana Wincentego Bandtkie-Stężyńskiego. Niemniej bogaty w bibliofilskie rzadkości księgozbiór, założony jeszcze przez ojca Jakuba, przechowywany był w podbrzezańskim pałacu w Raju, który z kolei obejmował m.in. dawną bibliotekę Ignacego Łosia oraz Józefa Pruszyńskiego z zamku w niedalekich Pomorzanach. Podobne księgozbiory przechowywane były jeszcze w pałacach Potockiego w Wysokim Litewskim oraz w Bałabanówce za Zbruczem. Ten ostatni uległ całkowitemu zrabowaniu i zniszczeniu w czasie rewolucji bolszewickiej w 1918 r.

We wszystkich wspomnianych bibliotekach znajdowały się też cenne pamiątki rodziny Potockich, stare sztychy oraz kolekcje kartograficzne jak i inne zabytkowe przedmioty, głównie z zakresu rzemiosła artystycznego.

Potocki był mecenasem z prawdziwego zdarzenia. Hojnie obdarowywał zwracające się do niego komitety budowy kościołów, cerkwi grecko-katolickich domów ludowych, sierocińców, domów starców i szpitali, tak dla Polaków jak i dla Ukraińców. Wspomagał też finansowo polskie towarzystwa charytatywne w Berlinie i w Paryżu. Dla Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie ofiarował m.in. cenne obrazy Jana Matejki „Unia Lubelska” oraz „Wit Stwosz”. Systematycznie uzupełniał również własne zbiory dzieł sztuki w swoich pałacach o zakupy nowych obrazów, rzeźb, tkanin, starych mebli oraz innych przedmiotów z zakresu rzemiosła artystycznego.

Jakub Potocki nie cieszył się najlepszym zdrowiem. Postępująca, jak się później okazało, nieuleczalna choroba stopniowo niszczyła jego organizm i pozbawiała sił. Będąc wdowcem, bezdzietnym a zarazem ostatnim z brzeżańskiej linii Potockich przeczuwał zbliżający się koniec swego życia. Przed śmiercią, która nastąpiła dnia 27 września 1934 roku sporządził testament, w którym znalazły się m.in. takie jego decyzje: „Dążąc do tego aby majątek odziedziczony po przodkach stał się wartością trwale pożyteczną – postanawiam przeznaczyć mój majątek na utworzenie Fundacji, która by przyczyniła się do ulżenia doli obywateli należących do Państwa Polskiego, zmniejszając cierpienia ludzkie, spowodowane nie zwalczonymi dotychczas przez badawczą myśl ludzką chorobami, a w szczególności rakiem i gruźlicą...”. W związku z tym „me dobra i wartości zapisuję na własność mającej powstać Fundacji mego imienia, której celem będzie wszelka działalność zmierzająca do walki z tymi chorobami, a w pierwszym rzędzie badania naukowe, prace laboratoryjne, popieranie i danie środków na wynalazki w tym kierunku... aby Polska przodowała innym narodom w zdobywaniu postępów w lecznictwie i niesieniu pomocy cierpiącym...”.

Na rzecz Fundacji przechodziły więc wszystkie majątki w kraju i za granicą, to jest ponad 30 000 hektarów ziemi, szacunkowej wartości ok. 40 milionów ówczesnych złotych polskich. Natomiast zabytki ruchome posiadające wartość historyczną bądź artystyczną, a więc

obrazy, gobeliny, rzeźby, meble, wyroby rzemiosła artystycznego itp. przekazał Potocki testamentem Muzeum Narodowemu w Warszawie z zaznaczeniem, że w wypadku ich eksponowania, w podpisach powinna być zaznaczona ich proveniencja.

Natomiast zbiory książek i rękopisów z rezydencji w Helenowie zapisał Potocki Bibliotece Publicznej w Warszawie.

Na wykonawcę testamentu wyznaczył Potocki Bronisława Czuruka oraz Kazimierza Moszyńskiego (zm. 1966), byłego wojewodę tarnopolskiego, zaś organem zwierzchnim Fundacji miała być Rada Fundacyjna, na czele której stał prof. Witold Chodźko oraz 8 członków, rekrutujących się głównie ze świata lekarskiego.

Ponieważ faktyczne przejęcie Fundacji przez władze państwowe przeciągało się z powodu nieuczciwości pełnomocników sprawa została uregulowana decyzją ministra opieki społecznej, który rozwiązał dotychczasową Radę Fundacyjną, a na jej miejsce powołał Zarząd Fundacji w składzie: prof. dr Witold Chodźko (zm. 1954) z Lublina, dr Tadeusz Garbusiński, adwokat Stefan Senkowski, dr Alfons Kuehn oraz ppłk. Stanisław Raczyński.

Uporządkowana gospodarka Fundacji przynosiła odtąd co roku coraz to większe dochody, umożliwiając m.in. wyposażenie istniejącego od 1932 r. Instytutu Radowego w Warszawie w odpowiednią specjalistyczną nowoczesną aparaturę, zorganizowanie kilku ośrodków filialnych (m.in. w Wilnie). Od 1935 r. zaczęto też przyznawać stypendia dla wyróżniających się lekarzy-naukowców, którzy zamierzali poświęcić się badaniom raka lub gruźlicy. Wśród pierwszych wyróżnionych znaleźli się m.in. dr Zbigniew Oszał (zm. 1967), późniejszy profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz doc. Antoni Dmochowski (zm. 1983) i dr Andrzej Biernacki (zm. 1963), późniejsi profesorowie wyższych uczelni w Warszawie.

Potocki był człowiekiem skromnym i nie lubił się udzielać na zewnątrz. Nikomu, kto prosił nie odmawiał pomocy czy wsparcia. W uznaniu jego zasług dla regionu miasto Brzeżany przyznało mu tytuł honorowego obywatela Brzeżan. Natomiast rząd polski odznaczył Jakuba Potockiego, krótko przed jego śmiercią, najwyższym polskim odznaczeniem – Krzyżem Wielkim I klasy Orderu Odrodzenia Polski.

Potocki zmarł po długiej i ciężkiej chorobie w Helenowie i pochowany został w ulubionej swej rezydencji w pałacu w Raju pod Brzeżanami.

Wybuch II wojny światowej położył niestety kres dalszej działalności Fundacji. Dobra leżące na wschód od Sanu i Bugu skonfiskowały władze radzieckie, zaś rezydencje i pałace zostały obrabowane i doprowadzone do ruiny. Pozostała, mniejsza część majątku Fundacji, przypadła po roku 1945 Polsce i została upaństwowiona przez władze PRL. W rezultacie Fundacja imienia Jakuba Potockiego przestała istnieć. Czy słusznie? Czy leżące obecnie w granicach Polski posiadłości nie powinny powrócić do reaktywowanej Fundacji?

Nawet niektóre dary Potockiego dla istniejących i działających w kraju instytucji zostały przez władze PRL inaczej rozdysponowane. Przykładem mogą być dwa cenne obrazy Jana Matejki, ofiarowane jeszcze za życia Jakuba Potockiego dla Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, po wojnie bezprawnie odebrane prawowitym właścicielom i przyznane innym krajowym muzeom. □

Wspomnienie pogromu wsi Parośle

Gdzieś pomiędzy Włodzimiercem a Rafałówką, wśród lasów wschodniej połaci Polesia Wołyńskiego leżała wieś Parośle. Teren jest tu nizinny. Otaczające wieś lasy zawsze ograniczały kontakty z sąsiadami.

Po obu stronach piaszczystej drogi stało trzydzieści gospodarstw. Z jednej strony ulicówki były pomieszczenia gospodarcze, a po drugiej stronie stały bielone wapnem drewniane domy mieszkalne. We wsi mieszkali polscy koloniści osadzeni tutaj po I wojnie światowej. Byli to zdemobilizowani legioniści, zdolni organizatorzy życia kulturalnego wsi i uczestnicy licznych imprez kulturalnych.

Parośl była cichą osadą żyjącą na wygasłym wulkanie, który miał się obudzić groźnym wybuchem ognia. Tocząca się daleko II wojna światowa miała wkrótce i tutaj zebrać swoje żniwo.

Jak wielu paroślan, również rodzina Chorążyczewskich nie miała żadnych konfliktów ze społecznością ukraińską zamieszkałą w sąsiedniej wsi Żółkinia. Ich syn Tadeusz, rocznik 1930 (obecnie rencista zamieszkały w Stobrawie pow. brzeski woj. opolskie), tak wspomina ten ponury dzień.

Po północy, dziewiątego lutego 1943 roku do wsi weszli partyzanci mówiący po rosyjsku. Ubrani byli w wojskowe płaszcze żołnierzy Armii Czerwonej i w wojskowe buty. Byli to ukraińscy mieszkańcy Żółkini, uzbrojeni w broń radziecką i niemiecką. W mieszkaniu Chorążyczewskich rozlokowało się 20 mężczyzn. Zabronili wychodzenia do sąsiadów i kontrolowali wszystkie czynności gospodarskie. Po południu nakazano paroślanom skrócić sznurków z konopii. Pod pozorem represji niemieckich za odmowę denuncjacji na ludzi z lasu przybyłe polecili położyć się paroślanom twarzą do podłogi z powiązanymi rękoma. Jedynie sołtys miał donieść władzom niemieckim o pobycie partyzantów. Sąsiad Mieczysław Bugajewski poznał przybyśców z Żółkini. Będąc muzykantom grał na akordeonie na weselach, również i w Żółkini. Teraz bronił się przed przemocą i został zastrzelony. Następnie z podwórza do izby wpadły watahy ukraińskich morderców z siekierami rąbiąc leżących. Wówczas rozległ się straszliwy krzyk mordowanych, ryk

bydła i wycie psów. Tadeusz został trafiony siekierą w głowę, a bagnet rozłupał mu policzek.

Krzyk bydła i krzyki mordowanych zwabiły przechodzący oddział żołnierzy niemieckich. Niemcy robili zdjęcia pomordowanym i polecili zabrać ocalałe dzieci. Zakrwawionego Tadeusza nakryto kocem i zawieziono do szpitala we Włodzimiercu. Tam przeprowadzono dwie operacje zmiażdżonej czaszki. Rehabilitacja ruchowa trwała przez całą połowę 1943 roku.

W tym samym szpitalu leżeni byli inni ocaleni z pogromu. Młody Roman Strogowski ocalał tylko dlatego gdyż ranę zatamowało pierze z rozciętej pierzyny. Obok z Brzeziny przywieziono 16-letniego Aleksandra, który widział pogrom swojej rodziny. Po skutecznej obronie wsi Antonówka, Tadeusza i Romana zabrało stryjostwo. Pod koniec czerwca 1943 roku władze niemieckie na stacji Antonówka ustawiły pociąg do Bawarii. Pociągiem przewieziono dzieci i dorosłych paroślan do obozu pracy w Lauf pod Norymbergą. Tam przeżyli ostatnie lata II wojny.

Wśród zabitych był sołtys Jan Chorążyczewski. Zginął Szczepan Gomułka były dowódca „Strzelców”. Zginęli rodzice Tadeusza Chorążyczewskiego oraz trzej bracia Antoni, Stanisław, Stefan oraz dwie siostry, Krystyna i Zuzanna. Wśród wielu przerażających widoków Tadeusz pamięta dwuletnie dziecko przybite nożem do stołu, a także dwóch ukrywających się w piwnicy Żydów. Wydostawszy się z piwnicy mieszkania Chorążyczewskich wyszli spod szafy i natychmiast zemdleli widząc ofiary pogromu.

Parośl została spalona, a mienie zrabowano. Z dwustu jej mieszkańców zostało tylko 10 osób, świadków wydarzenia. Zwłoki pomordowanych zostały pogrzebane uroczyście przez okoliczną ludność polską. Na mogile został usypany kopiec i ustawiono krzyż. W lesie, który porasta w tym miejscu, stoi krzyż ogrodzony siatką. Wystawiony ponownie przez okoliczną ludność ukraińską został poświęcony przez prawosławnego duchownego. Cisza lasu i śpiew ptaków to teraz jedyna laudacja zgładzonych paroślan. □

Franciszka Grodecka

Wspomnienia (c.d.) V

Żyliśmy wszyscy wspomnieniami, a sny nasze... wstyd się przyznać... o jedzeniu. Rano, gdy dygocąc z zimna, dzieci opowiadały sobie: śniły mi się bułki z szynką... Co mówisz, niemożliwe... tak, tak... Wiesz mamusiu, śniła mi się czekolada i pączki i dużo chleba... i to z masłem i herbata z cukrem...

Matkom lzy spływały po twarzach, bo i tego chleba było coraz mniej, a o cukrze zaczęło się marzyć. A i starsi zaglądali do siebie po pracy. Wie pani, śnił mi się barszcz taki ze śmietaną i jajkami i kotlety wieprzowe z kapustą. A te rozmowy nie pochodziły z łakomstwa, nie, tylko że dostaliśmy się w specjalne warunki głodowania.

Staruszkę naszą p. Marię Rudnicką odesłano z jakąś huculką do Lwowa, jako nieprawidłowo wywiezioną. Biedna starowina musiała pieszo iść stepem na dworzec. Jurek

przeniósł jej rzeczy. Otrzymałam list z Polski, ze Lwowa, że zajęchała szczęśliwie. Po przyjeździe leżała krzyżem w kościele OO. Dominikanów z wdzięczności Bogu za ocalenie. Opowiedziała księżom nasze życie, pracę ponad siły. To wszystko powiedział O. Gundysław Junik z ambony w niedzielę, gdy kościół był wypełniony po brzegi. Wszyscy płakali na głos. Pisała mi o tym Mańkowska, bo była tam obecna. Od p. Rudnickiej otrzymałam dwa listy pełne błogosławieństw dla nas. Czciałam ją jak matkę.

Na sąsiednim „zawodzie” został zamordowany 24-letni student medycyny. Matka pojechała do Semipałatyńska, by coś sprzedać i kupić żywność. On spał po nocnej pracy. Młodszy jego brat wyszedł do lasu po kwiaty dla mamy na imieniny. Zabity został nożem, z ręki zdjęto mu zegarek. Nie przeprowadzono żadnego śledztwa.

Lato w Kazachstanie jest bardzo gorące, a przy tym są huraganowe wiatry tzw. „burany”, w lecie dość częste. Już z daleka widać taką „buranową” żółtą chmurę, która sięga do ziemi jak ogromny lej, a posuwa się z wielką szybkością i

porywa wszystko co się znajdzie na jej drodze. Człowiek był w wielkim niebezpieczeństwie, gdy go ta chmura porwała, wiatr przewracał jak piórkiem, przy czym piasek zasypywał oczy, usta i uszy. Robiło się zupełnie ciemno, jak w nocy. Trwało to nieraz godzinę.

Nie było u nas klamek w drzwiach, tylko zasuwy, które musiały być odsunięte w czasie dnia. Ruscy wchodzili bez pukania, to po „spiczki”, to po „gaziotku”, mówili też „dawaj pokurit tetia” (tetia to gospodyni). Prosilili o chleb, którego im brakowało, jak nam.

Nadeszła zima, ciężka, śniegi, przyszły mrozy, zaprzestano wypalania cegieł. Zwożono z lasu pręty, zamrożone, oblodzone, które musieliśmy sortować na robienie koszy. Kosze wyrabiali ruscy. Ręce bolały nas od zimna, przymarzały do prętów. Tyle dobrego, że pod dachem świetlicy, ale nieopalaney.

Już w zimie wybudowano nam murowany barak. Wilgoć, powietrze okropne. Jakie to wielkie szczęście, że miałam futro z wysokim kołnierzem, mogłam na dworze pracować. Dzieci marzły w baraku. Szalona była wilgoć, za ściany się łało. Rano nie mogliśmy oderwać włosów od ściany, tak przymarzały. Mieszkałam w większej izbie z 16-ma osobami. Tu były kradzieże. Dostawaliśmy zupe, po którą chodził do Żana Semej, za stepem, Jurek, na zmianę z Bolkiem Ilnickim. Pewnego razu już pod samym domem potknął się na lodzie, zupe wylał. Nie miał odwagi wejść, wiedząc, że to było całe pożywienie 8 osób.

Grudzień 1940 r. Przed 6-tym grudnia (św. Mikołaja) pytamy dzieci, co by chciały, aby im św. Mikołaj przyniósł? Odpowiedziały chórem: dużo chleba. ... Zaczęłyśmy z p. Ilnicką pertraktować w sklepie, aby nam sprzedał cały duży bochen na uskładane kupony. Zgodził się, wybieramyśmy tylko porcje dzieci. Ile łąz wylałam przy krojeniu tegoż w wigilię św. Mikołaja dla 5-ciorga dzieci. Szczęśliwie dostaliśmy białą kiełbasę i słoik kompotu.

Nie jestem w stanie opisać radości dzieci, gdy rano zobaczyły duży kawał chleba... A matkom krajało się serce.

Przed Bożym Narodzeniem otrzymałam od przyjaciółki Halki Stankiewicz paczkę, w której była zielona gałązka choinki przetykana anielskimi włosami, mąka, cukierki i opłatek. Co za radość... Coś sprzedałam, kupiłam ziemniaków, zrobiliśmy pierogi. Zasiadliśmy do tułacej wigilii, płaczu co niemiara, modlimy się, dzielimy opłatkiem. Po wspaniałej, jak na tamte warunki, kolacji opowiadamy dzieciom o tradycji świąt, o narodzeniu Dzieciątka Jezus, o Pasterce itd. Uniesiona wspomnieniem jakże szczęśliwego dzieciństwa, potem tragedii naszej i naszego Narodu, nie mogłam wyrzec słowa, cisza była wielka. Nagle usłyszeliśmy kołędę „Bóg się rodzi...” Myślałam, że to halucynacja, że coś mi źle w głowie, że mi się zdaje... Zdawało się nam, że to aniołowie śpiewają... To było coś nadzwyczajnego... A to przyjaciółka moja Janka Dziedzic z sąsiedniego „zawodu” przysłała z córkami i p. Wandą Łuszczynską z dziećmi, aby się podzielić z nami opłatkiem. Weszli ze śpiewem do baraku, wszyscy płakali z nami. Tego nigdy nie zapomnę.

Korespondujemy nadal. W każdym naszym liście przebiega się tęsknota za Lwowem, bo wracają z ich listami wspomnienia. Piszą nam, że we Lwowie bardzo smutno, zostali w rozpacz. A my piszemy, że nam brak wszystkiego, że ludzie tu pocziwi, oni też cierpią niewolę, czekają na zmiany, a my na zimę i śnieżne burany. Mówią, że tu mróz i śniegi po stepach szaleją, ale pocieszają, że Irtysz zamarźnie, bliższa będzie droga do miasta, kupić chleba „niemnego”. Po-

woli przyzwyczajamy się do biedy, cieszymy listami, wspominaemy, jak to było nam dobrze razem w domu... Życie tu inne, myśl męczy uparta, jaka będzie dalsza zima, bo buty mamy zdarte...

Pewnego razu w zimie zjawił się pod naszym oknem duży wilczur. Patrzył, skomleniem prosił o jedzenie. Sami nie mieliśmy, ale dzieci dzieliły się z nim. Była to suczka, urodziła czworo szceniąt, musiałam je potopić, bo nie było warunków na utrzymanie. Przeżyłam to bardzo.

Za naszym „zawodem” mieszkał wysoki, barczysty mężczyzna, przychodził do naszego sklepu po chleb. Gdy był jeszcze daleko wszystkie psy wychodziły naprzeciw i przez różliwym szczekaniem prowadziły i odprowadzały. Miał na sobie dużą szubę z psich skór. Mówili nam, że ma on gruźlicę, zabija psy i leczy się ich tłuszczem. Jednego dnia zniknął i nasz pies przybłąda, dzieci płakały za nim. Wracając wraz z dziećmi z Semipałatyńska miałam ciekawe zdarzenie. Gdy byliśmy niedaleko domu tego człowieka, wybiegł nasz pies, niosąc w pysku żywą jeszcze kurę. Rzucił nam pod nogi i uciekł. Nie wiedziałam co robić, wziąć tę kurę, czy nie. Ale rozsądek nakazał mi wziąć. Prezent to nie lada, obiad dla 8 osób. Czy nie ciekawe to? Tak wygląda psia wdzięczność. Jakoś niedługo i ona zginęła na smalec...

Zaczęli napływać do Żana Semej, z dalekiej Alma-Aty, ludzie ruscy, którzy należeli do tzw. elity w poszukiwaniu naszych ubrań, zegarków itp. Wieść bowiem niosła, że u Polaków można dostać te rzeczy. Znaleźli to u nas, bo panie miały jeszcze, sprzedawano, aby nie głodować.

Z NKWD otrzymałam za wspaniale ocenione meble mego mieszkania tysiąc bezwartościowych rubli. Dzięki staraniom inż. Bogdana Łazoryka przesłano mi z biura 300 rubli, za trzymiesięczną pracę. Zawsze, gdy już było beznadziejnie nadchodziła pomoc. I tak szczęśliwie przeżyliśmy lato i zimę.

6 marca 1941 r. wezwano mnie do kantoru. Przyjechał naczelnik NKWD z Semipałatyńska. Ogarnęła mnie i wszystkich rodaków rozpacz, że na pewno będę aresztowana. Iść nie mogłam, nogi odmówiły posłuszeństwa. Wzięłam z sobą dzieci. Gdy dzieci odesłano do baraku, byłam pewna aresztowania. Musiałam też odpowiednio wyglądać, bo podano mi krzesło. Pyta się naczelnik «tyś pytała o męża, on jest w Kijowie, tiorma Nr 2, możesz pisać i przesłać pieniądze». Z radości rozplakałam się, że nie aresztują. Widziałam twarzyczki dzieci w oknie kantoru, płakały. Ile to kosztowało zdrowia. Napisałam zaraz, wysłałam 20 rubli, zrobiłam zdjęcie u fotografa. Gdy przywiozłam do domu powiedziały mi, że go zabiję tym zdjęciem. Wobec tego wysłałam tylko list, że żyjemy, jesteście zdrowi, dodawałam otuchy itd. Boże, jak Jurek biegł stepem na pocztę. Po dwóch miesiącach otrzymałam zwrot pieniędzy, odpowiedzi żadnej. A tyle było radości, że żyje, że może wszystko przetrzyma i wróci do nas. Ot, zakpili z ludzkiego nieszczęścia, a tak, gdy nas zabierali uroczyście zapewniali, że połączą rodziny.

Przednówek, bieda aż piszczy. W Semipałatyńsku była fabryka konserw „miesokombinat”. Płynęły z niej Irtyszem odpadki. Łowiliśmy je, myli, szorowali i gotowali, aby choć troszkę mieć tłuszczu.

U Kazachów baranie głowy, a szczególnie oczy to nie lada przysmak, a dostawał się najważniejszej osobie w rodzinie. Napatrzyłam się na te przysmaki, jak je Kazaski sprawiały. Z innych przysmaków to solone kawony przechowywane tak, jak kapusta. Jest tam niezwykle urodzaj na

słodkie kawony. Podczas jedzenia Kazachowie siedzą po turcku. Wkoło okrągłego stolika siedzi cała rodzina, na stole misy z jedzeniem. Na dworze już słysząc, że jedzą i że im smakuje. Siedzą w kucki wszędzie na bazarze, w domu, przed domem kiedy zajadają się „siemieczkami”, które oblepiają im brody łupinami, z lubością wypluwają jak daleko mogą.

Nad Irtyszem praliśmy patykami bijąc tę biedną naszą w strzępach już bieliznę.

Za otrzymaną z Polski herbatę dostałam od Kazacha małe żywe cielątko. Wyhodowali go w mieszkaniu pod łóżkiem. W Rosji muszą wszystko oddawać co się urodzi, czy to w polu, czy w oborze – rządowi. Kazach za herbatę odda wszystko. Tak mamy to cielątko, byłoby co jeść, ale kto to biedne stworzonko zabije. Ofiarowała się jedna kobieta ze wsi Pańczyszyn. Kazaliśmy dzieciom śpiewać, krzyżeć, aby zagłuszyć ryk, a tymczasem ona tęym nożem podrzynała gardło. Trzymałyśmy to biedne stworzenie. Jurek trzymał je za nogi – zemdlął. Spuszczoną krew smażyłam potem na kuchni i serdecznie płakałam, że musiałam być świadkiem tego koszmaru. Głód jednak zmusza do wszystkiego. Trudno nam było to jeść, proszę wierzyć.

Chociaż na ogół los nasz był do siebie podobny, bywały i tu różnice. Wszystko zależało od tego, ile kto rzeczy zdążył zabrać z domu. Te matki, które miały starsze dzieci, lepiej dawały sobie radę, bo wszyscy pracowali. Które umiały szyć miały wszystko, mleko, masło, ser, bo żony „wyższych” zapraszały do szycia do domu. Tu wspominałam radę mojej śp. Mamy, która mi zawsze mówiła, abym się uczyła szyć, nie dla zarobku, ale choć dla siebie, dla dzieci. Święte słowa.

Przed Wielkanocą ukazała się zorza polarna. Było to przedziwne zjawisko. Dla nas zjawiska takie były znakiem, że stanie się coś niezwykłego w świecie i los nasz się zmieni. Zachody słońca były piękne, a niebo było tak bliskie, iż zdawało się, że z jakiejś góry można je osiągnąć. Czasem złote, to znów różowe, lub czerwono zapalone. Rusczy byli przejęci tą zorzą, a że są zabobonni wróżyli wojnę. A myśmy nabierali otuchy, patrząc na te znaki na niebie.

Doczekaliśmy szczęśliwie upragnionej wiosny. Irtysz miał lada chwila ruszyć, lody topniały coraz bardziej, przeprawa lodem niebezpieczna, musieliśmy zadowalać się resztkami tego co nadeszło w paczkach. W samą Wielką Sobotę Irtysz ruszył, w przeddzień pierwszej rocznicy naszego zesłania.

Przyszedł maj, raźniej na duszy, modlimy się jak dawniej. Byłam bardzo wyczerpana zimą i zmartwiona brakiem pożywienia dla dzieci.

Wiele pań przeniosło się do miasta, te lepiej sytuowane. W wielkiej tajemnicy otrzymywały paczki ze Szwajcarii, na pewno z jakiejś charytatywnej instytucji. To też dowód egoizmu.

Ale jak zwykle w ciężkich chwilach Bóg zsyłał nam pociechę, tak i tym razem otrzymałam od kolegów wodociągowych 60 kilogramową pakę. Boże drogi, co za szczęście nie do opisania. Ledwie z dziećmi przyciągnęłam stepem do domu. Jak błogosławiłam wszystkich. Wierzę święcie, że dlatego mi Bozia pomagała, bo nie byłam egoistką.

Ostatni list z Polski otrzymałam 9 czerwca 1941 r.

22 czerwca 1941 r. megafony w Semipałatyńsku krzyczały się o napadzie „germańskich krwiopijców” na

spokojne sowiety, które pragną tylko pokoju. Nasze miny poweselały na tę wiadomość. Tak samo cieszyli się Chińczycy i Japończycy.

Ogłoszono amnestię dla Polaków. Zawiadomiono nas, że otrzymamy tzw. „udostwienie”, papiery polskiego obywatelstwa. Mieliśmy się z naszymi paszportami, wydanymi na zesłaniu, stawić w budynku NKWD i tam je nam wydano. Dowiedzieliśmy się, że Polska i Anglia stały się aliantami, że zaczęło się formować wojsko polskie do walki z Niemcami.

Powstały polskie delegatury, które robiły spisy wywiezionych Polaków. Niestety nie wszyscy dowiedzieli się o amnestii, wysłani na daleką północ ginęli z głodu.

Mówi się o amnestii... ważne to słowo dla nas. Jednego dnia mówi do nas prezydent, „a wot wy polskie grażdan, będziecie teraz pracować po waszej specjalności”. Trudno nam było w to uwierzyć, że się coś zmieniło w naszej sytuacji. Dowiedzieliśmy się wkrótce, że nasz Rząd w Londynie zawarł z sowietami umowę, w której zażądał zwolnienia wszystkich jeńców wojennych oraz ludności cywilnej.

A wieść biegła lotem błyskawicy „jesteśmy wolni”. Byliśmy w gorączkowym oczekiwaniu, każda rodzina miała kogoś w niewoli, w więzieniu, za kogo została wywieziona. Zaczęły się transporty zwolnionych z więzień. Codziennie po pracy przyjeżdżałam do Semipałatyńska na stację kolejową do jedynego pociągu przyjeżdżającego dziennie z jeńcami, wołałam drogie imię i nazwisko, biegnąc wzdłuż wagonów, wchodząc nawet do nich w nadziei, że może znajdę mego biedaka. Boże drogi, ile to było nadziei w sercu moim. Niestety na moje wołanie zjawił się kolega męża, nazwiska nie pamiętam, który mi powiedział, że słyszał od kogoś, że mąż mój zmarł w więzieniu w Chersoniu. Ale nie kazał mi w to wierzyć. Ugościłam go w dworcowej restauracji, dałam pieniądze, które mi potem zwrócił. Chodziłam nadal na dworzec, wracałam w nocy, a raniutko do pracy. Na próżno, skończyły się transporty.

W Semipałatyńsku otworzono delegaturę naszego Rządu. Delegatem został dr Saraniecki, sędzia ze Lwowa, zastępcą mgr Z. Kuciński, urzędnikami Zofia Prorok i Wanda Łuszczynska. Delegatura ta miała nazwę: Ambasada Polska w Z.S.S.R. – Delegatura na Semipałatyński Okręg.

Drugie Boże Narodzenie obchodziliśmy jeszcze w Żana Semej na „zawodzie”, w nadziei, że się wydostaniemy już z tego piekła. Teraz chodziło tylko aby wytrzymać, sił fizycznych coraz mniej, a nerwy jak postronki. Zima ciężka, ta sama praca przy prętach, walka o opał i chleb.

W Delegaturze w ostatni dzień roku została odprawiona Msza św. Nie byliśmy na niej, ale sam fakt, że tu na tym wrogim terenie odbywa się takie nabożeństwo było czymś cudownym.

Z końcem stycznia 1942 r. przyjechał nasz oficer z Buzułuka, aby werbować chłopców do lat 16-tu, do tworzącej się szkoły junaków. Mieli oni wyjechać do Jangi-Jul dokąd przeniósł się sztab polskiej armii. Chłopcy po przejściu biedy i głodu we Wrewsku, w marcu wyjechali do Teheranu w Persji.

A u nas bieda, głodujemy. Otrzymałam z Delegatury polecenie zrobienia spisu Polaków pozostałych na „zawodzie”, wiele osób z rodzin wojskowych już wyjechało.

(c.d.n.)

Roman Wójcicki

Wisna – Wisznia – Sądowa Wisznia

Gdzieś tam w Galicji, prawie zapomniane przez wszystkich, leży miasteczko Sądowa Wisznia. W czasach radzieckich jakoś o tym mieście coś się słyszało, widziało. Tak i było, bo wtedy jechało się na południe, na Węgry, do Bułgarii i Rumunii. Teraz dookoła Wiszni jest zbudowana obwodnica, no i jakoś wypadło nam z uwagi to pradawne miasto.

Kilka danych statystycznych, dla przypomnienia tym, kto by się jeszcze interesował Sądową Wiszną.

Sądowa Wisznia leży w dolinie rzeki Wisznia, prawym dopływem Sanu. Do Przemyśla 44 km, a do Lwowa trochę dalej, jakieś 48 km. Aktualnie miasto jest w pow. Mościska, a były czasy, że to Mościska należały do starostwa Wiszeńskiego.

Wacław Potocki 1625-1695 w swoim wierszu pt. WET ZA WET przypomina nam trochę na temat starosty w Wiszni.

*Ktoś, przyniósłszy w zanadru cytrynę umyślnie,
Dając Królowi, prosi o starostwo Wiśnie,
A Król, że żył starosta, odpowie jak z proce:
Barzo słuszna owocem nagradzać owoce:
Jednakże Wiśnie nie masz, natenczas się figą
„Kontentujcie!” Zrozumiał i poszedł za dygą.*

W tym okresie większość urzędowej dokumentacji była pisana po łacinie i w naszym wypadku Wisznia była pisana jako -WISNA.

Wisznia ma nawet stację kolejową, te pospieszne do Wrocławia, Przemyśla i Warszawy tu nie stają, bo minęły czasy, że do Krakowa się siadało na stacji Sądowa Wisznia. Aktualnie kursują podmiejskie „ELEKTRYCZKI”, które zaczynają swój bieg w Mościskach Drugich, a kończą w stołecznym mieście Lwowie. Wcale już nie stołeczny ten Lwów. Tak jak i Sądowa Wisznia nie jest już też Wolnym Królewskim MIASTEM.

Aktualnie w Wiszni jest 7000 MIESZKAŃCÓW, prawie tyle co i przed wojną, ale z Mieszczan Wiszeńskich już prawie nikogo nie ma, jedni – Żydzi, w większości powędrowali na swoją Ziemię Obiecaną na niebiosach, Rusini-Ukraińcy zaraz przed zbliżającym się frontem wyruszyli na zachód, aby już potem porozjeżdżać się po Syberii w poszukiwaniu DŁUGIEGO RUBLA. Polacy, też nie pozostali w miasteczku. Mówi się, że wyjeżdżali dobrowolnie na Ziemię Odzyskaną, „ta gdzie tam”! Ta nie słuchajcie panowie tego, nie wiercie. Musieli wyjechać, byli przygotowani do tego jeszcze w 41 roku, kiedy to prawie cała ELITA wiszeńska siedziała w kryminale. I tylko cudem można uznać ten fakt, że pozostali przy życiu. Cud może i był, bo razem z więźniami siedział i ks. gwardian z Klasztoru Reformatów w Sąd. Wiszni, i to on zaczął nabożeństwo do Św. Antoniego, a ten święty jeszcze nie pozostawił nikogo w Bidzie.

No i pojechali NASI i stamtąd, z daleka dochodzą do nas, tu pozostałych, smutne opowieści i wiersze. Pani Franciszka Sawicka z Wrocławia tak sobie TĘSKNI...

*Dawniej marzyłam, aby w świat wyruszyć.
Pragnęłam, ufna w swe siły młode
Przemierzać ziemię i faliste morza.
Stanąć na szczycie gór i patrzeć w przestworza,
Swoją fantazją do mówienia zmusić
Tajemnicze zamki, spotykane grody.
Jakże zmienione są dzisiaj marzenia,*

*Gdy los mię rzucił w obce kraju strony,
Jestem jak tulacz nędzny, bez imienia,
Pracą codzienną i głodem zmęczony.
Myśli dziś biegną do rodzinnej ziemi
Nękaną wojną, widmem strasznej śmierci,
A gdy czasami w śnie swoim zobaczę
Ten domek z gankiem porośnięty winem,
Z lipą na podwórzu, bzem i jaśminem,
Wtedy wstając rankiem ze wzruszenia płacę.*

Niestety nie ma już i tej lipy rozłożystej i domu, został płacz. Znowu uciekłem od tematu, bo co jeszcze w tej Wiszni jest. Pozostała słynna kiedyś Stadnina Ogierów, jest szkoła średnia i szkoła rolnicza, jest zakład naprawy maszyn rolniczych, młyn, jest poliklinika, szpital. W Ukraińskim Narodnym Domu jest prawie zawsze nieczynne Muzeum Krajoznawcze.

Z zabytków archeologicznych można wyliczać dużo: osiedle z czasów Kultury Przeworskiej, Grodzisko-Zamczysko i Wały z IX-XI w., Osiedle Deberki z XI-XII w., osiedle Czworaki XIII-XV w. W pobliżu miasta znajdowała się, wyliczana przez wszystkie ENCYKLOPEDIA, mogiła – zwana Kopcem Tatarskim, w której... „odkryto w głębi mury i zwaliska lochów...”! Nikt już o tej mogile nie pamięta, a nawet dokładnie nie wiadomo, w którym miejscu to było.

Pierwsze wzmianki o Sądowej Wiszni pochodzą z roku 1230-1231. W 1368 miasto otrzymało Prawo Magdeburskie, razem ze zgodą Królewską na wykup wójtostwa przez PIOTRA KMITEŃ. W ciągu kolejnych wieków miasteczko otrzymało nowe i liczne przywileje np. w 1537, 1545, 1576, 1578, 1639, 1653, 1765 r. A za co by ja to dawał tyle PRZYWILEJÓW miasteczku, o którym prawie nikt teraz nie wie? Otóż to. Po co? Przywileje były nadawane ze względu na to, że tu właśnie w Wiszni odbywały się Generalne Sejmiki Województwa Ruskiego, na których m.in. byli wybierani posłowie na SEJM Koronny. Większość przywilejów była potrzebna raczej samej szlachcie, przybywającej z czterech ziem województwa – Przemyskiej, Krośnieńskiej, Żydaczowskiej, no i żeby lwowiacy się nie obrazili, to i szlachta Ziemi Lwowskiej licznie uczestniczyła w SEJMACH WISZEŃSKICH. A znany poeta lwowski – Wincenty Pol w poemacie pt. „Pamiętnik J. M. Benedykta Winnickiego” nie mógł nie wspomnieć o Wiszeńskim Sejmiku. W trzeciej części ww. poematu jest gawęda i o Sejmiku Jenerale Województwa Ruskiego, odprawionego w 1766 r. w Sądowej Wiszni.

Cytuję wiersz z rękopisu, znajdującego się w Bibliotece Jagiellońskiej, który w niektórych szczegółach różni się z wydrukowanym w książce W. Pola z 1855 r.

*Podług odwiecznych czasów przyjętej praktyki
Województwa ruskiego bywały sejmiki,
Zawsze w Sądowej Wiszni – Na górze w kościele
U Ojców Reformatów.
Tam z ziem sześciu, na sejmik zjeżdżała drużyna,
I wszystkich pomieszczała nie wielka mieścina.
Panowie mieli karczmę i własne gospody,
Raz na zawsze też same – W dworach Wojewody
Stawali Sanoczanie Partii Podkomorskiej.
Pan Mniszech stał we dworze, – officynie dworskiej –*



Sądowa Wisznia – Rynek

*Przyjmował zwykle szlachtę żydaczowskiej ziemi.
Książę Jenerał znowu miał własny dom w mieście,
I cały Rynek trzymał z partyzanty swemi.
A pan Sędzia Chojnacki, z drobną szlachtą wreszcie,
Stawał zwykle gospodą w samym już klasztorze,
I miał tam i spiżarnię i piwnicę w porze.
Ba i celę dla siebie, tuż przy Kanafarzu,
I przyjaciół swych, gościł zawsze w Refektarzu.
Tam choć zjazd był największy, nie było kłopotem.
Bo w korytarzach szlachta sypiała pokotem,
A jeżeli już miejsca brakło w Refektarzu,
To pan sędzia zastawiał stoły w korytarzu,
I kiedy po Mszy Świętej zjadł człowiek śniadanie,
To bez jadła do doby był wytrzymać w stanie.
I chyba na podkurek, znów trochę przetrzącił,
Ztąd też partii Sędziego nikt zdradą nie zmącił...*

Poemat jest długi, resztę czytelnik niech sobie sam poszuka. A klasztor Franciszkanów-Reformatów nadal stoi, tylko oszpecony, bez wieży, bez malowideł na frontowych ścianach. Dlaczego w poemacie jest mowa o sześciu Ziemiach? Ta bo dołączyła szlachta Ziemi Halickiej i Chełmskiej.

Jeszcze trochę historii kościoła w Wiszni. Pierwszy kościół ufundował Król Kazimierz Wielki w 1368, ale dopiero w r. 1393 w materiałach źródłowych jest wspomniany pleban Tomasz. W poł. XVI w. proboszczem był w Sądowej Wiszni Marcin Krowicki, późniejszy znany działacz i pisarz Kalwiński. Jego małżeństwo, a potem oficjalne przejście do obozu reformacyjnego (nie mylmy z zakonnikami Reformatami), spowodowało utratę przez parafię wcześniejszych przywilejów i uposażenia (sic) przywróconych przez Zygmunta III w r. 1605. W Sądowej Wiszni urodził się pisarz prawosławny, mnich Iwan z Wyszni, przeciwnik Unii Brzeskiej i Piotra SKARGI.

Nowy kościół, pod wezwaniem Św. Mikołaja, murowany, zaczął budować Jakub Solikowski – proboszcz wiszeński, a ukończył Kasper Rożyński – kanonik przemyski. Konsekrował kościół w r. 1620 Jan Węzyk – Biskup Przemyski. Kościół spalił się w r. 1785. Na fundamentach kościoła był wybudowany za Austrii dom mieszkalny, pod którym do dziś można zlokalizować podziemia, gdzie byli pochowani znaczniejsi MIESZCZANIE.

Ponieważ kościół parafialny, gdzie były odprawiane Sejmiki wiszeńskie, był za mały, zdecydowano o budowie większej świątyni. W 1730 roku był założony w Wiszni klasztor OO. Reformatów, przez dziedziców miasta, kaszte-



Sądowa Wisznia. Chór Lilia TKPZL

lana Iwowskiego – Jana Siemieńskiego i łowczego kijowskiego Franciszka Zawadzkiego. Wolne miejsce pod budowę klasztoru osobiście nadał Król August II. Kościół w klasztorze OO. Reformatów był pod wezwaniem Wniebowzięcia Panny Marii. Autorem projektu budowy klasztoru był znany włoski budowniczy-architekt Paweł Antoni Fontana. Klasztor w Sąd. Wiszni jest znany z kultu obrazu Św. Antoniego, w ołtarzu bocznym. Ołtarz Św. Antoniego fundowała żona kasztelana – Dorota Siemiańska.

Pierwsza wzmianka o cudzie pochodzi z r. 1752 i od tego czasu w kronikach klasztornych były dokładnie notowane wszystkie CUDA. Sądowa Wisznia, dzięki kultowi Św. Antoniego stała się znacznym ośrodkiem pielgrzymkowym, odwiedzanym szczególnie TŁUMNIE w dni odpustu – 13. czerwca. Jesienią 1945 r. Reformaci zostali zmuszeni do wyjazdu do Wieliczki.

Po spaleniu się kościoła parafialnego w r. 1785, nowy kościół zaczęto budować w r. 1884, a w r. 1890 został poświęcony pw. Matki Bożej Wspomożenia Wiernych. Też w roku 1945 został zamknięty i przemieniony w magazyn SOLI, a potem mebli i lnu. Całe wyposażenie kościoła zostało zniszczone, ostatnim księdzem, który wyjeżdżał z wiernymi w 1945 roku był wikary Bolesław Taborski, obecnie Biskup-Senior w Przemyślu.

W 1989 roku wierni odzyskali kościół w Sądowej Wiszni. Pracom remontowym osobiście przewodniczył Ks. Dziekan Mościcki-Józef Legowicz, który i odprawiał przez kilka miesięcy Msze Św. w nowo otwartym kościele. Do katolickiej parafii w Sądowej Wiszni należy około 200 wiernych z miasta i okolicznych wiosek. Pierwszym proboszczem w Wiszni został ksiądz Celestyn Derunow ze Lwowa.

Od kilku lat posługę duszpasterską w Sądowej Wiszni sprawują Franciszkanie ze Śląska. Pierwsza zmiana zakonników to Ks. proboszcz o. Cherubin i wikary O. Hugon, po nim sztafetę przejęli Ks. proboszcz o. Sabin i wikary o. Bartosz. Od kilku tygodni księdzem proboszczem w Sądowej Wiszni jest o. Konkordiusz. Wszyscy zakonnicy zostawili dobry ślad jak i w pamięci wiernych, tak i w materialnym wyposażeniu kościoła.

Ks. o. Konkordiusz też z zapałem wziął się do pracy, której nie brakuje. Już jest wymienione nagłośnienie kościoła, a w planach jest bardzo dużo pomysłów!

W 1994 roku, przy osobistym zaangażowaniu się ks. Cherubina, w Sądowej Wiszni powstała filia oddziału Towarzystwa Kultury Polskiej w Mościskach. Filia z czasem przekształciła się w samodzielny oddział Towarzystwa Kul-

tury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Oddziałem kieruje zarząd – Prezesem została wybrana mgr Halina Wójcicka, V-ce prezes Roman Wesołowski, Komisja Charytatywna Maria Szeptycka i Maria Misiąg, Sekretarz – Maria Ciróg, Skarbnik Anna Gzilewicz, Komisja Rewizyjna – Janina Palej, Współpraca z młodzieżą – Maria Karkulowska-Czarna, ochrona miejsc pamięci i dziedzictwa kulturowego – Roman Wójcicki. Zadanie oddziału TKPZL to nauka języka polskiego, współpraca z kościołem rz.katolickim, kontynuowanie polskich tradycji religijnych i kulturalnych, działalność charytatywna. Przy oddziale działa chór młodzieżowo-dziecięcy – Lilia. W planach oddziału TKPZL w Sądowej Wiszni jest wydanie książki o naszym przepięknym i uroczym miasteczku i o losie ludzi zmuszonych do wyjazdu z rodzinnych stron, w nieznane.

Nawiązaliśmy listowną korespondencję z licznym gronem byłych mieszkańców Sądowej Wiszni żyjących w całej Ukrainie i na świecie. Jasna rzecz, że najwięcej NASZYCH jest w Polsce. To do nich jest adresowany ten artykuł. Dziękujemy za współpracę p. Tadeuszowi Durak z Olsztyna, Jadwidze Durak z Przemyskiego – Stubno, Jadwidze Sokółowskiej z Gdańska, Jasiowi Czarniawskiemu z Jeleniej Góry, Marianowi Kwiatkowskiemu z Zabrza, Janowi Prus-Pajgert z Sieprawia (Krakowskie), Krystynie Gawlikowskiej-Mars z Warszawy, Kasprowi Świerzowskiemu z Krakowa, Stanisławowi Kozuli z Suwałk, Eugenii Kasan z Żyrardowa, Mieczysławowi Rzyńskiemu z Nysy. Również dużo NASZYCH jest we Wrocławiu m.in. pani doktor Franciszka Sawicka i pan Marian Raińczuk, oraz pani

Józefa Kłosowska z Milina i in. I gdzie to NASZYCH tylko NIE MA?

Również zwracamy się jak i do byłych mieszkańców Sądowej Wiszni, tak i do osób zainteresowanych: Ta ludzie! Ta pomóżcie! Ta zróbcie kopii dokumentów, pocztówek, fotografii związanych z miasteczkiem! Ta napiszcie jakiś krótki list ze wspomnieniami. Ta nie martwicie się! My nie zarobimy na tej PLANOWANEJ książce! Żeby Wy wiedzieliście, ile to kosztuje wydrukować coś takiego! Jak by ktoś miłościwie chciał skreślić kilka słów, to na wszelki wypadek podają adres:

Roman Wójcicki
ul. Zagrody 11
m. Sądowa Wisznia
81-340 Ukraina
Można adresować po polsku.
Tel. domowy: 00-380-32-34-35-203

Od Redakcji: Podajemy kilka danych encyklopedycznych z pocz. XX w. o Sądowej Wiszni: 53 km od Lwowa, 225 m.n.m., miasteczko o 5000 m., oddalone od dworca 1,5 km, zajazd, kawiarnia na dworcu. Kościół farny nowy i kościół Reformatorów z XVIII wieku. Pałac z dużym parkiem. Blisko miasta mogiła tatarska z resztką murów i piwnic. Ulubiona przechadzka na Uroczysko, gdzie stoi święty dąb z wrośniętym obrazem M. B. Obok w lesie aliana, stawek i siarczane źródło, zwane Diabelską Studnią. W okolicy ogromne, przeważnie zalesione wydmy piaszczyste.

(A. K.)

P. S. Zachowaliśmy oryginalną pisownię

UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW

Alfred Janicki

60 rocznica WRZEŚNIA 1939

26 września 1999 r. w Starym Węglińcu. Pod tą datą kryją się obchody 60 rocznicy września 1939 zorganizowane przez Oddział Miłośników Ziemi Tarnopolskiej i Stanisławowskiej w Węglińcu wraz z Klubem Radnych „Gmina 2000”. Na uroczystą Mszę Św. odprowadzianą w miejscowym kościele przez ks. proboszcza Zbigniewa KORABA przybyli członkowie chóru „HARFA” z Wrocławia, oraz ekipa TVP SA Wrocław kierowana przez red. Iwonę ROSIAK.

Msza Św. odprowadziana była w intencji Kresowian poległych we wrześniu 1939 r. oraz za pomyślność tych, którzy przeżyli okropności tamtego września. Ks. KORAB przypomina ogrom cierpień Polaków (oficerów polskich, inteligencji i innych członków rodzin kreso-



W I rzędzie od lewej: ks. Zb. Korab, prezes A. Janicki, burmistrz A. Kutrowski i dyr. Wł. Zielińska-Barańska, w głębi czł. chóru HARFA

wych) za to, że byli POLAKAMI. W trakcie Mszy Św. Chór HARFA śpiewał pieśni do Matki Boskiej Jazłowieckiej z Placu Mariackiego we Lwowie, Gaude Mater Polonia.

Bezpośrednio po Mszy Św. wręczyłem ks. KORABOWI pamiątkowy Medal TMLiKPW, a Przewodniczący Rady Gminy i Miasta Mirosław SOCHOŃ wręczył kwiaty. Losy rodzin polskich na Kresach Wschodnich przypominałem uczestnikom tej Mszy Św. Strofy wiersza F. Konarskiego, które przytoczyłem na zakończenie swego wystąpienia dopełniły czas wspomnień.

PAMIĘĆ

*...Lwów mam w pamięci i Wilno pamiętam
I jeszcze jedną tych dwojga siostrzyce;
Ziemie Wołyńską... to też ziemia święta,
Którą zorały wojny błyskawice.*

*Którą wiekami tratowały wrogi
Gdzie krew płynęła jak woda w Horyniu...
Nigdzie nie znajdziesz tyle polskich mogił
Co tam... Tam właśnie na cichym Wołyniu...!
I tylko sosny wiatrem postrzępione,
I tylko dęby zeszcłe ze starości
Znają ten sekret – wiedzą – tylko one
Ile w tej ziemi jest prochów i kości...!
Skreślono z mapy Wołyni, Lwów i Wilno...
Została pamięć, która żyje z nami...!
I cóż nam począć z pamięcią bezsilną,
Z naszą tęsknotą i próżnymi łzami?*

*Zanim cud jakiś przyjdzie z którąś wiosną,
I znowu jutrznią zabłyśnie firmament –
Tę Waszą pamięć – żywą – bezlitosną –
Wnukom przekażcie – jako Wasz t e s t a m e n t...!*

Zaległa cisza... po chwili dały się słyszeć głębokie, wymowne westchnienia, po policzkach spływała niejedna łezka. Po tym chór HARFA dokonał przeglądu naszej historii od powstań narodowych, przez Legiony, walkę o Lwów, II wojnę, po przywiązanie do „ziemi Ojców”. Była to wędrówka przez pieśni religijne, patriotyczne – pełne zadumy i nostalgii. Uroczystości zakończyła modlitwa – Litania Ziemi Lwowskiej w wykonaniu uczniów Szkoły Podstawowej w Starym Węglińcu. Uczniowie podziękowali ks. Korabowi, członkom chóru, organizatorom. Szczególną wymowę miały słowa dzieci do wszystkich zgromadzonych w świątyni: „dziękujemy... Kochamy Was”.

Organizatorom uroczystości: ks. Korabowi i członkom Harfy podziękował również burmistrz Andrzej Kutrowski.

W tym miejscu serdecznie dziękuję Pani Dyrektor Władysławie Zielińskiej-Barańskiej za włączenie dziatwy szkolnej w tę piękną lekcję historii, ekipie redakcji TVP SA Wrocław z P. Iwoną ROSIAK za propagowanie ducha kresowego (a szczególnie za zainteresowanie się problemami chóru HARFA). Dziękuję radnym z „Samorządnej Gminy 2000” i najcieplejsze słowa wdzięczności kieruję do członków chóru z PP Postępskim i Łampiką. Wszystkim uczestnikom życzę pamięci i szacunku współmieszkańców tej sympatycznej wioski, jaką jest Stary Węglińiec. □

Stanisław Rakowski

Wystawa w Muzeum im. Dzierżona w Kluczborku „Kresy Południowo-Wschodnie w poezji i mojej pamięci”

Wystawa zorganizowana została w Muzeum im. Dzierżona w Kluczborku przez Oddział TMLiKPW w Kluczborku i otwarta była w czasie od 25.V. do 30.IX.1999 r. Cieszyła się dużym zainteresowaniem nie tylko byłych mieszkańców Kresów Wschodnich ale i innych, a zwłaszcza młodzieży szkolnej szkół średnich i ostatnich klas szkół podstawowych.

Za pomoc w organizacji wystawy należą się słowa szczególnej podziękacji kustoszowi Muzeum Pani Janinie Baj, posiadającej również kresowe korzenie, która włożyła wiele serca i duszy w jej organizację. Jej autorstwa jest informator poświęcony tej wystawie, w którym m.in. pisze „Był to obszar wielonarodowościowy, bo zamieszkały przez różne nacje i grupy etniczne. Tutaj występowały w bezpośrednim sąsiedztwie obiekty sakralne różnych wyznań, świadczące o tolerancji religijnej dawnej Rzeczypospolitej oraz o bogactwie kulturowym tych ziem. Te wszystkie zjawiska znalazły odzwierciedlenie w polskiej sztuce i literaturze”.

Na wystawę składały się fragmenty wierszy o Kresach, ich pięknie krajobrazowym i ludziach tam żyjących, np. Juliusza Słowackiego, Wincentego Pola i innych, oraz wiele fotografii, widokówek, świadectw szkolnych, dyplomów, czasopism, listów, odznaczeń i innych dokumentów świadczących o życiu, pracy, nauce i patriotyzmie mieszkańców tej ziemi.

Przykładowo wymienić należy czasopisma lwowskie takie jak *Wiek Nowy*, *Przegląd Filmowy*, *Teatralny i Radiowy*, *Świat Kobiety*, *Kronika Ilustrowanego Wieków Nowego* i *Gazeta Lwowska* z okresu niemieckiej okupacji oraz niemieckie karty żywnościowe, Kennkarty,

dokumenty obowiązkowych dostaw czy odezwy do mieszkańców Lwowa Niemieckiej Komendy Głównej z września 1939 r. o treści „Polski rząd uciekł za granicę. Polska Armia całkiem pobita, tak samo wasze siły koło Jaworowa i Janowa. Rosja jako sprzymierzeniec Niemiec przekroczyła granicę, podając nam rękę. Lwów jest całkiem oblężony. Każdy opór bez sensu”.

Zebrano ponadto wiele dokumentów z lat wojny, a to list żołnierza por. Władysława Szczepańskiego z osady Kościuszkówki na Podolu, z datą 1.IV.1945 r. z frontu pod Budziszynem do swoich rodziców, przeczuwając, że nie przeżyje wojny, który rzeczywiście za kilka dni zginął. Kartka pocztowa Tadeusza Kiefrza z Syberii, Kordonu, koło Perma z lipca 1940 r. z osady Kościuszkówki, do szkolnego kolegi.

Z innych dokumentów wymienić należy Książeczkę Legitymacyjną Politechniki Lwowskiej Adama Mandziuka z dnia 27.I.1932 r. wydaną przez Wydział Inżynierii Lądowej i Wodnej, wypis aktu notarialnego Kancelarii Konstantego Teliszewskiego z Kołomyi, Księga Uchwał Gminy Łozowa, pow. Tarnopol z lat 1930-39, z pieczęcią gminy Łozowa, prowadzoną przez Karola Mazurkiewicza, świadectwo Szkoły Powszechnej Żeńskiej nr 27 im. Marii Magdaleny na nazwisko Danuty Sabadasz, świadectwo Danuty Sabadasz z nauki gry na fortepianie z Konserwatorium Lwowskiego, świadectwo szkolne z klasy siódmej Stanisława Rakowskiego, wydane przez Publiczną Szkołę Powszechną im. Stanisława Konarskiego w Jagielnicy koło Czortkowa, świadectwo złożenia egzaminu czeladniczego Izby Rzemieślniczej w Stanisławowie Zdzisława Artymiaka i inne.



Osobną grupę stanowią pamiątki niezującego już Ignacego Sierakowskiego z Kołomyi, a to dyplom szeregowca z odznaką honorową „Orleń”, karta legionowa popospolitego ruszenia, jako ucznia czwartej klasy gimnazjalnej w Kołomyi, dokument Referatu Służby Bezpieczeństwa Dowództwa Miasta i Placu we Lwowie z dnia 3.I.1919 r. upoważniający do legitymowania osób cywilnych i wojskowych, oraz zaświadczenie z dnia 28.VI.1932 r. o nadaniu Ignacemu Sierakowskiemu Medalu Niepodległości.

Inną grupę stanowią różnego rodzaju dokumenty i fotografie, jak np. uczniowie szkoły powszechnej z osady Kościuszkówki z nauczycielem Stanisławem Smołą z roku 1930, mieszkańcy osady Kościuszkówki ze starostą i innymi przedstawicielami władz powiatowych z Zaleszczyk, uczniowie Szkoły Handlowej w Czortkowie z roku 1938, uczniowie Gimnazjum w Kołomyi z 1936 r., procesja Bożego Ciała z 1935 r. w Kołomyi, dożynki w osadzie Święty Józef, koło Kołomyi z 1936 r., procesja odpustowa w Świętym Józefie w dniu 19.III.1937 r. kursu kroju i szycia w Świętym Józefie w 1936 r.

Z innych pamiątek to książki, przewodniki i widokówki, jak np. książeczka do nabożeństwa zawierająca również dzieje narodu polskiego, wydana przez Towarzystwo im. Adama Mickiewicza, z pieczęcią Koła Osadników Kościuszkówka ad Bazar, pow. Czortków,



przewodnik po wystawie Obrońców Lwowa 1918-1919 r., przewodnik po województwie tarnopolskim autorstwa Tomasza Kunceka, widokówka dworca kolejowego w Kołomyi, ołtarza kościoła Jezuitów w Kołomyi, wejścia do rotundy Panoramy Raclawickiej we Lwowie, Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, miasta Żółkwi i wiele innych widokówek kresowych miast i miasteczek.

Refleksje i zadumę wzbudzał fragment wystawy przedstawiający toboły, worki, skrzynie i kufrы tak zwanych repatriantów, którzy jechali na odkrytych węglarkach i innych platformach zwanych „lorami”. Mało było wagonów krytych, a kto w nich jechał mógł czuć się prawdziwym szczęściarzem. Wyjątkowo ciężka była zima lat 1945/46, pomimo to nie wstrzymano przesiedleń ze względu na upływające terminy jak i nasilający się terror nacjonalistycznych band ukraińskich.

Swój przewodnik po wystawie zakończyła autorka Janina Baj słowami „Należy pamiętać, że na ziemiach kresowych przetrwały po pokoleniach naszych przodków, wychowanych i pogrzebanych tam, materialne ślady wiekowej polskiej obecności. Przetrwali tam również Polacy, którzy z różnych powodów nie wyjechali po II wojnie światowej a obecnie potrzebują naszego wsparcia i pomocy”. □

Powstanie Makroregionu Południowo-Wschodniego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Opracowała Jadwiga Sibiga

*Jakie to Miasto, którego imię
błąka się po drogach świata,
jakie to Miasto, którego imię tułacze
tylko echem do serc powraca.
jakie to Miasto dźwiga słów brzemię,
„Leopolis Semper Fidelis”.*

Po latach milczenia nadszedł czas, że bez obaw mogliśmy wypowiadać nazwy miejsc rodzinnych położonych na terenach wschodnich II Rzeczypospolitej. Mogliśmy myśleć i pisać o wszystkim co kochamy, a co musieliśmy porzucić. Ewenementem wydawniczym tego okresu była książka Stanisława Niciejji „Cmentarz Łyczakowski”. Książka ta stała się drogowskazem do spraw zapomnianych przez całe dziesięciolecie.

Wkrótce ożywił się ruch wydawniczy, ukazały się nowe książki i reprinty sprzed wojny, czasopisma zachęcały do szerszego udziału w publikacjach na tematy kresowe.

We Wrocławiu, 22 września 1988 roku, powstaje Towarzystwo Miłośników Lwowa. Wiadomość podana przez środki masowego przekazu staje się tematem dnia. Wrocław staje się koordynatorem wszystkich spraw dotyczących Lwowa i Kresów. Towarzystwo Miłośników Lwowa swym zasięgiem obejmuje całą Polskę, wszędzie tam, gdzie znajdują się Lwowianie powstają Oddziały, Kluby i Koła. W siedzibie Zarządu Głównego we Wrocławiu odbywają się zjazdy prezesów TML, którzy stąd wszelkie informacje przywożą do swoich placówek. Są to jednak sprawy ogólne. Sytuacja na Wschodzie wymaga szerszego omawiania w kwestii pomocy i warunków życia pozostałych tam Polaków. Powstaje myśl i propozycja utworzenia makroregionów, które ułatwiłyby pracę Zarządu Głównego w działalności charytatywnej i innych zadaniach. Problem był niewątpliwie skomplikowany, gdzie urządzać takie spotkania, aby przedstawiciele danego regionu mogli dotrzeć w wyznaczonym czasie. Koordynatorem Makroregionu Południowo-Wschodniego zostaje

inż. Adam Lewicki, prezes tarnowskiego TML. Pierwsze spotkanie organizuje w swoim domu w Tarnowie-Mościskach. W domu państwa Lewickich odczuwamy serdeczną atmosferę i typową lwowską gościnność. Grupa zebranych osób (nie wszyscy przyjechali), to przeważnie ludzie w „pewnym” wieku, na twarzach których czas naznaczył już swoje piętno. W trakcie poruszania istotnych spraw dotyczących Lwowa i Kresów okazało się, że wiek nie odgrywa tu żadnej roli, kilkadziesiąt lat milczenia dały znać o sobie, a serca Kresowiaków gotowe są zapłacić tę lukę pracą i poświęceniem dla tamtych ziem. Wówczas dominującą sprawą było podjęcie konkretnych decyzji w kierunku niesienia pomocy charytatywnej dla Lwowa i okolic. Pierwsze spotkanie przedstawicieli makroregionu było również prezentacją i zapoznaniem się. Miłą niespodzianką było spotkanie niektórych osób po kilkudziesięciu latach, okazało się, że świat jest taki mały, a Lwowianie potrafią pamiętać bardzo długo. Makroregion został zaakceptowany i wszedł w życie Towarzystwa Miłośników Lwowa w marcu 1994 roku.

Przemyśl

Już w listopadzie tego roku Przemyśl gościł przedstawicieli Oddziałów i Klubów TMLiKPW Makroregionu Południowo-Wschodniego. W Przemyślu zapadają ważne decyzje związane z przewożeniem pomocy na Wschód. To przygraniczne miasto doskonale nadaje się na założenie „Fundacji Pomocy Charytatywnej”, bankiem informacji będzie Oddział jarosławski, w formie wydawanego Biuletynu, będzie również przekazywał wiadomości z życia w makroregionie. W pierwszych miesiącach 1995 roku wychodzi Biuletyn Informacyjny Makroregionu Południowo-Wschodniego wydawany przez Oddział jarosławski, zespół redakcyjny to: Elżbieta Mielnicka, Jerzy Masior i Jadwiga Sibiga. Pismo początkowo o skromnym zasięgu informacji (w miarę otrzymywanych materiałów), stopniowo nabiera większej objętości i częściowo przekształca się w formę literacko-poetycką.

Rzeszów

Maj 1995 rok. Ten piękny wiosenny miesiąc przyciąga do Rzeszowa niemal wszystkich przedstawicieli makroregionu. W siedzibie rzeszowskiego Oddziału gwarno, to bardzo cieszy i napawa nadzieją, że praca naszego makroregionu stanie się bardziej owocna. Serdecznie witani przez gospodarza spotkania pana Bolesława Opalka, który prezentuje poszczególne osoby dodając jakiś miły akcent, czujemy się tu jak wśród przyjaciół. Członek Zarządu Głównego, pan Adam Lewicki, dokonuje analizy aktualnych spraw makroregionu, informuje o sytuacji na Cmentarzu Orłąt i pracy Kościoła rzymsko-katolickiego na terenach wschodnich. Poszczególne sprawozdania prezesów mówią o aktualnych działaniach w kierunku pomocy i związanych z tym trudności. Sprawy bieżące wyłaniają się jedna po drugiej. Dobrze jest w takim gronie zasiąść przy wspólnym stole, aby rozważyć nurtujące problemy i sprawy, często bolesne, a zatem wymagające konkretnych decyzji. Sprawą główną tych spotkań będzie niewątpliwie sytuacja naszych Rodaków na Wschodzie, to temat istotnie bolesny, należałoby wszystkimi środkami uświadomić społeczeństwo o konieczności pomocy. Tematem również ważnym, leżącym wszystkim na sercu, jest sprawa Polaków w Kazachstanie, którą wytrwale i z uporem zajmuje się dr Albin Pietrus, prezes jasielskiego Oddziału. Wyłaniające się sprawy pochłaniają coraz więcej czasu, należałoby streszczać niektóre tematy, żeby wszystkie punkty programu zostały wyczerpane.

Tarnów

Tarnów ponownie, to już tradycja. Jest listopad 1995 rok, czwarte z kolei spotkanie. W Oddziale tarnowskim mamy wielu przyjaciół poznanych na niezapomnianych wycieczkach. Frekwencja na spotkaniach cieszy, przebieg obrad jest ciekawy i

choć zdarzają się różnice poglądów, to osiągnięty cel daje większą satysfakcję.

Przed rozpoczęciem obrad, minutą ciszy zebrani uczcili pamięć zmarłego ks. bp-a Władysława Kiernickiego, długoletniego proboszcza w Katedrze Lwowskiej. Słuchając opowiadania o życiu ks. Władysława Kiernickiego aż trudno uwierzyć, że jest to historia jednego tylko człowieka.

Wiadomość o wydaleniu dwóch księży polskich z Kołomyi i represje innych, bulwersują społeczeństwo polskie tym bardziej, że trudno temu zapobiec. Goszczący na spotkaniu prezes Z.G. TKPZL pan Stanisław Czerkas przedstawił obszerny materiał o sytuacji Polaków na Wschodzie. Ogólnie życie tam jest niezwykle ciężkie, mimo dotychczasowej pomocy.

Do Z.G. TML we Wrocławiu zostanie skierowane pismo wyrażające nasz stosunek do powstającego Polskiego Stronnictwa Kresowego.

Osiągnięcia TML i jego działanie są niepodważalne, a próby podporządkowania się jakimkolwiek ugrupowaniom politycznym są nie do przyjęcia. Takie stanowisko wywołało nieco napiętą atmosferę. Trzeba jednak wierzyć, że ta chwilowa różnica zdań o niezbyt przekonujących argumentach ulegnie zmianie. Pozostaje tylko pytanie – jeśli zdążamy do jednego celu, to dlaczego różnymi drogami?

Dobrze się stało, że temat psujący harmonię spotkania został zakończony przerwą na spacer po mieście.

Przed tablicą na budynku Zakładów Azotowych w Mościcach upamiętniającą 150-lecie Politechniki Lwowskiej została złożona wiązanka kwiatów, obecni wysłuchali informacji na temat Zakładów Azotowych, których udzielił v-ce prezes Oddziału tarnowskiego pan E. Kupiniak. Spacer ulicami Mościc sprawił, że wrócił dobry nastrój i apetyt na oczekujący obiad.

Druga część obrad została przeznaczona na organizowanie dalszej pomocy i pokonywanie trudności na przejściach granicznych. Ciężar tych trudności biorą na swoje barki ludzie, którzy się tym zajmują, mówią o tym skromnie i tak po prostu, ale całe tony przewożonej żywności, odzieży i leków to nie tylko trud, to też ryzyko własnego bezpieczeństwa.

W toku sprawozdania tarnowskiego Oddziału słuchamy o koloniach dla polskich dzieci ze Wschodu, o ciężko chorym dziecku leczonym w tarnowskim szpitalu, o polskiej rodzinie sprowadzonej z Kazachstanu do Tarnowa i zabezpieczeniu jej warunków bytu.

Prezes jasielskiego Oddziału TML pan A. Pietrus niestrudzenie kontynuuje swoje dążenia w kierunku obrony praw Polaków na Wschodzie. Chwała mu za to.

Bolesnym tematem są nasze stosunki sąsiedzkie za wschodnią granicą, represje i oczernianie Polaków w opinii światowej; jest to tym smutniejsze, że nie ma reakcji ze strony naszych władz. Propozycja pani Lidii Wodnickiej, aby te sprawy wnieść do Trybunału Międzynarodowego, wydaje się być słuszną.

Po wielogodzinnych obradach opuszczamy Tarnów z przekonaniem, że czas poświęcony poruszonym problemom został pożytecznie wykorzystany.

Następne spotkanie w Tarnobrzegu. Do zobaczenia!

Tarnobrzeg

Wiosna 1996 rok. Tarnobrzeg, to miasto, które przede wszystkim kojarzy się z siarką, ale i tu znajdują się ludzie pochodzący ze Lwowa i Kresów, oddani całym sercem sprawie tamtych ziem. Prezes Oddziału tarnobrzegskiego z satysfakcją mówi o swojej bardzo wiekowej matce, która jest czynnym członkiem TML.

Pan Rawski i jego siostra pani Anna ofiarnie zajmują się przewożeniem żywności do Lwowa własnym transportem, służą im do tego celu mały „fiacik” pani Anny.

Spotkanie odbywa się w podziemiach pięknego kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Wszyscy się znamy, spotykamy się z radością i pełnym zaufaniem, tym razem mamy niespodziankę, do naszego koła przybyli nowi członkowie z Lublina. Panowie prof. Władysław Stażka, prof. Tadeusz Radomański i dr Kazimierz Rozmiłowski to wybitni działacze lubelskiego TML. Najbardziej lwowscy Lwowianie, od razu wszystkich ujmują za serca. Cieszy nas ten fakt i wizja współpracy z Lublinem.

W spotkaniu uczestniczy dr Andrzej Kaminski prezes Z.G., informuje o swoich wizytach w poszczególnych Oddziałach i Klubach, o trudnościach w realizacji planów przy budowie Cmentarza „Orląt”, o nowych problemach z przewozem żywności do Lwowa, wysokich kosztach transportu.

Pan A. Pietrus zgłasza, że ponownie wysłał list otwarty do władz w sprawie przyspieszenia repatriacji Polaków z Kazachstanu.

Na propozycję tarnobrzesckiego TML jedna z ulic miasta nosić będzie nazwę związaną ze Lwowem. Jest nadzieja, że Tarnobrzeg przyjmie rodzinę z Kazachstanu.

Tarnów, późna jesień 1996 roku

W Tarnowie spotykamy się najczęściej, to dla nas drugie miasto po Lwowie. Tu w Tarnowie odbywają się doroczne „Dni Lwowa”, wówczas całe miasto żyje lwowską atmosferą. Tym razem spotykamy się w nowej siedzibie Oddziału. Witają nas gospodarze, prezes Adam Lewicki i pani dr Barbara Krupińska, widoczne zadowolenie z nowego „locum” nie da się ukryć, jest tu miło i przytulnie, tak po „domowemu”. Za oknem zimno, ale ciepłe przyjęcie gospodarzy pozwala zapomnieć o złej pogodzie. Jak zwykle poruszamy sprawy o ogólnym zasięgu TMLiKPW, informacje przekazuje członek Z.G. pan A. Lewicki dzisiejszy gospodarz spotkania. Nieprzejednane stanowisko władz ukraińskich co do budowy Cmentarza „Orląt” i zabezpieczenie polskich zabytków na Kresach budzi zrozumiałe obawy i troskę.

Sprawa dorocznego zjazdu w Częstochowie wzbudza sprzeciw wśród członków TML, bo i po co jechać tam, gdzie w miejscu świętym rozgrywają się jakieś polityczne spory.

Miło jest słyszeć o kolejnych rodzinach sprowadzonych z Kazachstanu; Tarnów ma już swoją rodzinę, której zabezpieczył warunki bytowe i pracę. Dni Kultury Polskiej, które odbyły się po raz pierwszy we Lwowie, to doniosłe wydarzenie dla wszystkich Polaków. Przedstawiciele makroregionu mówią o akcjach pomocy „mikołajowych” i przedświątecznych, które odbyły się sprawnie na miarę możliwości poszczególnych Oddziałów.

Siedzibę tarnowskiego Oddziału TML i osoby spełniające rolę miłych gospodarzy żegnamy z przekonaniem, że w tym miejscu spotkamy się jeszcze nie raz.

Wiosna 1997 w Jarosławiu

Kolejnym miejscem spotkania makroregionu był Jarosław. Zarząd i członkowie Oddziału przygotowują się na przyjęcie gości z pewnym niepokojem, czy wszystko będzie udane. Bo to nie tylko okresowy zjazd prezesów, to także 3-letni jubileusz powstania Makroregionu Południowo-Wschodniego. Duża frekwencja uczestników spotkania, nawet z Sanoka przyjechała pani Maria Siekierzyńska, a wiadomo, połączenie niezbyt dogodne i droga wiosenna uciążliwa.

Tak, to już trzy lata minęły od pierwszego spotkania w Tarnowie, trzy lata wspólnego działania w regionie ludzi serdecznie ze sobą zaprzyjaźnionych. Jeśli kiedykolwiek zdarzały się jakieś „zgrzyty”, to niedużej wagi, świadomość dążenia do wspólnego celu jest najważniejsza.

Kolega Bolesław Opałek, prezes rzeszowskiego TML, napisał w swojej relacji ze spotkania: „każde spotkanie Oddziałów i

Klubów TML uczestniczących w makroregionie wnosi do naszej pracy ciekawe doświadczenia, wiadomości i oceny, które następnie wykorzystujemy w dalszych poczynaniach”. Obrady w Jarosławiu przebiegły w świątecznym nastroju, jako że tuż po świętach Wielkanocnych i z racji jubileuszu. Niemniej jednak konferencja miała normalny przebieg. Członek Z.G. pan A. Lewicki przedstawił zebranim sprawy poruszane na ostatnim zebraniu Zarządu Głównego we Wrocławiu. Aktualna sytuacja na Kresach dotycząca powrotu kościołów i odbudowy cmentarzy jest problemem wciąż nie rozwiązany przez władze ukraińskie.

Odnaleziony, przedwojenny sztandar Lwowa wymaga gruntownej renowacji. Wiadomość, że obraz Matki Boskiej Łaskawej ma być przewieziony do Krakowa, poddany konserwacji, następnie umieszczony w Katedrze na Wawelu była zaskoczeniem dla niektórych uczestników spotkania. Dr Jerzy Masior powiedział wprost, że Katedra Lwowska została okaleczona przez wywiezienie cudownego obrazu, bo Jego miejsce jest właśnie tam. Miłym akcentem w dalszych wypowiedziach członka Zarządu było podkreślenie, że Makroregion Południowo-Wschodni rozwija się najbardziej.

Wiadomości o sytuacji ekonomicznej na Ukrainie są tragiczne, bo tym samym los naszych Rodaków jest niezwykle ciężki, polskie szkoły mają trudności w zaopatrzeniu w książki i pomoce szkolne. Wszystkie te informacje zapadają głęboko do serc zebranych, z postanowieniem powzięcia następnych kroków w kierunku niesienia pomocy.

Jarosław z żalem żegna swoich gości, czas się kończy, a przecież mamy sobie jeszcze tyle do powiedzenia.

Lwów w Lublinie październik 1997

Konferencja Makroregionu Południowo-Wschodniego w Lublinie, spotkanie tak określone przez organizatorów, tym samym nabiera szczególnej rangi. Gospodarze spotkania zadbali o to, aby „Lwów w Lublinie” czuł się doskonale. Jedno z powitalnych haseł brzmiało: „Lwowie my Ciebie kornie pozdrawiamy, bo losy świata tego w Twych murach się ważą”. Autor „Roxolanii” Sebastian Klonowicz udowadnia nam jak wielkie znaczenie ma to Miasto. Tu w Lublinie będziemy mówić o sprawach Lwowa i Kresów, będą to sprawy trudne i bolesne, przynoszące jednak nadzieję, że to, co robimy nie pozostaje bez echa.

Są obecni goście z Wrocławia z prezesem Andrzejem Kaminskim na czele, ze Lwowa przyjechał pan Eugeniusz Cydzik, jest ks. Józef Wołczański z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i ks. dyrektor „Domu Spotkań” w Dąbrowicy, w którym odbywa się konferencja, są zaproszeni goście z lubelskich uczelni. Dom, w którym się znajdujemy ma ciekawą historię, w tym miejscu był rodzinny zamek Firlejów (1730 r.), w czasie okupacji obóz koncentracyjny Luksemburczyków, obecnie odbudowany służy jako dom rekolekcyjny wielonarodowościowy. Pozostawiona baszta zamkowa jako relikw przeszłości, stary park otaczający obiekt, wprowadzają przybysza w nastrój romantyczny i chwilę zadumy nad przeszłością.

Tematem dominującym na konferencji mają być sprawy polsko-ukraińskie, temat ogromnie ważny, wciąż trudny do uzgodnienia między dwoma rządami. Po przywitaniu zebranych przez prezesa Oddziału prof. Wł. Stażkę prowadzenie zebrania przejmują członek Z.G. pan A. Lewicki. Pani Krystyna Owczarek zapoznaje obecnych z historią Lublina i ważnymi związkami pomiędzy Lublinem a Lwowem. Te ogromnie ciekawe powiązania historyczne obydwu miast sprawiły, że Lublin staje się jeszcze bliższy sercu Lwowiakom. Pan L. Popek, autor książek o tragedii wołyńskiej informuje o pracach ekshumacyjnych na Wołyniu, wyświetla filmy „video” ukazujące koszmar tamtych lat. Pani Danuta Nespik z Zarządu Głównego mówi o aktual-

nych stosunkach polsko-ukraińskich, sprawy te przedstawia konkretnie i bez osłonek. Pan Eugeniusz Cydzik omawia aktualną sytuację Cmentarza Orląt, a prezes Z.G. A. Kaminski mówi o stanie prac na tym cmentarzu.

Sprawa Cmentarza Obrońców Lwowa, temat ten jest troską i ubolewaniem, uczucia te wypisane są na twarzach wszystkich zebranych osób.

Temat kościoła rzymsko-katolickiego na Ukrainie omawia ks. J. Wołczański, sprawa języka w odprawianiu liturgii wywołuje dyskusję. Jest wiele spraw wewnątrz Towarzystwa, taką bolączką jest niewątpliwie doroczna pielgrzymka do Częstochowy.

Konferencja przebiega na ogół bez zakłóceń, chociaż zdarzają się pewne różnice zdań.

Uroczysta kolacja jaką przygotowali nam gospodarze spotkania, prawdziwie przyjacielska atmosfera i świadomość, że wszyscy działamy dla wspólnej sprawy to miły akcent na zakończenie pierwszego dnia obrad.

Mszą św. w kaplicy „Domu Spotkań” rozpoczął się drugi dzień konferencji, w którym zostały podsumowane uchwalenia przedstawicieli Oddziałów i Klubów Makroregionu Południowo-Wschodniego.

Po obiedzie zwiedzamy miasto, jednak z powodu ulewnego deszczu ograniczamy je tylko do ważniejszych zabytków.

Niestety, wszystko się kończy, nasz pobyt w Lublinie był niezwykle ważnym spotkaniem, był dowodem naszej nieustającej działalności.

Na zakończenie kierujemy serdeczne słowa podziękowania dla Organizatorów, za wielką troskę o uczestników spotkania, szczególnie przemiliłym Paniom z Oddziału lubelskiego, które z uśmiechem wykonywały swoje „powinności”.

Wspomnienie lubelskiego spotkania jeszcze długo pozostanie w pamięci.

Przemysł wiosna 1998 rok

Ten wiekowy gród kryjący w swoich murach polską historię sięgającą najdawniejszych czasów, to placówka Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich niemal o krok od Lwowa. Miasto usytuowane na wzgórzach i wzniesieniach ładząco przypomina Lwów, zwłaszcza, gdy patrzymy od strony zachodniej, panorama miasta z wieżami starych kościołów tak się przedstawia, ale płynący w dole San zmienia tamten krajobraz. Słuchając mowy Przemyslan ma się wrażenie, że jesteśmy na jednej z dzielnic Lwowa.

Przemysł już drugi raz gości przedstawicieli makroregionu. Oddział przemyski od początku istnienia wybijał się w swojej działalności na czołowe miejsce. Jednym z jego wybitnych działaczy był śp. prezes Kuchciński. Dziś przemyski TMLiKPW działa prężnie, niosąc pomoc charytatywną dla Lwowa i innych miejscowości na Wschodzie. Z obszernego sprawozdania pana prezesa St. Lepszego dowiadujemy się jak szeroki jest zakres tego działania. Pomoc charytatywna w postaci żywności, odzieży i leków, paczki okolicznościowe dla dzieci, przedstawiająca się w olbrzymich cyfrach mówi sama za siebie. Trudno pominąć fakt o sprowadzeniu trzech rodzin z Kazachstanu.

W dziedzinie kultury, to częste występy lwowskich zespołów i odwrotnie, wyjazdy polskich artystów do Lwowa. Przemysł bierze również czynny udział w odnawianiu polskich pomników we Lwowie i dekoracji ich otoczenia.

Prowadzący zebranie członek Z.G. pan A. Lewicki zwraca uwagę na miejsca pamięci narodowej we Lwowie i na Kresach. Takim nieustającym problemem jest wciąż Cmentarz Obrońców Lwowa. Pozostaje jeszcze sprawa polskich kościołów i klasztorów, które znajdują się w ruinie.

Członek Z.G. informuje o pielgrzymkach, uroczystościach religijnych i patriotycznych, również o uroczystym pochówku z wyekshumowanych grobów. Prezes lubelskiego TMLiKPW prof. Wł. Stażka składa relacje z prac komisji do spraw Polaków za granicą, stwierdza, że sumy przeznaczone na ten cel są niewystarczające.

W dalszym ciągu prezesa poszczególnych Oddziałów składają sprawozdania ze swoich osiągnięć w kierunku niesienia pomocy. Na szczególną uwagę zasługuje forma pomocy sanockich członków TMLiKPW, którzy opodatkowali się, aby opłacić nauczycielkę języka polskiego w Dubnie.

Goście ze Lwowa to: Prezes TKPZL pan Emil Legowicz i członek zarządu pan B. Sudomlak, mówią o trudnej sytuacji materialnej Towarzystwa, ludzie oczekują pomocy z Polski, zwłaszcza w okresie świąt. Ksiądz Peter proponuje szerszą popularyzację problematyki lwowskiej, chodzi głównie o wychowanie młodzieży w duchu patriotycznym. Na przemyskim Cmentarzu Wojskowym złożono wiązanki kwiatów. Przy Grobie Katyńskim każdego roku w dniu 17 września odbywa się uroczystość patriotyczna połączona z wmurowaniem urn zawierających ziemię z miejsc kaźni NKWD.

Przemyski Oddział ma wiele do powiedzenia na temat polskiej młodzieży ze Wschodu uczącej się w przemyskich szkołach, o organizowanych koloniach dla dzieci i nowych planach na przyszłość.

Podsumowanie przebiegu obrad przez członka Z.G. pana A. Lewickiego świadczy, że mimo trudności i problemów zaangażowanie makroregionu jest pozytywne.

Prezes tarnowskiego Oddziału pan A. Lewicki o działalności TML w Tarnowie mówi krótko, a przecież wiadomo jak olbrzymia jest pomoc kierowana do Lwowa przez ten Oddział. Ma też na swoim koncie wiele kolonii dla dzieci polskich i skierowań do sanatorium w Rymanowie. Odrębną sprawą są „Dni Lwowa w Tarnowie”, czy audycja w radiu propagująca kulturę polską na Kresach.

Miłą niespodzianką dla wszystkich była możliwość zakupu kasy nagranej przez pana Kazimierza Wesołowskiego, pracownika Opery Wrocławskiej i Filharmonii, obecnie mieszkającego w Tarnowie.

Na zakończenie prezesa poszczególnych Oddziałów upoważnili Oddział TMLiKPW w Przemysłu do wystąpienia do Sejmu i Ministerstwa Spraw Zagranicznych z wnioskami wysuniętymi na tej konferencji.

Przemysł żegna swoich gości, być może kiedyś spotkamy się tutaj raz jeszcze.

Nowy Sącz

Połowa października 1998 roku. Długa przerwa w spotkaniach makroregionu sprawiła, że wszyscy jechaliśmy do Nowego Sącza z radością i pewnym zaciekawieniem. Pogoda w całej krasie polskiej złotej jesieni towarzyszyła nam w drodze. Piękny krajobraz w takiej scenerii pozwala na chwilę zapomnienia o rzeczywistości.

Nowy Sącz, miasto którego historia powstania sięga odległych czasów, bo 1292 roku, na przestrzeni wieków ściśle związane z rodami polskich królów, w swoich niezwykłych zabytkach kryje tajemniczość i legendę minionych lat.

Nowy Sącz witał nas słońcem i serdecznymi uściskami gospodarzy spotkania. Należy podziwiać ludzi, którzy, co tu ukrywać, wszyscy są już w pewnym wieku, a potrafią zdobyć się na przygotowanie takiego spotkania.

Prezes sądeckiego Oddziału dr J. Masior stanął na wysokości zadania przygotowując się na przyjęcie przedstawicieli makroregionu.

Wykonanie kilku lwowskich piosenek przez dzieci ze szkół sądeckich wprowadziło na sali miłą atmosferę. Ciepłe słowa powitania, pamięć o życzeniach dla niektórych solenizantek raz jeszcze potwierdziły jak głęboka więź łączy nas wszystkich. Dr Jerzy Masior wspomina o ostatnim koncercie piosenki lwowskiej w Lesznie, o sukcesach młodzieży z Nowego Sącza, a wszystkim nam wiadomo z jaką pasją i oddaniem zajmuje się tymi sprawami.

Przedstawiciel Z.G. pan A. Lewicki mówi o cmentarzu Orłąt, o związanych z tym problemach odbudowy, o rozmowach z władzami ukraińskimi. Są już gotowe figury lotników francuskich, które wkrótce powinny stanąć na właściwym miejscu. Utrudnienie rozmów prawdopodobnie jest spowodowane Kongresem, który odbył się w Przemyślu.

Przemyśl zgłasza o letnich koloniach w Babicach i planowanym utrzymaniu 65 dzieci polskich ze Wschodu w szkołach przemyskich. Organizuje przyjęcie 13-tu osób z Kazachstanu. Jeszcze pozostaje sprawa szkoły w Strzelczyskach.

Lublin zajmuje się między innymi opieką nad chorymi ze Lwowa przebywającymi na klinice, pomaga w utrzymaniu seminarium duchownego w Brzuchowicach.

Tarnów zdaje relację z obchodzonych już corocznie „Dni Lwowa” w Tarnowie, o koloniach dla dzieci ze Lwowa i Strzelczysk. Oddział tarnowski TMLiKPW został odznaczony przez Ministra Kultury za pracę na rzecz odbudowy Cmentarza Orłąt.

Jasło jak zwykle porusza sprawy rodzin z Kazachstanu, mówi o pomocy dla młodzieży na Wschodzie w formie prezentów okolicznościowych, ostro odnosi się do spraw między PSK a Federacją Kresową.

Sanok kontynuuje dalszą pomoc w budowie kościoła w Dubnie. Krynica zajmuje się renowacją grobu poety lwowskiego Henryka Zbierchowskiego.

Rabka znajduje się w początkowej fazie działania, spotykają się na terenie prywatnym jako klub TML.

Moim zdaniem tym małym klubom i kołom należałoby pomóc, wprowadzając je na szersze pole działania, właśnie na zebraniach makroregionu.

Na zakończenie prezes Oddziału sądeckiego dr J. Masior mówił o działalności TML w Nowym Sączu, który przekazuje pomoc w formie pieniężnej (dolary). Pomoc ta kierowana jest do szkół i kościołów. Każdego roku jesienią TML w Nowym Sączu

organizuje wycieczki dla młodzieży licealnej na Kresy. Wycieczki te śladami polskich pisarzy i poetów, to nie tylko zwiedzanie wschodnich terenów Rzeczypospolitej, są równocześnie niepowtarzalną lekcją historii i polskiego patriotyzmu.

Wspólny obiad, a potem zdjęcie naszej grupy na tarasie z widokiem na Dunajec, to niewątpliwie miła pamiątka. Szkoda, że tak niewiele czasu zostało, aby zwiedzić to piękne miasto.

Sanok wiosną 1999 roku

Tak się czasem składa, że coś nie wychodzi, z ubolewaniem należy stwierdzić, że tak się stało z zapowiadzaną konferencją Makroregionu Południowo-Wschodniego w Sanoku. Tam w Sanoku pani prezes dr Maria Siekierzyńska wraz ze swoimi członkami przygotowała wszystko na przyjęcie gości makroregionu. Pogoda dopisywała, zdawało się, że przyjadą chociaż ci z najbliższych terenów. Jakaś wyższa siła pokrzyżowała plany, bo nie tylko dojazd był niedogodny, przeszkodziły też choroby niektórych przedstawicieli makroregionu. Spotkanie jednak odbyło się mimo małej frekwencji.

Pani Maria Siekierzyńska przywitała gości serdecznie, przekazując prowadzenie zebrania panu Kazimierzowi Rozmiłowskiemu, członkowi Z.G., który z ramienia Zarządu wręczył Klubowi sanockiemu medal dziesięciolecia TMLiKPW. Pan K. Rozmiłowski przekazał tematy obrad Zarządu Głównego, które odbyły się 17 kwietnia br. w Poznaniu.

W przerwie w obradach spacer i zwiedzanie wystawy ikon w muzeum na zamku i galerii Beksińskiego.

Po obiedzie przygotowanym przez Panię z sanockiego Klubu rozpoczęła się bardzo ożywiona dyskusja. Przedstawiciel Oddziału rzeszowskiego, pan M. Mikluszko domagał się od członka Z.G. wyjaśnień w sprawie Cmentarza Orłąt, zarzucając Zarządowi Głównemu TMLiKPW opieszałość i bierne stanowisko. Tę ostrą wymianę zdań pomiędzy dwoma przedstawicielami z Rzeszowa i Lublina o godzinie 17-tej przerwała i podziękowała za spotkanie pani prezes Maria Siekierzyńska.

Wielka szkoda, że właśnie tam w Sanoku, gdzie pani prezes z tak niedużą grupą członków prowadzi działalność zasługującą przecież na uznanie, konferencja miała taki przebieg.

Miejmy nadzieję, że do spotkania w Sanoku jeszcze kiedyś dojdzie, a dyskusja w szerszym gronie przyniesie lepsze rezultaty.

Jarosław, wrzesień 1999 r.

XI Konferencja Makroregionu Południowo-Wschodniego w Tarnowie 6.11.1999

Czas biegnie w tempie nie dającym się powstrzymać. Sprawy, które przynosi nam życie nie pozwalają oglądać się wstecz, a jednak, czy chcemy, czy nie, przeszłość wciąż powraca, bo na niej zbudowana jest nasza egzystencja. Wracamy myślą do spraw związanych z historią naszego Narodu i Miasta, w którym żyliśmy kiedyś, do przeżyć osobistych w minionym czasie i wreszcie do wydarzeń minionych dni.

Pięć lat istnienia Makroregionu to spory odcinek czasu, to już historia, pięć lat spotkań, wspólnych działań i podejmowania ważnych decyzji.

Makroregion Południowo-Wschodni istnieje i to jest najważniejsze, że idea jego powstania trwa, a działalność daje rezultaty.

Tarnów stał się duchowym centrum tego przedsięwzięcia, tu bowiem pięć lat temu odbyło się pierwsze spotkanie na którym ukierunkowano zasadniczą działalność makroregionu. Dzisiaj, podobnie jak wówczas, gospodarzem spotkania jest prezes tarnowskiego Oddziału pan Adam Lewicki, koordynator makrore-

gionu, członek Zarządu Głównego. Przybyłych na konferencję przedstawicieli Oddziałów i Klubów wita serdecznie, ze szczególnym akcentem delegatkę Oddziału kieleckiego, panią Marię Domagała.

Prowadzący zebranie prezes A. Lewicki mówi o aktualnych sprawach dotyczących Towarzystwa, o kończącej się kadencji Zarządu Głównego, o przygotowaniach do wyborów. Informuje o bieżących pracach na Cmentarzu „Orłąt”, wspomina o pięcioletniej działalności Makroregionu. Za działalność w makroregionie dekoruje złotą odznaką TML prezesa jasielskiego Oddziału pana Albina Pietrusa.

Za oknem jesień, ostatnie spadające liście, ostatnie przebliski słonecznych promieni, trochę melancholii jesiennej i chwila refleksji nad czasem, który przeminał. Przedstawiciele Oddziałów i Klubów składają sprawozdania z działalności TML na swoim terenie. Sprawą ogólną jest słaba frekwencja na zebraniach, powód oczywisty, zmniejszają się szeregi starszego poko-

lenia, młodzi to nieliczni, którzy zajmują się historią Kresów. Delegatka z Kielc opowiada o współpracy TML z młodzieżą ze szkoły im. Orłąt Lwowskich, mówi o wycieczkach na Kresy, o imprezach szkolnych, z których dochód przeznaczają się na odbudowę Cmentarza. Wiadomości te wnoszą odrobinę nadziei na przyszłość. Padają jednak gorzkie słowa pod adresem nauczycieli, brak zainteresowania z ich strony historią Kresów odbija się na wychowaniu młodzieży, która nie ma wiadomości na ten temat.

Członek Zarządu Głównego prof. Władysław Stażka zdaje sprawozdanie z czteroletnich osiągnięć kończącej się kadencji Zarządu. Pan Profesor nawiązuje do antagonizmu wewnątrz TML, chociaż jedna z tych barier została już przełamana, chodzi o doroczne pielgrzymki do Częstochowy, które będą się odbywały z powrotem. „Idźmy do Częstochowy razem, obojętnie jakich jesteście przekonani i narodowości – idźmy tam wszyscy razem”, mówi profesor Stażka, głęboko do serc zapada sens tych słów, bo to nie tylko słowa, to argument, który przechyla szalę dobra nad złem. Po tej wypowiedzi profesor czyta list napisany do niego przez panią Danutę Skalską z Bytomia, list ten w swojej treści nawiązuje do porozumienia TML i PSK. Przez moment twarz czytającego jaśnieje radością, bo jest to ważny krok do pojednania.

Z niegasnącym zapałem mówimy o zbiorach pieniędzy przeznaczonych na odbudowę kościołów i cmentarzy na Wschodzie, o pomocy Rodaków, o koloniach dla polskich dzieci.

Dr Albin Pietrus kontynuuje swoje starania na rzecz polskich rodzin z Kazachstanu, zwraca uwagę na małe zainteresowanie tym problemem.

Prezes nowosądeckiego Oddziału dr Jerzy Masior z niestabnącą pasją opowiada o „swoich” śpiewających dzieciach i ich sukcesach w tym roku. Wspomina o koloniach dla dzieci z Litwy, o ich niesłychanym ubóstwie.

Przemysł bez wątpienia przoduje w odstonięciach tablic pamiątkowych, tym razem jest to tablica ku czci pomordowanych żołnierzy pogranicza. Delegat przemyski proponuje, aby pomoc charytatywna dla polskich rodzin docierała częściej do bardziej odległych miejsc na Wschodzie.

Pani Maria Siekierzyńska ze smutkiem wspomina spotkanie makroregionu w Sanoku, które było nieudane z powodu małej frekwencji. Pani Mario miejmy nadzieję, że wiosną spotkamy się w tym pięknym mieście, tym razem w większym gronie. Czas robi postępy, widać to na twarzach obecnych osób, ale w spojrzeniach niezmiennie pali się iskierka nadziei i czegoś nieuchwytnego, czegoś co właśnie przeszłość pozostawiła w naszej świadomości.

Jesienny zmrok zapada szybko, żegnamy gościnnych gospodarzy tak bardzo dbających o atmosferę serdeczności, a domowe dania, którymi nas częstowano były wysmienite. Dziękujemy. □

Danuta Śliwińska

X-lecie Oddziału Bydgosko-Toruńskiego TMLiKPW w Bydgoszczy

Wszystko zaczęło się od zebrania założycielskiego w czerwcu 1989 r. Wybraliśmy wówczas pierwszy Zarząd i było nas 105 członków. Część odeszła od nas na zawsze ale przybywali nowi i dzisiaj razem z Klubami TMLiKPW w Toruniu i Grudziądzu mamy ok. 340 członków. Każde nasze spotkanie, uroczystość, jubileusz poczynawszy od I-go zebrania założycielskiego rozpoczynamy przyjętym przez nas hymnem, który śpiewamy na stojąco:

„W dzień deszczowy i ponury
Z cytađeli idą z góry
Szeregami lwowskie dzieci
Idą tułać się po świecie.” itd.

Od samego początku naszej działalności mamy stałą siedzibę w Urzędzie Wojewódzkim w Bydgoszczy, spotkania, uroczystości, „opłatki”, „jajeczka”, „andrzejki”, wystawy kresowe organizujemy w bardzo nam przychylnym Klubie Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Były i spotkania w plenerze przy ognisku, z pieczeniem kiełbasek i śpiewem piosenek lwowskich. W ciągu tych 10-ciu lat spotykaliśmy się i z innymi organizacjami na wspólnych imprezach i uroczystościach między innymi z Towarzystwem Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Towarzystwem Gimnastycznym „SOKÓŁ”, Związkiem Sybiraków, Rodziną Katyńską, Światowym Związkiem Żołnierzy AK, a także wyjeżdżaliśmy na spotkania z Klubem Toruńskim i Grudziądzkim. Bardzo blisko współpracujemy z Komendą Hufca ZHP, przy pomocy której w maju 1991 r. (w 80-ą rocznicę powstania harcerstwa we Lwowie) doszło do reaktywowania harcerstwa polskiego we Lwowie i przyrzeczenia pierwszych zastępów w średniej szkole nr 24 im. Marii Konopnickiej. Natomiast drużyna im. Olgi i Andrzeja Małakowskich z Bydgoszy brała udział w obchodach Święta Niepodległości 11 listopada we Lwowie, a także uczestniczyła w zgrupowaniu wszystkich drużyn harcerskich ze Lwowa i regionu lwowskiego.

W Bydgoszczy i regionie – przyjmowaliśmy corocznie dzieci i młodzież na koloniach, obozach harcerskich, warsztatach artystycznych, innych formach wypoczynku, a także gościliśmy Teatr Polski ze Lwowa, kapelę „Wesoły Lwów” i ostatnio chór „ECHO” ze Lwowa. We Lwowie i na Kresach byliśmy wielokrotnie zawożąc pomoc charytatywną, środki finansowe do miejscowości i organizacji, które mamy przydzielone, w ramach „sieci opieki”, a także przekazywaliśmy pieniądze dla rodzin z listy najbiedniejszych.

Uczestniczyliśmy we wszystkich ważniejszych uroczystościach kościelnych, państwowych, rocznicowych, zwłaszcza tych, które były związane z Kresami. Na 10-lecie przyszliśmy z niemłym dorobkiem, ale można było zrobić więcej, zwłaszcza w zakresie pomocy Polakom na Wschodzie. Uroczystości 10-lecia rozpoczęły się 14 listopada br. mszą św. w kościele św. Polskich Braci Męczenników, który przygarnął wszystkie wschodnie organizacje. Proboszcz parafii ks. prałat Romuald Biniak, który odprawiał mszę św. w naszej intencji w asyście 2-ch kapłanów – skierował do nas Lwowian i Kresowian bardzo ciepłe, patriotyczne słowa, mówił pięknie też o Polakach mieszkających na Wschodzie. W mszy św. uczestniczyły poczty sztandarowe, między innymi Hufca ZHP Bydgoszcz, Związku Sybiraków, Rodziny Katyńskiej, Światowego Związku Żołnierzy AK, obecnych było 100 harcerzy w mundurach z 2-ch drużyn ZHP – z 144 im. Olgi i Andrzeja Małakowskich i 55 im. Orłąt Lwowskich. W czasie mszy św. śpiewał chór „ECHO” ze Lwowa, a potem wystąpił w kościele z koncertem pieśni patriotycznych i lwowskich. Koncert ten jak i mszę św. zarejestrowała Telewizja Bydgoska, obecna była również miejscowa prasa. Występ chóru „ECHO” zamykał jednocześnie Tydzień Kultury Chrześcijańskiej, który w Bydgoszczy zorganizowany był po raz XVIII. Po koncercie proboszcz parafii oprowadził chór po kościele, po izbach pamięci m.in. ks. Jerzego Popiełuszki, Tadeusza Nowakowskiego i in.



Składa życzenia P. Bolesław Białowus, wiceprezes Zarządu Głównego Tow. Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej we Lwowie – na uroczystości 10-lecia Oddziału. Bydgoszcz, 14 listopada 1999 r.

Należy również dodać, że chór „ECHO” poprzedniego dnia, 13 listopada br. wystąpił w największym bydgoskim kościele, Bazylice im. św. Wincentego á Paulo śpiewając w czasie mszy św., a po niej dając koncert pieśni patriotycznych i lwowskich. Po koncercie chór „ECHO” był bardzo ciepło przyjęty i goszczony przez proboszcza Bazyliki ks. Augustyna Kanska.

14 listopada br. w godzinach popołudniowych w Klubie POW odbyło się nasze spotkanie „jubileuszowe”. Można było obejrzeć wystawę pt. „Migawki i zdarzenia” z 10-letniej działalności Oddziału TMLiKPW w fotografii Józefa Zegarlińskiego. Na uroczystość przybyli poza naszymi członkami, Prezesami Klubów w Toruniu i Grudziądzu, grupy inicjatywnej z Piły, ze Lwowa – p. Bolesław Biłowus, Wiceprezes Zarządu Głównego Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, z Wrocławia – p. Danuta Tabińska-Juhasz Skarbnik Zarządu Głównego TMLiKPW i Dyrektor Zarządu Fundacji „Semper Fidelis”, p. Zbigniew Umański – rzecznik prasowy Zarządu Głównego TMLiKPW, z Bydgoszczy – p. Elżbieta Krzyżanowska – I Wiceprezydent Bydgoszczy, p. Stefan Pastuszewski – Doradca Wojewody Kujawsko-Pomorskiego, p. Grzegorz Hinz – Wicekurator Kujawsko-Pomorski, p. Anna Serwińska – Dyrektor Pałacu Młodzieży, p. hm Emilia Domańska – Hufiec ZHP Bydgoszcz, p. Andrzej Bogucki –



Członkostwo honorowe TMLiKPW otrzymuje P. Elżbieta Krzyżanowska I Wiceprezydent Bydgoszczy – z rąk Danuty Tabińskiej-Juhasz, obok Zuzanna Kamińska – Sekretarz Oddziału, niewidoczny dr Jerzy Klepacki – Wiceprezes Oddziału i Danuta Śliwińska – Prezes Oddziału. Bydgoszcz, 14 listopada 1999 r.

Prezes Ogólnopolskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, p. Aleksander Grzybek – Senior Konfraterni Literackiej, Wicedyrektor Miejskich Zakładów Komunikacyjnych, mgr Marek Trojan – gospodarz Klubu POW, Prezesi zaprzyjaźnionych organizacji i inni. Krótkie sprawozdanie z działalności Oddziału w okresie 10-lecia zostało przekazane wszystkim przybyłym na uroczystość. Po odśpiewaniu hymnu „W dzień deszczowy i ponury” przy akompaniamencie naszego „nadwornego” harmonisty i słowach wstępnych Prezesa oddziału udekorowano złotymi odznakami TMLiKPW dyrygenta chóru „ECHO” Edwarda Kuca, zasłużonych członków Towarzystwa, a członkostwo Honorowe otrzymały te osoby z Bydgoszczy, które przez cały czas czują się mocno z nami związane, które zawsze pomagają nam również finansowo i na których przychylność możemy liczyć przy organizacji imprez oraz przyjazdów zespołów artystycznych i dzieci ze Lwowa.

A potem długo trwały życzenia skierowane pod naszym adresem – od władz bydgoskich, ze Lwowa – od Prezesa i Zarządu Głównego Tow. Kul. P. Z. Lw., ze szkoły im. Marii Konopnickiej, od chóru „ECHO”, od zwykłych mieszkanki Lwowa, z Wrocławia – od Zarządu Głównego TMLiKPW i Zarządu Fundacji „Semper Fidelis” i od wielu innych organizacji. Słowa kierowane pod adresem naszego Oddziału były bardzo ciepłe, wzruszające. Otrzymałmi gratulacje, podarki i morze kwiatów. Po tych pięknych chwilach – wystąpił z koncertem chór „ECHO” śpiewając głównie pieśni lwowskie. Chór przyjęty był bardzo gorąco i wielokrotnie bisował.



Chór „ECHO” ze Lwowa śpiewa na 10-cio leciu Oddziału. Bydgoszcz, 14 listopada 1999 r.

W sąsiedniej sali restauracyjnej zasiedliśmy wszyscy do wspólnej biesiady i lampką szampana wznieśliśmy toast, dziękując wszystkim za przybycie, za życzenia, chórowi za piękny śpiew i dostarczenie wielu wzruszeń. Była to okazja do podziękowania wszystkim za dotychczasową pracę, współpracę, a władzom Bydgoszczy, Klubowi POW i innym organizacjom za okazywaną życzliwość, za wsparcie finansowe wielu naszych imprez, za wszystko dobre co nas spotyka w Bydgoszczy. □

X lat Oddziału TMLiKPW w Katowicach

Na Śląsku osiedliło się po wojnie sporo lwowiaków i kresowiaków. Założenia Towarzystwa Miłośników Lwowa w Katowicach podjęła się w styczniu 1989 r. grupa inicjatywy składająca się z 18 osób, której przewodniczył Franciszek Speicher. W ciągu trzech miesięcy zebrała deklaracje o przystąpieniu do TML od 192 osób i 13 kwietnia tego roku odbyło się I Walne (Założycielskie) Zgromadzenie Towarzystwa. Prowadził je red. Wacław Horoszkiewicz, słowo wstępne wygłosił inż. Lesław Hawling. Zgromadzenie, w którym uczestniczyło 267 osób wybrało zarząd Oddziału TML w składzie: prezes – Ludwik Müller, zastępcy – Hanna Jarosz-Jałowicka i Zdzisław Bojarski, sekretarze – Marian Kasztelaniec i Juliana Tymińska oraz skarbnik – Janina Bąkowska. Przewodniczącym Komisji Rewizyjnej został Fr. Speicher. Ponadto powołano wówczas cztery sekcje tematyczne: organizacyjno-prawną, gospodarczo-finansową, historyczno-demokratyczną oraz pracy z młodzieżą i współpracą z Polonią. Ustalono ramowy zakres ich pracy.

Działalność Oddziału katowickiego skupiała się w tym okresie na prawnym usankcjonowaniu istnienia TML i organizowaniu życia Towarzystwa poprzez spotkania środowiskowe, z ciekawymi ludźmi kultury, nauki i artystami, obchody świąt i rocznic, robieniu foto-gazetki. Wizytówką nowoutworzonego Oddziału TML stała się wystawa zorganizowana przez Towarzystwo w grudniu 1989 r. w Bibliotece Śląskiej pt. „Lwów w naszej pamięci”, na którą złożyły się zdjęcia i plany Lwowa, odznaczenia i różne pamiątki zachowane przez członków TML.

W styczniu 1990 r. odbyło się I Spotkanie Oplatkowe. Od tego czasu spotkania lwowiaków i kresowiaków przy opłatku i święconym jajku weszły na stałe do planów działalności Towarzystwa. Stałym i miłym gościem na nich był ks. dr Józef Krętosz, który z czasem stał się kapelanem katowickich lwowiaków i kresowiaków. W tymże 1990 r., przy współudziale Telewizji Śląskiej, zorganizowano w Katowicach I zbiórkę darów – żywności, odzieży i książek – dla społeczności lwowskiej. Sprowadzono ze Lwowa na występy w Katowicach chór „Echo”, urządzono wycieczkę na Panoramę Raclawicką do Wrocławia.

W 1991 r. katowicki Oddział TML liczył już 711 członków. Na nadzwyczajnym Walnym Zgromadzeniu TML O/ Katowice prezesem Zarządu Oddziału Towarzystwa został wybrany inż. Lesław Hawling. Funkcję tę pełni do dziś. Wydarzeniem tego roku było sympozjum, zorganizowane przez TML, wspólnie ze Związkiem Górnośląskim, z okazji 70 rocznicy wybuchu III Powstania Śląskiego, ukazujące udział w nim lwowian. TML zapewniło 16 prelegentów. Niezwykle ciekawe i ważne materiały z tego dwudniowego sympozjum ukazały się, nakładem ZG, w wydaniu książkowym i stanowią trwały wkład TML do badań nad historią walk o polski Śląsk.

W tymże roku Oddział rozpoczął, kontynuowaną od tamtego roku, akcję letnich kolonii w kraju dla dzieci i młodzieży polskiej ze Lwowa i innych miejscowości na Kresach. Aby przybliżyć im język ojczysty, umożliwić poznanie historii Polski, kulturę, zabytki. Pierwszą kolonię zorganizowano w dniach 5-25 sierpnia nad Bałtykiem dla 30 dzieci ze szkoły nr 10 we Lwowie, wraz z 2 wychowawczyniami. Nawiązano też kontakty z rodakami na Kresach, odbyły się pierwsze spotkania – z Brześcia przyjechała grupa niewidomych arty-

stów z recitale słowno-muzycznym, która kwestowała na odbudowę zniszczonego kościoła w ich mieście. Z podobną misją dwukrotnie odwiedził katowicki Oddział TML ks. Antoni Andruszczyszyn, odbudowujący kościół w Sławucie, gościła też p. Dora Karcnerson z Drohobycza. W 10-letniej działalności zorganizowano łącznie 6 kolonii 2-3 tygodniowych dla dzieci, 3 obozy harcerskie oraz 2 pobyty dla młodzieży z Kresów w Katowicach. Podczas wakacji w Polsce nasi młodzi rodacy zwiedzali Śląsk, Kraków, Jasną Górę, wrocławską Panoramę Raclawicką, Kotlinę Kłodzką. Na odjeźdnym, każdorazowo otrzymywały słodycze, przybory szkolne i praktyczne pamiątki.

W 1993 r. ukształtował się nowy program działania Oddziału, aktualny do dziś – pomoc charytatywna dla Rodaków na Kresach. Dwa razy do roku, z okazji świąt Wielkanocnych i Bożego Narodzenia, wysyłane są paczki zawierające żywność, leki, witaminy, a także odzież i środki czystości. Imiennie do polskich rodzin, osób starszych, samotnych, do domów starców, którymi opiekują się siostry od św. Józefa oraz ojcowie z kościoła św. Antoniego. Przez 10 lat wysłano 594 paczki do Lwowa, oraz do Borysławia i Gródka Jagiellońskiego. Natomiast do polskich szkół nr 10 i 24 we Lwowie oraz do przedszkoli polskich w tym mieście posłano dziesiątki podręczników szkolnych, 360 słowników poprawnej polszczyzny, 170 książek o sztuce recytacji i mówienia, nauczania muzyki i inne pomoce dydaktyczne. Przekazano też magnetofon z kasetami, froterkę, odkurzacz oraz wiele zabawek.

Wydarzeniem 1993 r. w działalności katowickiego środowiska kresowego była wystawa pt. „Lwów i Kresy w mojej pamięci”, zorganizowana z okazji 75 rocznicy Niepodległości Polski i Obrony Lwowa. Pamiątki przywiezione z Kresów zebrał wśród członków TML Witold Korbela, sprowadził też z Nysy makietę Cmentarza Orłąt, dzieło inż. T. Puchalskiego. Wystawa cieszyła się wielką frekwencją i była kilkakrotnie przedłużana – aż do 1994 r. Mini-wystawę o podobnej tematyce urządzono także w Woj. Bibliotece Publicznej w Katowicach. Obie przyciągnęły do Towarzystwa nowych członków.

Rok 1994 upamiętnił się ufundowaniem tablicy pamiątkowej poświęconej obrońcom Lwowa w latach 1918-1920-1939 i uroczystym wmurowaniu jej w Katedrze Chrystusa Króla w Katowicach. Aktowi poświęcenia przez abp. Damiana Zimonia towarzyszyły poczty sztandarowe, wojsko, harcerze. Tablica jest dziełem katowickiego artysty-rzeźbiarza Zygmunta Brahmańskiego.

Z inicjatywy katowickiego Oddziału powstał Makroregion Śląski – organizacja skupiająca oddziały TMLiKPW: Bytom, Zabrze, Gliwice, Tychy oraz Katowice. Zadaniem jej było zacieśnienie współpracy i koordynacja działań oddziałów TMLiKPW na Śląsku. Koordynatorem został kol. Andrzej Michniewski.

Stałym punktem programu działalności Towarzystwa od 1996 r. jest kwesta, przeprowadzana przed nekropoliami katowickimi na odbudowę Cmentarza Łyczakowskiego. Zebrane datki przekazywane są bezpośrednio do Lwowa osobom, które zajmują się pracami renowacyjnymi na tej nekropolii. W ten sposób katowicki Oddział TMLiKPW przyczynił się do oczyszczenia i wyremontowania ok. 90 grobów, a przy 38 do wykonania koniecznych prac budowlanych.

nych. Odnowiono także tablicę na grobie ks. Stanisława Sokółowskiego, proboszcza parafii św. Mikołaja. Prowadzone są dalsze prace remontowe przy grobach na polu nr 10 Łyczakowskiego Cmentarza. Finansowo wsparto odbudowę cmentarza: w Brodach, żołnierzy polskich poległych w 1920 r., legionistów w Młotkowie. Ponadto Oddział przekazał różne kwoty na odbudowę kościołów na Kresach, wspierał akcję „Antena na Wschód”, Polskie Radio Lwów, „Gazetę Lwowską”, Tow. Kultury Polskiej Ziemi Boryslawieckiej oraz chóry „Echo” i „Lutnia” we Lwowie. Pomaga także rodakom z Kresów przebywającym obecnie w Polsce, żyjącym w trudnych warunkach. Żadna prośba o wsparcie nie została pominięta.

Miłym akcentem 1997 r. było nadanie członkowi TMLiKPW, prof. dr. med. Jerzemu Zielińskiemu odznaczenia „Lux ex Silesia” (Światło ze Śląska), przyznane za wybitne osiągnięcia naukowe.

Nie sposób nie odnotować, pisząc o działalności Oddziału TMLiKPW w Katowicach, że co roku od 10 lat, z jego

inicjatywy odbywają się uroczyste nabożeństwa, w Katedrze i Kościele Garnizonowym, w różnych intencjach: z okazji 50 rocznicy kaźni profesorów i uczonych lwowskich, obrońców Lwowa, Orląt Lwowskich, Święta Niepodległości i in. Z udziałem artystów scen śląskich: Bogumiły Murzyńskiej, Michaliny Growiec, Ryszarda Zaorskiego, Jerzego Głybina. 29 listopada 1998 r. w Kościele Garnizonowym została poświęcona urna z prochami z grobu Jurka Bitschana i grobów Orląt Lwowskich, którą umieszczono w tej świątyni. Podczas tej uroczystości młodzież ze szkoły nr 35 w Katowicach wystąpiła z programem słowno-muzycznym.

Katowicki Oddział TMLiKPW prowadzi bibliotekę, kolportarz prasy i książek o tematyce kresowej, wydaje od lat Biuletyn Informacyjny, który aktualnie redaguje Anna Krzeszewska.

Na nadzwyczajnym Walnym Zgromadzeniu TML O/Katowice prezesem Zarządu Oddziału Towarzystwa został wybrany inż. Lesław Hawling. Funkcję tę pełni do dziś.

(opr. U. Z.)

Uroczystość dziesięciolecia powstania i działalności Klubu Terenowego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Kępnie

Sobota – 2 października 1999 r.

Od pierwszych dni września 1989 roku, kiedy ukonstytuowała się Grupa Inicjatywna Towarzystwa Miłośników Lwowa, szybko upłynął okres decennium i to tak szybko, że w zdumieniu nad wartością jego biegu i nieuchronnością upływu stanęliśmy w zadumie przed zbliżającym się w bieżącym roku Jubileuszem...

Dzięki osobistemu zaangażowaniu się i inicjatywie członka Zarządu Stronnictwa Demokratycznego – Feliksa Gruszki, historyka naszego regionu, odbyło się 6 września 1989 roku inauguracyjne zebranie grupy założycielskiej Klubu – 27 osób.

Już na zebraniu założycielskim, w obecności przedstawicieli Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa we Wrocławiu, liczba członków przekroczyła 50 osób, stwarzając podstawy prawne do utworzenia Klubu Terenowego.

12 grudnia 1989 roku Zarząd Główny naszego Towarzystwa powołał do istnienia i działalności Klub Terenowy Towarzystwa Miłośników Lwowa w Kępnie.

Nowy Rok 1990 rozpoczęliśmy spotkaniem poświęconym przy tradycyjnym Oplatku i wtórnie piosenek Lwowskiej Fali... Spotkania te weszły na stałe do tradycyjnego programu naszej działalności w każdym następnym roku i trwają do dzisiaj...

— I ani żeśmy się nie obejrzeni, a już od tych chwil upłynęło dziesięć lat, zarówno wypełnionych przyjemnymi, urokliwymi chwilami spotkań w gronie ziomków, jak i smutnymi, często dramatycznymi wydarzeniami. Odczucia te towarzyszyły nam wszystkim w dniu przeżywanego Jubileuszu, szczególnie podczas Mszy św. ... Obchody odbyły się pod patronatem Starosty Powiatowego – Jerzego Trzmiela. Wzięli w nich udział: Duszpasterz naszej parafii, ks. Krzysztof Nawrocki, przedstawiciele władz powiatowych i miejskich, mgr Włodzimierz Mazurkiewicz i inż. Piotr Psi- kus, przedstawiciel Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Emil

Teśluk, członkowie honorowi naszego Towarzystwa, Darczyńcy i wielu Sympatyków, Chór „Jutrzenka”, redaktorzy Tygodnika Kępińskiego i Telewizji Kablowej oraz nieliczni już – niestety – a drodzy naszym sercom współziomkowie – „swojacy”...

Chór rozpoczął uroczystość monumentalną pieśnią Gaud Mater Polonia..., a następnie odśpiewaniem z całą salą Roty.

Po powitaniu Gości Feliks Gruszka, nasz kronikarz i historyk, a przy tym właściwy kreator Klubu – przedstawił związki Ziemi Wschodnich z Wielkopolską i Kępniem w szczególności.

Prezes Klubu, dr Kazimierz Dradrach ukazał w krótkim rysie historycznym dziesięć lat działalności Klubu.

– Rozpoczął od przedstawienia początków organizacyjnych – spotkań okresowych i uroczystych (okazjonalnych).

– Mówił o odwiedzinach Jerzego Michotka, artysty scen warszawskich, ostatniego z lwowskich „batiarów”, o spotkaniach z uczniami szkół podstawowych i średnich naszego regionu, o organizacji uroczystości związanych z życiem i działalnością Marii Szembekowej, poetki i patriotki, wnuczki Aleksandra Fredry, związanej bezpośrednio z Ziemią Kępińską (Siemanice koło Kępna) i Wielkopolską.

– Przypomniał o udziale naszych członków w wycieczce do Lwowa, połączonej z ogólnopolską pielgrzymką do Rudki (rodzinnego gniazda Aleksandra Fredry) w dniach 10-15 sierpnia 1990 roku, o spotkaniach z Polakami ze Lwowa, organizowanych kontaktach sąsiedzkich z innymi Klubami Terenowymi (np. w Wiśle!), przeprowadzanych zbiórkach książek i darów dla dzieci polskich we Lwowie, o kolportażu prasy (Semper Fidelis i Gazeta Lwowska), o udziale w zbiórkach charytatywnych na budowę kościołów we Lwowie i Kresach Południowo-Wschodnich.

Przeprowadziliśmy (trzykrotnie) przy współudziale Sympatyków i Darczyńców zbiórkę pieniężną na budowę Kościoła w Brodach koło Lwowa, przekazując łączną kwotę

około 2000,- zł (dwa tysiące!). Zważywszy, że stanowimy niewielką liczebnie grupę lwowian i kresowiaków, w porównaniu z liczbą rencistów i emerytów, pobierających nader skromne świadczenia emerytalne, cieszymy się ogromnie z tak znacznej kwoty przekazanej na konto Archidiecezji w Lubaczowie.

To tylko przykładowo podane niektóre z podejmowanych przez nas form naszej dotychczasowej działalności.

Pragniemy połączyć nasze kontakty integracyjne z Kołem Wilnian w Kępnie, ale z uwagi na dość wyraźne tendencje separatystyczne ze strony Zarządu Koła – nie doszło to do skutku...

Trwałe natomiast i bardzo życzliwe są kontakty nasze z miejscową Redakcją Tygodnika Kępińskiego, w którym od wielu lat są zamieszczane artykuły, wypowiedzi i refleksje naszych Członków, Gości odwiedzających nasz Klub (Jerzy Michotek, ks. Bolesław Witwicki, paulin, pracujący wśród Polaków w Szwecji i inni), wywiady z członkami Zarządu, liczne relacje z Uroczystości i corocznych Spotkań Oplatkowych...

– Z kolei Prezes z przykrością stwierdził, że liczebny stan naszych Członków Klubu znacznie się zmniejszył z uwagi na to, że dla wielu opłata składek członkowskich stała się nie lada problemem (Sic!). Było to – między innymi – powodem rezygnacji kilkorga osób z przynależności do Klubu.

Najbardziej przykre jest jednak to, że poważnie przerzedzają się nasze szeregi z racji przechodzenia Jego Członków „na wieczną służbę”...

Przez powstanie z miejsc wszyscy uczestnicy Uroczystości uczcili przez chwilę pamięć wymienionych jedenaściorga Członków, którzy odeszli od nas na zawsze...

*Spieszmy się kochać ludzi
tak szybko odchodzą...*

(ks. Jan Twardowski)

Wyszliśmy „ze smugi cienia” ale – niestety – szybko, może nawet nazbyt szybko z powrotem w nią wchodzimy na zawsze – naturalnym biegiem i porządkiem rzeczy.

– Na zakończenie krótkiego, retrospektywnego spojrzenia na przebytą drogę – dziesięcioletni okres, referent stwierdził, że wraz z kurczeniem się naszych szeregów, pozostała grupka kresowiaków i lwowian zespała się coraz bardziej, integruje wewnętrznie...

Służyły temu i służą nadal miłe spotkania w relaksowym, pogodnym nastroju, organizowane przez śp. Józefa Jednoroga i niestrudzonego kolegę Jana Rudnickiego oraz aktywnie działające panie, zawsze chętne do współpracy i pomocy.

Dziękując Im za to bardzo serdecznie, dr Kazimierz Dradrach złożył wyrazy podziękowań wielu życzliwym, aktywnym i pracowitym Członkom Klubu.

Na zakończenie powiedział:

„Niech mi wolno będzie podziękować wszystkim życzliwym nam Osobom – Sympatykom i Miłośnikom Zawsze Wiernego Grodu – Ukochanego Lwowa za dziesięcioletnią współpracę, która pozwala nam, chociaż na krótkie chwile, spotykać się – jak w rodzinnym gronie – wśród swojaków, wśród bratnich, otwartych i szczerych wschodniackich dusz.”

Następnie przedstawiciel Zarządu Głównego TMLiKPW we Wrocławiu, Emil Teśluk, wręczył dwa dyplomy członkom honorowym naszego Klubu – ks. Krzysztofowi Nawrockiemu i Jadwidze Wróblewskiej, kierownicze Klubu Seniora w Kępnie, a następnie uhonorował 13 osób Złotymi Odznakami Towarzystwa.

Po części oficjalnej odbył się obiad, a następnie – zgodnie z programem – część artystyczna w wykonaniu chóru „Jutrzenka” pod artystycznym kierownictwem Cecylii Płazowej.

Po koncercie i miłej, wspólnej biesiadzie uroczystość zakończyła się podwieczorkiem przy kawie i słodyczkach. Raz tylko – na dziesięć lat! – można przeżyć coś tak urokliwego, odmiennego od znoej i szarej codzienności tych, którzy weszli już w późną jesień życia...

Za Zarząd Klubu Terenowego Tow. Miłośn. Lwowa i Kresów PW
mgr Ignacy Piasecki

Bożena Mielcarek

Lwów zawsze wierny

2 października br. w Klubie Nauczyciela „Anatol” odbyły się uroczystości związane z 10-leciem istnienia Klubu Terenowego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Kępnie. Tuż przed oficjalnymi uroczystościami odbyła się msza św. w kościele parafialnym p.w. św. Marcina w Kępnie. Obchody odbywały się pod patronatem starosty powiatowego w Kępnie – Jerzego Trzmieła. Uroczystości uświetnił wspaniałe śpiewający chór „Jutrzenka” kierowany przez Cecylię Płazę.

Prowadzącym obchody był prezes Zarządu Kazimierz Dradrach. Powitał on wszystkich przybyłych gości, wśród których byli m.in. wicestarosta powiatu kępińskiego Włodzimierz Mazurkiewicz, burmistrz MiG Kępno – Piotr Psikus, sekretarz Zarządu Głównego Towarzystwa MLiKPW we Wrocławiu oraz ks. proboszcz Krzysztof Nawrocki.

Otwarcia jubileuszowego spotkania dokonał chór „Jutrzenka”, który odśpiewał wraz z gośćmi „Rotę”. Po tak uroczystym otwarciu obchodów 10-lecia wicestarosta powiatu kępińskiego, Włodzimierz Mazurkiewicz, odczytał pismo

z życzeniami od nieobecnego z powodu choroby starosty oraz zwrócił się do Towarzystwa MLiKPW ze słowami: „Semper Fidelis – Zawsze Wierny, ten zwrot określający Lwów przypomina mi zawsze wiersz największego, mim zdaniem, polskiego poety – Zbigniewa Herberta, lwowiaka, który mówił w „raporcie z oblężonego Miasta”: „I jeśli Miasto padnie, a ocaleje jeden/On będzie niósł Miasto w sobie po drogach wygnania/On będzie Miasto”. Myślę, że wy jesteście tym miastem, ocalałymi strażnikami wartości i niech tak zostanie, bo jest to dziś niezwykle potrzebne i ważne.”

Również burmistrz Piotr Psikus zabrał głos i powiedział, że dla niego ludzie z Towarzystwa MLiKPW są patriotami w pełnym tego słowa znaczeniu. Cieszył się bardzo, że Klub istnieje i zadeklarował pomoc finansową z przeznaczeniem na prenumeratę interesujących Towarzystwo czasopism.

Ks. Krzysztof Nawrocki stwierdził z kolei, że bardzo się cieszy, że Klub działa i istnieje już tyle lat. Nie obyło się bez licznych gratulacji, kwiatów i podziękowań, m.in. kierownika Klubu Seniora – Jadwigi Wróblewskiej oraz kierownika Domu Pomocy Społecznej – Urszuli Rozwadowskiej.

Feliks Gruszka, członek i inicjator powstania Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschod-



2 października br. w Klubie Nauczyciela „Anatol” odbyły się uroczystości związane z 10-leciem istnienia Klubu Terenowego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Kępnie. Tuż przed oficjalnymi uroczystościami odbyła się msza św. w kościele parafialnym p.w. św. Marcina w Kępnie.

nich, przedstawił związki Wielkopolski z Lwowem, natomiast Kazimierz Dradrach przedstawił działalność Klubu w ciągu tych 10 lat, dziękując jednocześnie wszystkim, którzy przyczynili się do prężnego działania Klubu. Uczczono także minutą ciszy pamięć wszystkich członków, którzy umarli.

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich wręczyło dyplomy Honorowych Członków Towarzystwa ks. proboszczowi Krzysztofowi Nawrockiemu i Jadwidze Wróblewskiej, natomiast Złotymi Oznakami Towarzystwa MLiKPW uhonorowano następujących aktywnych członków: z Zarządu Klubu – Kazimierza Dradracha, Ignacego Piaseckiego, pośmiertnie Józefa Jednorogą (odebrała jego żona Helena), Helenę Urban, Annę Kubik; z komisji rewizyjnej: Tadeusza Gawła oraz Jana Rudnickiego, a



(fot. B. Mielcarek)

Wicestarosta powiatu kępińskiego Włodzimierz Mazurkiewicz, ks. Krzysztof Nawrot oraz część chóru „Jutrzenka”

także pozostałych członków Klubu: Leona Bartoszewskiego, Bronisława Borusiewicza, Zdzisława Borusiewicza, Janinę Walkowiak, Jerzego Woźniaka, Jadwigę Parzonkę oraz honorową członkinię – Urszulę Rozwadowską.

Po oficjalnych uroczystościach odbył się obiad, po zakończeniu którego wszyscy wspólnie śpiewali pieśni i piosenki. Wspólne chwile spędzili również przy podwieczorku z szampanem, kawą i ciastem. Chór „Jutrzenka” umilał wszystkim czas dając przepiękny pokaz umiejętności wokalnych.

Organizatorzy serdecznie dziękują sponsorom oraz tym, którzy się przyczynili do tego, że obchody 10-lecia istnienia Klubu MLiKPW mogły odbyć się tak hucznie i uroczysto: państwu Jeziomym, Maryniakom, H. Lubryce, C. Płazie, G. Kuli oraz wójtowi gminy Rychtal – Czesławowi Balcerzakowi. □

Zbigniew Grata

Brzeskie „Madonny Kresowe”

Trudno dzisiaj, po latach, przypomnieć sobie kiedy zrodziła się myśl, ale wiem, że za każdym razem, kiedy brałem udział w procesji na Boże Ciało, czułem jakby niedosyt z powodu tego, że procesja omijała rynek.

Wyobrażałem sobie jednak, że kiedyś musi nastąpić taka zmiana, tym bardziej, że Ratusz miejski został po latach odremontowany i stwarzał wspaniałe możliwości w tym względzie.

Kiedy w roku 1992 Oddział nasz uzyskał lokalizację na swą działalność w ratuszu, doszedłem do wniosku, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby zamysł zamienić w czyn, tym bardziej, że zamysł mój uzyskał akceptację ks. prałata Bolesława Robaczka. Pozostało tylko złożenie odpowiedniego wniosku w Zarządzie Miasta i uzyskanie akceptacji władz miejskich. Kiedy formalności zostały pokonane, uzyskanie akceptacji przez Zarząd Oddziału było już tylko kwestią formalną.

Po uzyskaniu akceptacji władz kościelnych i Zarządu Miasta, przystąpiliśmy do działania, jako że Zarząd Oddziału zaakceptował propozycję i już w roku 1993-cim procesja zmieniła „odwieczną” trasę i skierowana została na Rynek, gdzie na tle głównej bramy Ratuszowej stanął pierwszy w tym mieście „Ołtarz Kresowy”, w którym zawisł obraz „Madonny Łaskawej”.

Zmiana ta została zaakceptowana przez społeczność Brzegu i Zarząd Oddziału Brzeskiego TMLiKPW podjął de-

cyzję, że corocznie, w tym miejscu, środowisko kresowe będzie organizowało swój „Ołtarz Kresowy”, a w nim w każdym roku będzie prezentowany obraz jednej z Madonn Kresowych. Tym samym przybliżony zostanie społeczeństwu brzeskiemu kult tym Madonnom, które wraz ze wspólnotami katolickimi przywędrowały do miast, miasteczek i wiosek tak Ziemi Brzeskiej, jak i innych miast polskich. Mają One świadczyć o tym, że to my, to znaczący ci, którzy „ciemną nocą w żelaznych wagonach” wywiezieni zostali ze swoich rodzinnych stron i osiedli na tej ziemi, którą musieli zaakceptować i zasiać na niej swój pierwszy siew i następne po dzień dzisiejszy.

Od tamtej pory, w każdym następnym roku, na Boże Ciało w rynku pod ratuszem w ołtarzu kresowym królują „Madonny Kresowe”.

W latach 1993 i 1994 prezentowana była „Madonna Łaskawa” wraz z mottem „Śliczna gwiazdo miasta Lwowa”.

W roku 1995 w ołtarzu wisiała Matka Boska Latyczowska, Patronka Wołynia i Podola.

Jako, że od zarania podjęliśmy ścisłą współpracę z powstałym w Brzegu Związkiem Sybiraków, w roku 1996 w ołtarzu królowała Matka Boska Patronka Sybiraków.

W roku 1997 w ołtarzu zawisła „Podkamińska Pani” do której osobiście mam wielkie uwielbienie, gdyż jako mały chłó-

piec odbywałem piesze pielgrzymki z Brodów do Podkamina w dniu 15. sierpnia na doroczne odpusty.

W roku ubiegłym 1998, jako że obchodziliśmy „Rok Mickiewiczowski”, w ołtarzu królowała Matka Boska Ostrobramska, a mottem był wyjątek z inwokacji do „Pana Tadeusza” – „Panno Święta co ... w Ostrej świecisz Bramie”.

Jeszcze na wiele lat starczy tematów, by w każdym roku, tak jak przyjęliśmy w swoich założeniach, pokazać „Ludowi Brzeskiemu” wiele Madonn Kresowych.

W ten sposób dzieło jakiego dokonał Pan Tadeusz Kukiz pisząc o „Madonnach Kresowych” będzie żyło życiem prawdziwym i przypominało społeczeństwu skąd nasz ród.

Naturalnie, nie byłoby możliwości rozpoczęcia i kontynuowania tego dzieła, gdyby nie zaangażowanie całej grupy „zapaleńców”, wśród których chciałbym wymienić przede wszystkim ks. prałata Bolesława Robaczka, obecnego kapelana naszego Oddziału, jak również ówczesnego burmistrza Pana Piotra Pawlika nota bene członka Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddział w Brzegu.

Nie sposób nie wspomnieć o Panu Józefie Korczyńskim, który z własnego materiału i własnym sumptem zbudował składający się z elementów podest, na którym staje ołtarz i będzie stawał jeszcze wiele razy.

Kult „Madonn Kresowych” jest i powinien pozostać jako trwały element popularyzacji i przekazywania młodszym pokoleniom tych wartości, które „wysaliliśmy z piersi matczynej” i nabyliśmy w okresie kształtowania naszej osobowości. Wartości, które stanowią o kulturze narodu polskiego. □



Barbara Charewicz-Wiśnicka

W czasie wojny na Kresach, Wołyń – Lwów – Podole

Czytając w waszym piśmie różnego rodzaju wspomnienia pisane z potrzeby serca, pozwoliłam sobie i ja ocalić od zapomnienia tułaczkę mojej rodziny w czasie II wojny światowej, którą przeżyliśmy na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej.

Rozpoczęła się ona w pamiętnym wrześniu 1939 roku, kiedy to musieliśmy – po wtargnięciu Sowietów w granice naszego państwa – opuścić nasz majątek na Wołyniu. Ale nim to nastąpiło, kilka słów historii.

Otóż rodzina mojej mamy ze strony ojca – Olgi z Rybczyńskich – wywodzi się z Bereznego, Szubkowa i Pieczalówki na Wołyniu. Po upadku Powstania Styczniowego, majątki: Szubków, Karłowszczyzna oraz kilka innych, zostały skonfiskowane przez cesarskiego zaborcę. Mojego pra pradziadka Tadeusza Dzierzbickiego za udział w Powstaniu Styczniowym zesłano na Sybir do Tobolska. Po kilku latach powrócił do Polski i niebawem zmarł.

Natomiast rodzina ze strony matki, czyli mojej babki – baronówny Oktawii von Stein – rozpierchła się po świecie i słuch po niej zaginął.

Gdy wybuchła I wojna światowa moja mama miała 11 lat i była uczennicą w Instytucie Maryjnym – szkole dla dobrze urodzonych panien – w Kijowie. Tam również jej ojciec, a mój dziadek miał dobrze prosperującą kancelarię adwokacką.

Po wybuchu rewolucji w 1917 r. moja mama wraz ze swoją starszą siostrą i jej mężem wyjechali na Kubań do Krasnodaru. Tam przeżyli całą bolszewicką zawieruchę.

W roku 1921 przyjechali do kraju i zamieszkali w Łapach, gdzie siostry nabyły aptekę.



Szubków – przed Szkołą Rolniczą powitanie Prezydenta Mościckiego 1929 r.

Kiedy na początku lat trzydziestych zaistniały możliwości odzyskania choć części z utraconego majątku, natychmiast wszczęto postępowanie sądowe i już w 1933 r. rodzina – to jest trzy siostry i brat – otrzymali od Skarbu Państwa ok. 950 ha ziemi z majątków Szubków i Karłowszczyzna, do podziału na czterech spadkobierców. Natomiast dwór w Szubkowie – siedziba naszych przodków – nie stanowił obiektu roszczeń, gdyż już w 1924 r. wraz ze spornym arealem ziemi, został przekazany na Szkołę Rolniczą, która świetnie prosperowała aż do wybuchu II wojny światowej.

I tak zaczęli moi rodzice gospodarzyć na swoim. Zbudowano dom mieszkalny, budynki gospodarskie oraz inne obiekty potrzebne do prowadzenia majątku rolnego. Uprawiano ziemię, założono plantację i suszarnie chmielu i dbano o piękne lasy, których był bardzo duży obszar. Na odzyskanej ziemi powstały cztery majątki: Jastrzębce – Janiny Hryniewieckiej, Dzierzbice – Marii Matuszewskiej, Starżyn – Rybczyńskiego i Krystynówka – Olgi Charewiczowej. Wszystkie były wspaniale zagospodarowane i wzorowo prowadzone przez właścicieli. Reszta ziemi z naszych majątków rodzinnych została już w latach dwudziestych rozparcelowana i otrzymali ją osadnicy wojskowi. W ten sposób powstały osady: Hallerowo, Bojanówka oraz Krechowicka i Jazłowiecka, które dzięki ciężkiej pracy ich właścicieli pięknie się rozwijały.

Żyliśmy spokojnie i dostatnio aż do czasu wtargnięcia sowieków w nasze granice. Wtedy to musieliśmy – jak zresztą wielu ziemian – uciekać z naszego majątku nie zabierając prawie niczego. Mama była sama, ojciec na wojnie, a nas trójka dzieci – w tym najmłodszy braciszek, mający zaledwie cztery miesiące. Pilnowano zresztą aby za dużo nie ładować na bryczkę, która miała nas odwieść do Równego.

Pierwszym etapem wędrówki było właśnie Równe. Zatrzymaliśmy się u wujka, który był lekarzem i miał prywatny gabinet oraz mieszkanie w tym mieście. Niestety, został wkrótce zesłany przez sowieków do Workuty i gdy w 1942 r. był już w Karagandzie, żeby zaciągnąć się do Armii Andersa, zmarł na tyfus.

Gdy tylko ojciec nas odnalazł, wyjechaliśmy do Lwowa. Był to koniec października lub początek listopada 1939 r. Stało się tak dlatego, że bezpieczniej było przebywać jak najdalej od swojego majątku. Niebawem został on doprowadzony do ruiny jak i inne siedziby ziemiańskie na tych terenach. Wkrótce ten sam los spotkał kwitnące gospodarstwa osadników – wywiezionych do Kazachstanu w 1940 r.

We Lwowie przeżyliśmy okropny głód, zmuszający moich rodziców do wyprzedaży prawie wszystkiego co ze sobą mama zabrała. A było tego niewiele. Mieszkaliśmy u dosyć niezbytliwych ludzi w dzielnicy willowej, której nazwy niestety nie pamiętam. Myślę, że ten niechętny stosunek właścicieli do nas był spowodowany przymusowym zagęszczeniem dużego zresztą domu, zwłaszcza, że nie byliśmy jedyną rodziną dokwaterowaną. Mieszkał tam również brat mojej mamy ze swoją żoną i dzieckiem oraz być może jeszcze ktoś z uciekinierów.

Bardzo niewiele z tego okresu pozostało mi w pamięci gdyż miałam trochę ponad trzy lata. Duże wrażenie zrobiła na mnie jazda tramwajem. Pierwszy raz w życiu jechałam z mamą tym pojazdem właśnie we Lwowie. Innym wydarzeniem, które długi czas śniło mi się po nocach, było spotkanie z wilczurem, gdy zimą gonił mnie po ogrodzie wokół willi. Napadało dużo śniegu i nie mogłam szybko uciekać.

Ponieważ we Lwowie trudno było żyć, wyjechaliśmy wiosną 1940 roku do małej miejscowości Pustomyty. Warunki mieliśmy trudne, gdyż domek, w którym zamieszkaliśmy nie bardzo nadawał się do użytkowania. Dopóki było ciepło, to pół biedy, lecz gdy nastąpiły mrozy, a na ścianach pojawił się szron trzeba było szukać innego lokum. A że w pobliżu mieszkały zakonnice, więc ze względu na małe dzieci – zaproponowały nam gościnę w swoim domu. Przenieśliśmy się więc do sióstr zakonnych i do wiosny 1941 r. przebywaliśmy w przyzwoitych warunkach. Z tego pobytu pamiętam świnobicie jakie było przed Świętami Bożego Narodzenia. Siostry bowiem prowadziły małe gospodarstwo przyklasztorne i między innymi hodowały świnki. Dużą atrakcją było asystowanie przy robieniu wyrobów masarskich, bo zważywszy nasz wiek, niewielka była z nas pomoc. Ogromne

zainteresowanie wzbudziło w nas napychanie słoniną woreczka żółciowego – co jak tłumaczyły siostry – było bardzo przydatnym specyfikiem używanym do opatrywania ran by się szybciej goiły.

Wiosną wyjechaliśmy do Radwanja, gdzie ojciec dostał pracę w gorzelni. Było to jeszcze pod okupacją sowiecką. Przebywaliśmy tam do końca sierpnia 1941 r. Gdy wkroczyli Niemcy, ojciec jako rolnik z wykształcenia, dostał pracę zarządcy majątku Ujejszczyzna (własność brata poety – Kornela Ujejskiego), który był opuszczony przez prawowitych właścicieli, zmuszonych do ucieczki przed bolszewią.

Majątek był pięknie położony. Na niewielkim wzgórzu stał dwór, jeszcze niezupełnie zdewastowany. Wprowadziliśmy się zajmując kilka pokoi prawie pustych. Trochę niezbędnych mebli zrobił nam miejscowy stolarz, aby było na czym spać i jeść. Tak oto zamieszkaliśmy w tej pięknej posiadłości. Parku chyba nie było, a może był tylko bardzo przetrzebiony, tego nie pamiętam. Za to na stokach wzgórza rozciągał się piękny i rozległy sad. Na tyłach domu rósł cudowny włoski orzech, bardzo duży i rozłożysty. Gdy nastąpiły upały sypialiśmy pod nim razem z tatą – jakaż to była frajda dla dzieci. Za sadem w dole rosły bardzo wysokie topole i inne drzewa, na których wiosną wily sobie gniazda niezliczone stada gawronów. Niestety wiejskie dzieciaki wdrapywały się na te drzewa i zrzucały je na ziemię często z wyklutymi już piskletami. Zrozpaczone ptaki z głośnym krakaniem fruwały nad naszymi głowami.

Zimą porą pasjami lubiliśmy słuchać opowieści nadprzyrodzonych, które w długie wieczory snuły miejscowe kobiety pracujące w majątku, odbywało się to w bardzo dużej i ciepłej kuchni. Bajaly o duchach na cmentarzu, strzygach i różnych okropnościach. Z zabudowań pamiętam dobrze lodownię, która znajdowała się koło domu, a była to głęboka piwnica, do której zimą zwożono lód, co umożliwiało przechowywanie przez cały rok różnego rodzaju wiktuałów aby się latem nie popsęły. Trzymano tam między innymi jajka, masło, słoninę, wyroby masarskie – wędzone i solone – jeśli takowe były, bo różnie z tym bywało. Na jesieni zaś chowano solone rydze w beczulce. Często zaglądaliśmy do tej piwnicy – zwłaszcza gdy dni były gorące. Po żniwach zorganizowane były dożynki, które trochę pamiętam.

Następna przeprowadzka odbyła się w końcu września 1942 roku. Zamieszkaliśmy w Wasylkowcach w ładnej wiejskiej chacie na krótko, bo tylko około miesiąca. Stamtąd zapamiętałam piękne śpiewy w wykonaniu miejscowej ludności. Wieczorami jeszcze ciepłymi, niósł się głos daleko i pięknie po polach.

Kolejnym miejscem naszego pobytu był majątek Krogulec, niegdyś własność Horodyskich i chyba również Potockich. Tu również prawowici właściciele musieli uciekać przed bolszewikami. Ponieważ była to już jesień, a przeprowadzka odbywała się wozami, więc koła zapadały się po osie gdy jechaliśmy rozmołkłymi wiejskimi drogami.

Pałac był oczywiście ograbiony, lecz nie całkiem zdewastowany. Zamieszkaliśmy w tej części, która do tego się nadawała. Doprowadziliśmy kilka pokoi do stanu używalności, wprowadziliśmy się z całym naszym dobytkiem. Pałac usytuowany był w niezbyt jeszcze przetrzebionym, pięknym niegdyś parku. Tu też opodal domostwa znajdowała się niewielka kaplica z grobami przodków dawnych właścicieli. Ciekawostką w tym majątku były pawie, które pierwszy raz w życiu widziałam. Chodziły dumne z rozpstartymi kolorowymi ogonami jakby zdziwione, że ocalały z pogromu całej posiadłości. Latem przyjechały do nas dwie dziewczynki pochodzenia żydowskiego i przez pewien czas przebywały razem z nami. Były to córki jednego z naszych znajomych, który ukrywał się w okolicy. Ponieważ moja mama zawsze starała się pomagać ludziom więc, aby chronić młodych przed

przymusowymi robotami, zatrudniała ich w gospodarstwie, co chroniło ich przed wywózką do Niemiec.

Zimy w tych stronach były piękne, mroźne i śnieżne, a Boże Narodzenie było takie jak należy. W 1942 r. Święta pamiętam dobrze, a to z powodu ryb. W majątku tym były piękne stawy i na święta odławiano różne ich gatunki, nie tylko karpie, ale i szczupaki, liny, leszcze oraz przeróżne inne, których nazw nie pamiętam. Srebrzyły się pięknie w baliach, do których je wrzucano. A uciechy przy tym było co niemiara. Jednakże we wrześniu 1943 r. wszystko się skończyło, bo miejscowi Ukraińcy za bardzo zaczęli się nami interesować. Choć trzeba przyznać, że współżycie z miejscową ludnością było zupełnie poprawne. Zapraszano nas na wesela wiejskie oraz na inne uroczystości. Kiedyś wracaliśmy z takiego zaproszenia do sąsiedniej wioski i musieliśmy przejechać furmanką przez bród na rzece. Wesela zupełnie nie pamiętam, ale tę przeprawę bardzo dobrze. Coraz częściej nasilały się wrogie poczyny w stosunku do nas Polaków. Ostrzeżeni przez zaprzyjaźnionych ludzi co do zamiarów miejscowych band, musieliśmy z dnia na dzień uciekać do pobliskiego miasteczka Kopczyńce. Niebawem dowiedzieliśmy się, że tejże właśnie nocy został spalony pałac.

W Kopczyńcach przebywaliśmy do końca sierpnia 1944 r. Było to niewielkie kresowe miasteczko, gdzie połowa mieszkańców to byli Żydzi, których Niemcy wymordowali w miejscowym getcie. Rodzice wynajęli niewielkie mieszkanie w niedużym dwurodzinnym domku, gdzie jak się później dowiedzieliśmy, właściciele na strychu przechowywali rodzinę żydowską.

Warunki egzystencji były ciężkie. Pamiętam wyprawy mamy na wieś gdzie sprzedawała kamienie do zapalniczek oraz mydło własnej roboty, za co kupowała żywność. Na wiosnę zachorowałam na zapalenie płuc. Trwało to dosyć długo nim wreszcie mogłam wstawać i chodzić o własnych siłach. Rodzice na wydobrzezenie wysłali mnie do zaprzyjaźnionego proboszcza ks. Kazimierza Kozłowskiego do Wasylkowic. Na tej plebanii odkarmiono mnie solidnie. Do dziś pamiętam smak ogórków kiszonych ze wspaniałym lipowym miodem. Były pyszne. Z mocniejszych wrażeń – to była kraksa, która nam się przydarzyła w drodze do Wasylkowic. Na dość wysokim nasypie konie się spłoszyły i przekoziolkowały razem z bryczką w dół na łąkę. Ładowanie na całe szczęście było dość miękkie chociaż groźnie to wyglądało, ale nic nikomu się nie stało. Za to strachu było co niemiara.

Przez Kopczyńce przetaczał się front i kilka dni przesiedzieliśmy w ziemiance, wykopanej za domem. I znowu byliśmy pod panowaniem Sowietów. A w domu zagęszczenie, bo przydzielono nam na kwaterę sowieckiego lejtnanta, który u nas zamieszkał w jednym z dwóch pokoi zajmowanych przez naszą rodzinę. W czerwcu 1944 roku byliśmy u Pierwszej Komunii Świętej; po uroczystości na plebani było skromne przyjęcie dla wszystkich dzieci.

W 1944 r. pod koniec sierpnia musieliśmy uciekać z Kopyczyniec, gdyż ojciec nasz ostro zareagował na wiadomość, że wojska sowieckie nie idą na pomoc walczącej Warszawie. Naraził się okropnie Sowietom. Niebezpiecznie zrobiło się również dla naszej znajomej, majorowej, która też musiała uciekać z Kopyczyniec. Jechaliśmy więc razem dużą ciężarówką przykrytą plandeką i załadowaną rzeczami. Wiózł nas Rosjanin wojskowy – przekupiony kanistrem samogonu. Atmosfera była niesamowita. Musieliśmy zachowywać się bardzo cicho, pochowani wśród naszych rzeczy. Jechaliśmy nocą, od czasu do czasu zatrzymywano ciężarówkę do kontroli. Jednakże kierowca zupełnie dobrze radził sobie z tymi przeszkodami i bez większych perturbacji dowiózł nas do celu.

Kolejnym etapem naszej wędrówki było miasto Złoczów. Większe od Kopyczyniec, zielone i pięknie położone. Zamieszkaliśmy w małym domku niedaleko starego cmentarza – odwiedzanego przez nas często za sprawą marmurowych pomników, które chodziliśmy oglądać. W Złoczowie rozpoczęliśmy razem z siostrą naukę w szkole powszechnej, gdyż dotychczas uczyliśmy się tylko w domu. Lekcje dawała nam przyszywana wojenna ciocia (Lwowianka, zresztą od Lwowa z nami wędrująca, nazywała się Ludwika Hasiak i była pielęgniarką w Brzuchowicach) i nasza mama też nas uczyła. Kiedy poszłam do szkoły pierwszy raz, to wracając do domu po lekcjach zgubiłam się zupełnie i dopiero siostra odszukała mnie na jednej z uliczek okropnie zapłakaną.

W Złoczowie byliśmy w takim wieku kiedy choruje się na dziecięce choroby. No i cała nasza trójce przydarzyła się odra. Leżeliśmy więc w zaciemnionym pokoju i okropnie nam się nudziło, ale w nocy bywały atrakcje w postaci „prawierki dokumentów”, w których lubowali się Sowietci. Wymuszało to odpowiednie postępowanie rodziców, zapraszali więc znajomych i grano w brydża niekiedy całą noc w oczekiwaniu na nieproszonych gości.

Mieszkaliśmy w Złoczowie aż do dnia wyjazdu w czerwcu 1945 roku. W połowie miesiąca załadowaliśmy się do wagonów towarowych i po tygodniu a może i dwóch (nie pamiętam dokładnie) przybyliśmy do Rept Starych koło Tarnowskich Gór na Górnym Śląsku. Po roku przenieśliśmy się na Dolny Śląsk. Ale to już zupełnie inna historia.

Wspomnienia moje są w większości beztroskie, pomimo okropności wojny, których rodzice starali się nam jak mogli – oszczędzić. Wszystkie te przenosiny były dla rodziców bardzo uciążliwe i czasem niebezpieczne. Jednakże dzieci patrzyły na to zupełnie inaczej i każda przeprowadzka stanowiła dla nas nowe, ciekawe przeżycie i odkrywanie innych światów. My, dzieci nieświadome niczego, przeżywaliśmy ciągle jakąś przygodę.

Po wielu latach gdy piszę te wspomnienia, wyławiam z pamięci wyłącznie dobre momenty mego dzieciństwa, a smutne gdzieś ulatują i nie będę za nimi tęskniła. □

Wspomnienia z podróży łodzią z Przemyśla na Hel

(Przedruk z kwartalnika „Turysta Polski” z r. 1931 nr 2)

Dnia 19 sierpnia br. po uroczystym poświęceniu na stawach „Świtezii” we Lwowie łodzi żaglowej „Lwów”, będącej własnością Towarzystwa turystyczno-krajoznawczego, zabawiwszy się w konwojenta, znalazłem się już dnia następnego w Przemyślu.

Dotychczas 8-mio tygodniowa, nerwowa praca nad wykończeniem łodzi od świtu do zmierzchu, następnie omawianie w lokalu Towarzystwa do późnej nocy szczegółów wycieczki i teoretyczne przygotowanie się do drogi, nie pozwalały spocząć ani na chwilę.

Dopiero w dniu wyjazdu ze Lwowa, pozostawiony sam sobie, mogłem spokojnie rozmyślać nad podróżą i zdać sobie sprawę z powagi i niebezpieczeństwa całej drogi, która wydała mi się krokiem bardzo śmiałym i bardzo ryzykownym.

Nie można bowiem przedsięwzięcia takiej podróży przez ludzi, którzy niestety – z powodu braku rzeki we Lwowie – z wodą nic wspólnego nie mieli, zaliczyć do wyczynów codziennych. Tylko dzięki niezamordowanej pracy Zarządu i kilku członków Towarzystwa, oraz dzięki ich nadzwyczaj staran-



Próba na stawie „Świtez”.
1931 r.

Wracam jednak do Przemysła.

O 8-mej godz. rano przybyła reszta „załogi”. Niedługo potem puszczaaliśmy łódź na wodę Sanu. Nie zaraz jednak ruszyliśmy w drogę; wiele jeszcze godzin dnia tego zabrały nam ostatnie przygotowania; dopiero grubo po południu byliśmy gotowi.

W momencie, w którym mieliśmy ruszyć w drogę, z dała widziane czarne chmury nadciągnęły tak szybko nad miasto, że ledwie starczył czas na postawienie dachu, a już lunął rześisty deszcz, któremu towarzyszył szalony wichur oraz nieprzerwanie błyskawice, grzmoty i pioruny.

Od tej chwili wyprawie naszej towarzyszyły ciągle i nagle ulewne deszcze. Pierwszy ten chrzest nie trwał na szczęście długo, bo wkrótce wiosła uderzyły o wodę i ruszyliśmy z przystani. Pierwsze jednak godziny jazdy stanowiły egzamin cierpliwości. Co parę minut łódź grzęzła na mieliznach, z których trzeba było ją przepychać na głębsze wody. Czynność ta stała się tak dalece przykrą – a to głównie z powodu silnego oziębienia atmosfery, że nosiliśmy się nawet z myślą zaniechania dalszej drogi. Tylko gdzieś w górach spadłym deszczom, które spowodowały wyższy stan wody, zawdzięczać należy, że popłynęliśmy w dalszym ciągu z małymi tylko tego rodzaju przeszkodami.



Poświęcenie łodzi „Lwów” 1931 r. (19 VIII). Osoby rozpoznane: Ludwina Lukasowa-Nawrocka, ks. Józef (?) Kłos, Stefania Pożycka, mgr Adam Lukas i inni członkowie wyprawy, Anna i Stanisław Kopczyńscy, pp. Wład. Kopaczowie, prezydent m. Lwowa

nemu i szczegółowemu przygotowaniu do drogi, można było puścić się w taką podróż.

Łódź nasza długości 5 m, szerokości 1,40 m, mogąca pomieścić wygodnie sześć osób, była wyposażona – jednym słowem – we wszelkie przedmioty techniczne i gospodarcze, by zapewnić sobie bezpieczeństwo, łatwość i wygodę podróży, oraz pobyt i życie, względnie po prostu pomieszkanie na niej przez miesiąc.

Perłką się woda w odbiciu słońca unosiła łódź wartkim prądem. Plagę natomiast na Sanie stanowiły gdzieś tak nisko umieszczone liny promów, że ledwie łódź nasza mogła pod nimi przepłynąć, a w jednym wypadku przejazd tako omal nie skończył się tragicznie dla jednego z nas, który, usiłując przepuścić łódź pod linę, trącony przez nią, wpadł w pełnym ubraniu do głębokiej w tym miejscu rzeki. Wskutek tej sytuacji zwinawszy żagle i złożony maszty, płyniemy wyłącznie wiosłami, którymi posługiwaliśmy się aż do celu, gdyż na Wiśle znowu z powodu przeciwnych wiatrów żagli nie można było rozwijać. Tak płynąc, mijamy szereg miast i wsi, położonych nad brzegami Sanu.

W piątym dniu podróży z dała już ujrzeliśmy rozlane wody Wisły. Jakże małym był San w porównaniu z tą opiewaną rzeką! Powoli osuwamy się z widokiem tego płynącego morza i wpływamy na oznaczone drogowskazami koryto rzeki. Jazda tu daleko powolniejsza; niedługo jednak potem zawijamy do pierwszej naszej przystani na Wiśle, do Zawichostu. Tu z powodu nadzwyczajnie silnych wiatrów północno-zachodnich, dalsza droga okazała się niemożliwą. Dopiero 4-go dnia rano ruszyliśmy dalej. Cudowne krajobrazy przesuwają się przed oczyma jak w kalejdoskopie; mijamy szereg miejscowości nadbrzeżnych, wszędzie się zatrzymując i robiąc potrzebne notatki; a więc: Annapol, Józefów, Solec, z dała widoczne ruiny zamku Firlejów w Janowcu; Kazimierz założony przez Kazimierza Wielkiego z szeregiem dawnych spichlerzów nad samym brzegiem; Puławy z dawnym zamkiem ks. Czartoryskich; twierdzę Dęblin, położoną u ujścia Wieprza; Czernichów ze swymi basztami, przepiękną okolicę u stóp Góry Kalwarii, a 13-go dnia podróży wjeżdżamy pod mosty stolicy, mijając po prawym brzegu szereg luksusowych, przepięknie urządzonych zakładów kąpielowych, po lewym przystanie żeglugi „Vistula”, i zarzucamy kotwicę za mostem Kierbedzia.

W dalszą drogę ruszyliśmy po 3-dniowym pobycie w Warszawie. Rozpiąwszy żagle płyniemy pod pomyślnym wiatrem, mijamy błyskawicznie mury dawnej cytadeli warszawskiej, lecz – niestety – już w 15-tej minucie silny wiatr zachodni rzucił nas na brzeg przedmieścia Warszawy_Pelcowizny; tu znowu siedzimy beczynnie 3 dni, zamknięci w łodzi, z której nie uśmiechało się wysiadać tak z powodu nieustannego deszczu, jak też spadku

temperatury do +3° C. Korzystając z chwilowego uspokojenia wiatrów, ruszyliśmy 3-go dnia, a przebywszy 2 km, stanęliśmy na noc po lewym brzegu w Młocinach. Następne 2 dni nie różniły się niczym od poprzednich. Ponieważ ta przykra sytuacja zdawała się przeciągać w nieskończoność, postanowiliśmy zakończyć podróż i następnego dnia rozpocząć powrót do Lwowa. Jednak przepiękny wieczór zmienił plan; o świcie odbijamy od brzegu i teraz dopiero rozpoczyna się wycieczka praca wiosła; przestrzeń 110 km – Płock, 102 km – Toruń, 99 km – Grudziądz, 75 km – Tczew, 45 km – Gdańsk, to etapy jednodziobowej drogi.

Mijamy więc: u ujścia Narwi fortecę Modlin; z dała widoczny Czerwińsk, ze swym starym z XII w. na wzgórzu wzniesionym kościołem; na wysokim brzegu położony Wyszogród; imponująco wy-

glądający Płock, prastary gród ze swym bezcennym skarbem w katedrze; wznoszący się na urwistym brzegu Dobrzyń; dawną stolicę biskupstwa kujawsko-kaliskiego, Włocławek; kąpielisko Ciechocinek; starożytny gród Toruń, z resztkami murów obronnych; dalej Solec; przepływamy pod dwoma najdłuższymi w Polsce mostami w Fordonie i Grudziądzu, mijamy szereg mniejszych miejscowości i osiągamy graniczną miejscowość Tczew, położoną nad lewą odnogą Wisły – Leniwką; jeszcze kilka km, a z dała rysują się wody morza; zostawiamy je jednak po prawej stronie i wjeżdżamy w długi kanał, którym dobijamy do Gdańska. Następnego dnia rano ruszamy stąd dalej, a płynąc wśród dwóch szeregów łodzi, statków i mniejszych i większych okrętów, osiągamy morze. Jeszcze 8 godzin pracy i jesteśmy w Gdyni.

Dzień 16. września, w którym wpłynęliśmy na polskie morze, oraz zawinęli do pierwszego polskiego portu, oraz dzień 18. września, w którym barwy Lwowa wysoko na maszcie umieszczone dobiły do Helu, jako do najbardziej na północ wysuniętych krańców Państwa Polskiego, stał się naprawdę wielkim i pamiętnym nie tylko dla nas samych i Towarzystwa, lecz też i dla samego Lwowa. Nikt bowiem dotychczas – według oświadczenia tamt. miejscowej prasy – nie dotarł do Gdyni z Małopolski Wschodniej, choć bywały wycieczki z Torunia, Warszawy, nawet z Krakowa.

Toteż, gdy w dwa dni potem łódź nasza z rozpiętymi żaglami, przebywszy łącznie 1300 km, przybijała do moła w Gdyni, tłumy publiczności dowiedziawszy się z gazet o naszym przybyciu,



Gdynia. Maria Krawiecka, mgr Adam Lukas, Stefania Pożycka, Stanisław Pożycki, stoi dr Stanisław Zieliński

względnie o powrocie w tym dniu z Helu – oczekiwały nas na brzegu, zarzucając nas pytaniami, żądni szczegółów podróży, tak, że zdołaliśmy wyjść na brzeg dopiero późnym wieczorem, gdy już zgasło ostatnie światło na moło, a ciemność nocy zlała się z ciemną tonią wody, na której w dali błyszczały tylko migoczące blaski latarni morskich.

Przyjęci serdecznie przez szereg miast w drodze, a ostatnio specjalnie przez Gdynię, po raz pierwszy od chwili wyjazdu ze Lwowa, zostawiwszy łódź samą, przez nas opuszczoną, noc tę spędziliśmy, już nie kołysani wodami Sanu, Wisły, czy morza, lecz na wygodnych łózkach, by zacerpnąć sił na drogę powrotną pociągiem do Lwowa. □

Helena Leska

Wspomnienia o Franciszku Leskim (1886-1959)



Franciszek Leski był we Lwowie znaną osobą w środowisku rzemieślniczym, a także wśród członków kilku chórów męskich.

Urodził się we Lwowie w 1886 r. – rodzice też byli Lwowianinami.

Po ukończeniu nauki w szkole realnej jakiś czas pracował w Wiedniu. Później pomagał Ojcu w prowadzeniu zakładu kominiarskiego.

W roku 1920 ożenił się z Marią Wittlin, z którą miał 3 córki. Mimo absorbującej pracy zawodowej i społecznej był bardzo dobrym mężem, ojcem, wychowawcą i opiekunem swych córek. Wkrótce po zdaniu egzaminu mistrzowskiego przejął prowadzenie zakładu po Ojcu.

Od 1934-1939 był prezesem Korporacji Kominiarzy w Lwowskiej Izbie Rzemieślniczej. Dzięki Jego inicjatywnym działaniom obroniono niezależność zawodu, bowiem od 1936 r. kominiarstwo miało być zlikwidowane i całkowicie przejęte przez Związek Straży Pożarnych i Gmin Miejskich bez jakiegokolwiek odszkodowania na rzecz koncesjonariuszy.

Jesienią 1939 r. był często wzywany do NKWD i tam pod groźbami wywiezienia całej rodziny na Syberię namawiany do szpiegowania w swoim środowisku. Nigdy źle o

nikim nie świadczył, a załamany nerwowo przestał chodzić na wyznaczane spotkania.

Zawód kominiarski był zawsze odpowiedzialny i trudny, a w czasach dawniejszych tytuł mistrza uzyskiwano po długich latach nauki. Od kandydatów do zawodu wymagano religijności i uczciwości, a przy egzaminach gruntownej wiedzy zawodowej.

Cech kominiarzy tworzył zawsze bastion polskości. Wielu mistrzów, czeladników i uczniów brało udział w powstaniach narodowych. Były nawet osobne kompanie tzw. „czarnych wiarusów”. Wielu też walczyło w legionach zdobywając najwyższe odznaczenia. Powstała w 1793 Korporacja Kominiarzy dla b. Galicji i Bukowiny obrała sobie jako patrona św. Floriana, a później dodatkowo Rudolfa Magocsy kominiarza podporucznika Wojsk Powstańczych z lat 1863/4.

Od wczesnej młodości Ojciec był członkiem Towarzystwa Gimnastycznego Sokół II i jakiś czas śpiewał też w chórze tego towarzystwa, a później ponad 30 lat w chórze „Echo”.

Chór męski „Echo-Macierz” działający obok innych chórów lwowskich jak „Gędźba”, „Harfa”, „Bard” został założony przez Jana Galla w 1886 r. Jan Gall (1856-1912) znany i ceniony lwowski kompozytor był pierwszym dyrygentem chóru „Echo”, w którego repertuarze znajdowały się liczne Jego kompozycje, szczególnie słynny „Kosiarz”. Następni dyrygentami byli: J. Rangl, Czech-Zuna, Jerzy Kołaczkowski i Mackiewicz. Chór „Echo” koncertował na licznych estradach i w kościołach śpiewaczych. W 1938 r. lwowski chór „Echo” został uznany jako najlepszy chór męski w Polsce. Repertuar chóru był wszechstronny: Msze

św, pieśni religijne, z utworów żałobnych „Beati Mortui” F. Mendelssohna, „Pożegnał już ten świat” Wygryzalskiego, a bliskim na pożegnanie śpiewano kołysankę „Śpij, śpij malutki”. Wykonywano też pieśni patriotyczne i ludowe. Do często wykonywanych pieśni należały kompozycje Jana Galla jak np. „Siałem proso” Bolesława Walewskiego – szczególnie „Bajka o Myszcze”, „Ballada o Florianie Szarym”, a także pieśni o wspólnej kompozycji Moniuszki i Galla np. „Chociaż chłód”, „Pieśń Rycerska” i piękna pieśń Dunajeckiego „Co tu marzyć o kochaniu”.

W czasie wojny zdekompletowany chór śpiewał już tylko w kościołach często w połączeniu z innymi chórami. W końcu powstał „Zespół Śpiewaczy Zjednoczonych Chórów Polskich we Lwowie”.

Ostatni raz słyszałam ich śpiew w katedrze lwowskiej na Wielkanoc 1946 r.

Mój Ojciec nie opuszczał żadnej próby chóru, nawet w dzień po ślubie z moją Mamą. Bardzo przeżywał każdy występ, wiele śpiewał w domu. Stąd znam wiele pieśni.

W 1946 r. wyjechaliśmy ze Lwowa. W naszym transporcie repatriacyjnym było kilku członków chóru „Echo”. Na

peronie w Przemyślu zaśpiewali 2 pieśni: „Pod Twą Obronę Ojczy na Niebie” i „Śliczna Gwiazdo Miasta Lwowa”.

Do Gdańska przyjechało 8-miu byłych chórzystów „Echa”, byli to śp.: prof. dr Marian Osiński, Stanisław Lasota, Jan Szczurawski, Ludwik i Michał Laurosiewicz, Franciszek Leski i dr Stanisław Schmidt; ten ostatni założył w Gdyni chór „Echo” i był jego pierwszym dyrygentem. Chór ten przejął lwowski repertuar i istnieje do dziś pod nazwą „Chór Echo” imienia dr. Stanisława Schmidta.

Po przyjeździe do Gdańska z uwagi na zły stan zdrowia Ojciec zaprzestał śpiewania w chórze, za to śpiewał wiele sam lub razem z mną w domu.

Zmarł 31 lipca 1959 r. Obecni na ceremonii pogrzebowej dawni koledzy chcieli i tu zaśpiewać Mu kołysankę „Śpij, śpij Malutki” ale ze wzruszenia nie mogli wydobyć głosu, bo przyszło im żegnać drogiego przyjaciela i to nie na lwowskiej ziemi.

Za obowiązkowość i wielkie oddanie chórowi „Echo” Franciszek Leski był 2-krotnie odznaczony brązową i srebrną odznaką Polskiego Związku Zespołów Śpiewaczych. □

Koniec polskich wakacji

(Przedruk z „Przemiany na Szlaku Piastowskim” nr 31 z dn. 30.07.1999 r.)

W czwartek, 22 lipca, zakończyły się wakacje w Polsce dzieci z ukraińskich Strzelczysk. Po trzytygodniowym pobycie w Gnieźnie odjechały tego dnia do swoich domów z nadzieją, że jeszcze wrócą do kraju swych dziadków.

Strzelczyska są wsią w całości zamieszkałą przez Polaków. Od pięciu lat współpracują z nimi członkowie gnieźnieńskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Na ich zaproszenie corocznie przyjeżdża na wakacje do Polski grupa dzieci. W tym roku było ich 21. Do swych domów przyjęli je mieszkańcy Gniezna i okolicznych miejscowości. Swym małym gościom chcieli pokazać wszystko, co w naszym kraju najpiękniejsze. Dzieci były w górach i nad morzem, zwiedzały zabytki i baraszkowały nad jeziorami.

– W Polsce wszystko bardzo mi się podoba – powiedziała 15-letnia Krysia. – Tutaj jest wspaniale i bardzo chciałabym móc studiować w Polsce. – Byłem nad morzem i w Zakopanem, ale najbardziej podoba mi się na Pustachowie – ocenił inny gość.

Dzieci ukraińskiej Polonii bardzo się starają dobrze poznać język polski. Czytają prasę, oglądają polskie programy telewizyjne. Nie wszystkie mogą wyjechać latem do Gniezna. Zakwalifikowanie na takie wakacje to wielkie wyróżnienie, o które starają się przez cały rok. Pierwszeństwo w wyjazdach mają dzieci chore, potrzebujące leczenia. W tym roku skorzystał z niego Pawełek. W poznańskiej klinice poddany został operacji. Przed rokiem polscy opiekunowie przywieźli go na pierwszą operację do Poznania na koszt

Towarzystwa. – Miał ogromne szczęście, że znalazł życzliwych ludzi, bo byłby kaleką do końca – ocenił profesor zajmujący się Pawelkiem. Operację ortopedyczną w prezencie na 15. urodziny otrzymała też 15-letnia Marysia.

Przed powrotem do domów mali goście wraz z ich polskimi opiekunami spotkali się z Bogdanem Trepińskim, prezydentem Gniezna w Miejskim Ośrodku Kultury. – Przyjęcie tych dzieci to duży wysiłek i wielka odpowiedzialność – podsumował Janusz Sekulski, prezes koła. – Towarzystwo jest ambasadorem Strzelczysk w Gnieźnie – uznał prezydent miasta. – Dziękuję opiekunom tych dzieci za otwarcie przed nimi serc i domów. Cieszę się, że Gnieznu przybędą kolejni przyjaciele miasta na Ukrainie.

Wszystkie dzieci otrzymały torby upominków, ufundowanych przez prezydenta i Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej. Odjeżdżały z żalem, zwłaszcza starsze. Maluchy stęskniły się już trochę za rodzicami.

Członkowie Towarzystwa współpracują nie tylko ze Strzelczyskami. Od niedawna opiekują się również 15 rodzinami polskiego pochodzenia we Lwowie. Także tej jesieni planują wyjazd ze świątecznymi podarunkami na Ukrainę. Akcja ta kontynuowana jest od dłuższego czasu. Zbiórka prezentów trwa przez cały rok. Mieszkańcy Ukrainy najbardziej potrzebują środków czystości, lekarstw, obuwia i odzieży, pralek, lodówek oraz kuchenek gazowych. Bardzo poszukiwane są też rowery, jako nadal podstawowy tam środek lokomocji.

(łuk)

Swoim rodakom

(Przedruk z „Nasze Przemiany” nr 22 z dn. 28.05.1999 r.)

Członkowie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich gościli od 12 do 15 maja w Strzelczyskach. W trakcie pobytu wzięli udział w odpuszczeniu

Sanktuarium Matki Boskiej Fatimskiej w Krysowicach. Prezes Towarzystwa, Janusz Sekulski, przekazując ufundowany sztandar powiedział – „Dotychczas przywoziliśmy wam po-



Przekazanie sztandaru Parafii w Strzelczyskach 12.05.1999 r.

karmy życia, a dzisiaj dajemy wam pokarm ducha. Życzymy, aby Matka Boska i św. Wojciech mieli was zawsze w opiece w waszym niełatwym życiu". Uroczystości odpustowe odbyły się z udziałem bp. pomocniczego diecezji lwowskiej, Stanisława Padewskiego – kustosa Sanktuarium Matki Boskiej Fatimskiej w Rzeszowie, ks. prał. Edwina Rzeszutko i ks. kan. Stanisława Morańdy kustosa sanktuarium Matki Boskiej Szkaplerznej w Tarnowie. Proboszczowi parafii w Strzelczyskach, ks. Andrzejowi Ramsowi, Janusz Sekulski wręczył dwa złote łańcuszki z krzyżkami dla dzieci przystępujących w czerwcu do I Komunii Św.

Gnieźnianie zwiedzali Lwów, a tego dnia gościło tam dziewięciu prezydentów. Jak zwykle, po cmentarzu Orłąt Lwowskich oprowadzała zwiedzających niezastąpiona pani Józia. Na cmentarzu Łyczakowskim goście złożyli kwiaty i zapalili znicze. Z niezapomnianymi wrażeniami wrócili do Gniezna. □

LISTY DO REDAKCJI

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Oddział w Rzeszowie

Rzeszów dnia 1999.10.13

Jego Eminencja Ks. Kardynał Józef Glemp Prymas Polski Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski

W dniu 26 marca 1999 r. w Watykanie, w obecności Ojca Świętego – Jana Pawła II został uroczystie promulgowany dekret o męczeństwie za wiarę 108 sług i służebnic Bożych dotyczących naszych – polskich księży, a także osób zakonnych i świeckich.

W dniu 13 czerwca Ojciec Święty – Jan Paweł II w czasie swojej duszpasterskiej pielgrzymki do ojczyzny dokonuje beatyfikacji wspomnianych wyżej 108 męczenników.

Wyrażamy z tego powodu zadowolenie i wdzięczność Ojcu Świętemu. Dziękujemy też Jego Eminencji Prymasowi i Episkopatowi Polski za to, że przez wiele lat zbierał i gromadził dowody procesowe dot. w/w 108 osób niezbędne do beatyfikacji i przesłał je do Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych w Watykanie.

Nasze zdziwienie budzi jednak fakt, że beatyfikowanych zostało tylko 108 osób zamordowanych w czasie II wojny światowej przez Niemców na terenach ziem polskich przez nich okupowanych. A przecież nie jest tajemnicą (chyba, że ktoś usiłuje uczynić z tego tajemnicę i sprawę wyciszyć), że na Kresach Wschodnich – na ziemi należącej do 1939 r. do Polski, w latach 1939-1945 zostało zamęczonych i zamordowanych w bestialski sposób przez ukraińskie nacjona-

listy-faszystowskie bandy OUN-UPA około 160 księży, nie licząc osób zakonnych i około 500 tysięcy osób cywilnych narodowości polskiej.

Wielu z tych księży poniosło męczeńską śmierć w kościołach, bardzo często przy ołtarzu w czasie odprawiania Mszy Świętej i udzielania dzieciom sakramentu I Komunii Świętej. Księża ci poddani bestialskim torturom, znacznie cięższym niż 108 wymienionych wyżej Błogosławionych, w okropnych męczarniach oddali w ofierze za wiarę swoje życie, często, jak wyżej wspomniano, na stopniach ołtarza. Bardzo dużo księży zostało zamordowanych (wraz z wiernymi) w czasie „krwawej niedzieli” 11 lipca 1943 r. kiedy to bandy UPA dokonały napadu na 167 miejscowości na Wołyniu. Celem tego napadu było wymordowanie ludzi uczestniczących w Mszach Świętych w kościołach rzymsko-katolickich. W czasie tego napadu Ukraińcy z OUN-UPA zamordowali kilkudziesięciu księży odprawiających Msze Święte, a także kilkanaście tysięcy osób narodowości polskiej, w tym również dzieci przystępujące do Sakramentu I Komunii Świętej.

Nasuują się więc pytania:

– Dlaczego Episkopat Polski zgromadził i przesłał do Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych w Watykanie tylko

dowody procesowe niezbędne do beatyfikacji 108 osób (księży, zakonników, osób świeckich) zamordowanych podczas II wojny światowej przez Niemców, a nie podjął takich samych czynności w stosunku do około 160 księży oraz osób zakonnych, którzy w latach 1939-1945 zostali zamęczeni za wiarę przez ukraińsko-faszystowskie nacjonalistyczne bandy spod znaku OUN-UPA?

– Czy wymordowani przez bandy UPA księża i osoby zakonne służyli innemu Bogu? Czy byli to słudzy gorszego Boga i dlaczego wszyscy bez wyjątku nie zasługują na beatyfikację?

– Czy Prymas Polski i Episkopat Polski o tych księżach-męczennikach zapomnieli?

Kto, jeśli nie Prymas Polski i Episkopat, upomni się o naszych błogosławionych i świętych męczenników – księży, zakonnice i zakonników, którzy swoją Golgotę przeszli tam na Wschodzie i tam zostali bestialsko pomordowani i zamęczeni tylko dlatego, że uczyli miłości Boga, miłości bliźniego i potępiali zbrodnie. Wśród tych męczenników byli również księża wyznania greko-katolickiego, pomordowani tylko dlatego, że przeciwstawiali się zbrodniom nacjonalistów ukraińskich i zbrodnie te potępiali.

Nie popełniamy grzechu zaniechania. Oddajmy księżom-ofiarom męczeństwa za wiarę rzymsko-katolicką na

Kresach Wschodnich to co im się należy, to co uczyniono dla w/w 108 osób, a za pozostałe 500 tys. ofiar nacjonalizmu ukraińskiego i za ich morderców módlmy się wspólnie.

Archiwa kościelne są w posiadaniu szczegółowych dokumentów ze wszystkich archidiecezji i diecezji oraz dekanatów rzymsko-katolickich Kresów Wschodnich, dotyczących mordów dokonanych przez nacjonalistów ukraińskich na księżach rzymsko-katolickich i ludności polskiej tych ziem. Ukazało się też wiele opracowań książkowych – dokumentów dotyczących tej sprawy, wśród nich wiele opracowanych przez księży (również biskupów). Żyją jeszcze niektórzy świadkowie tych zbrodni. Dlatego zebranie materiałów niezbędnych do beatyfikacji księży pomordowanych przez UPA powinno być znacznie ułatwione.

Wierzmy, że Jego Eminencja Ks. Prymas podejmie odpowiednie działania, które w niedalekiej przyszłości pozwolą również na beatyfikację księży, którzy na Kresach Wschodnich ponieśli męczeńską śmierć za wiarę i wiernych swego kościoła.

Z wyrazami najgłębszego szacunku
Członkowie Rzeszowskiego Oddziału
Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich

Andrzej Konoplicki

Redakcja miesięcznika *Semper Fidelis*

Czytając 3 (50) numer SF przeczytałem również artykuł Pana Henryka Ostrowskiego pt. „Odświętna racja stanu”. Ponieważ także oglądałem program telewizyjny pt. „Bardzo przyjemne miasto” (reż. Grzegorz Linkowski) pragnę przedstawić moją jego ocenę, zdecydowanie różną od zaprezentowanej we wspomnianym artykule.

Przede wszystkim nie uważam, by każdy program o Lwowie musiał traktować – cytuję: ... o nauce polskiej rodem ze Lwowa, o sztuce polskiej rodem ze Lwowa i obecnej we Lwowie, o kilkusetletnim dziedzictwie cywilizacji europejskiej wynikającej z przynależności Lwowa do Polski...” itd.

Pozwólmy młodym twórcom, nie posiadającym lwowskich (czy też kresowych) korzeni, na prezentowanie ich spojrzenia na Miasto (zapewne innego niż nasze), oczywiście jeśli robią to uczciwie i mają do przekazania coś interesującego.

A omawiany program był, moim zdaniem, ciekawy.

Poniżej spróbuję uzasadnić tę ocenę.

Na wstępie sprostowanie. Występujący w programie młody historyk ukraiński nie wypowiedział twierdzenia, że Lwów założyli Niemcy i że niemiecki był do XVI wieku. Powiedział natomiast, że był zaskoczony odkryciem (w przeglądanych materiałach), że w XV i XVI wieku językiem codziennym patrycjatu lwowskiego był język niemiecki.

To oznacza zupełnie co innego!

Fakt ten jest w sposób oczywisty prawdziwy i dotyczy nie tylko Lwowa, ale np. również Krakowa, gdzie w tym czasie kazania w kościołach głoszone po niemiecku.

Jeśli tak było, to mamy kolejne, świetne potwierdzenie atrakcyjności kultury polskiej, która tych przedstawicieli nacji germańskiej asymilowała i, w następnych pokoleniach, przetwarzała w wartościowych Polaków.

Dlaczego stwierdzenie tego faktu uważam za istotne? Dlatego, że przytoczenie go przez historyka ukraińskiego

(młodego) dowodzi, że są szanse na skruszenie zakamieniałego ukraińskiego stereotypu mówiącego o wielowiekowej „polskiej okupacji” Lwowa, który skutecznie uniemożliwia porozumienie naszych społeczności.

Temu samemu celowi dobrze też służyły inne spostrzeżenia zawarte w omawianym programie: konstatacja powinowactwa architektonicznego Lwowa i Krakowa oraz (wyrażona przez drugiego z rozmówców) pozytywna ocena substancji urbanistycznej Lwowa przedwojennego (to co dziś nazywamy miastem przyjaznym dla mieszkańców) zestawiona z krytyczną oceną wykorzystania przestrzeni miejskiej i „rabunkowej” zabudowy w latach władzy sowieckiej i dominacji Rosjan.

Oczywiście, te wypowiedzi są jeszcze nielicznymi „kroplami, które zaczynają drażyć skalę”, ale dobrze, że padają i należy się cieszyć, że pojawiają się w środkach przekazu. Przecież programy migawkowe, przyczynkarskie mogą być równie wartościowe jak poważne programy monograficzne.

A, że te krople nie są całkowicie odosobnione dowodzą choćby dwa przykłady całkiem świeżej daty:

1. W numerze 3 (50) SF Pan Prezes Andrzej Kaminski (str. 1) przytacza wypowiedź młodego Ukraińca – proszę przeczytać.

2. W numerze 3 (19) kwartalnika Cracovia-Leopolis, na str. 47, rubryka „Wydarzenia”, przytacza wypowiedź ukraińskiego historyka i publicysty – proszę również przeczytać.

Te wypowiedzi oraz niektóre myśli zawarte w programie „Bardzo przyjemne miasto” zaczynają już się układać w zaczątek mozaiki, która kiedyś, być może, wypełni się kolejnymi elementami. Czas wypełnienia jest zapewne jeszcze odległy, ale gdzieś przecież musi być początek tych działań. Może jest to właśnie to?

A co do wizualnego odbioru omawianego programu, to proponuję Panu H. Ostrowskiemu by się przespacerował ulicami miasta, w którym obecnie mieszka i zwrócił uwagę na stan jezdni, chodników i domów, a następnie, przy najbliższej bytności we Lwowie, sine ira et studio, ocenił te same elementy tam. Bywam we Lwowie co roku i uważam,

że w tym zestawieniu wcale nie jest on w gorszej sytuacji, a ostatnio wyraźnie pnie się w górę.

Z tezami dotyczącymi Kresów, zawartymi w dalszej części artykułu „Odświętna racja stanu” zgadzam się i podtrzymuję stanowisko Autora.

Z poważaniem

Zbigniew Kratochwil

Zapomniana lwowska piosenka

Znana jest ogólnie piosenka: „Wien, Wien, nur du alein”. Okazuje się, że autorami tej piosenki są lwowiaczy Rudolf Sieczynski (muzyka) i Henryk Zbierzchowski (słowa).

Powyższą informację zaczerpnąłem z książki M. Czumy i L. Mazana pt.: „Austriackie gadanie”. Treść jej nie miała nic wspólnego z Wiedniem i była następująca:

*Gdy wiosny jest czas
Wśród parków swych kras
W girlandach z czeremchy i bzów
Wśród dolin i wzgórz
Spowity w mgieł róż
Jak wizja wylania się Lwów
Lwów, Lwów jak cudnie brzmi
I jak nam tętni to słowo we krwi
Ten tylko poznał wartość twą
Kto cię raz żegnał rozstania łzą
O drogie słodkie miasto me
Tu żyć i umrzeć chcę*

Autorzy książki podają też inną wersję poświęconą i śpiewaną po I wojnie światowej lwowskim Orłętom.

Ciekawe, że powyższa piosenka nie została wprowadzona do repertuaru różnych zespołów odtwarzających lwowskie pieśni. Najwyższy już czas o tym im przypomnieć, aby wstawili ją do swego repertuaru. Warto przypomnieć, że nawet sławna trójka tenorów z Pavarottim na czele śpiewała ją, ale oczywiście w wersji wiedeńskiej. Można o tym przypomnieć muzykom nie tylko polskim ale i zagranicznym, a zwłaszcza austriackim.

Sądzę, że Państwo postarają się, aby przypomnieć i wprowadzić do repertuaru różnych zespołów tę czysto lwowską, a więc i polską piosenkę. Być może, że ta sprawa jest już znana, ale o ile nie, cieszyłbym się bardzo, gdybym się przyczynił za panami Czumą i Mazanem do jej reanimacji.

W wydawnictwie „Lwowska Piosenka” autorstwa J. Habeli i Z. Kurzowej nie ma ww. piosenki.

Oczywiście podanie do wiadomości tej informacji byłoby dalszym krokiem w przypomnieniu, że Lwów i w tej dziedzinie wszedł do repertuaru pieśni o przekroju światowym.

Katowice 18.10.1999

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Zarząd Główny

W czasie pobytu we Lwowie w dniach 8-10.10 br. odwiedziliśmy nekropolię Żołnierzy Polskich na Cmentarzu Janowskim. Groby ulegają dewastacji, tablice na krzyżach żołnierzy oraz na głównym krzyżu cmentarnym zostały zerwane. Cały teren nekropolii pokryty jest zaroślami, krzyże pochylone, w najbliższym czasie będą zupełnie niewidoczne. Miejsce wiecznego spoczynku naszych żołnierzy, którzy bronili Polskę przed nawałą bolszewicką będzie całkowicie zapomniane. Wokół zlokalizowane są grobowce prywatne, które uniemożliwiają dojście do cmentarza wojkowego.

Teren poniżej nekropolii został ogrodzony kratami żelaznymi i zagospodarowany olbrzymią ilością krzyży betonowych z tabliczkami zawierającymi nazwiska ukraińskich żołnierzy UGA, z datami 1918-1920 r. Działalność powyższa świadczy o nieprzestrzeganiu międzynarodowej konwencji o zachowaniu i zabezpieczeniu cmentarzy wojkowych, podpisanej przez Polskę i Ukrainę.

Zwracamy się z prośbą o interwencję i aktywność w celu niedopuszczenia do zagłady tego miejsca pamięci narodowej.

Z poważaniem

Prezes Zarządu Oddziału TMLiKPW w Katowicach
mgr inż. arch. Lesław Hawling



Fot. M. R.

Tablica pamiątkowa z cmentarza Janowskiego we Lwowie – pola obrońców Lwowa 1918-1920. 753 groby zniszczone! Odrestaurowano zachowane częściowo około 30 grobów

Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa

Pan
ANDRZEJ KAMINSKI
Prezes Zarządu Głównego
Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich
Wrocław

Szanowny Panie Prezesie,

W odpowiedzi na Pana pismo nr TML/478/99 z dnia 18 listopada br. uprzejmie informuję, że sprawa uporządkowania i rekonstrukcji kwatery żołnierzy WP z lat 1918-20 na Cmentarzu Janowskim we Lwowie została włączona do Protokołu realizacji umowy między Rządem RP a Rządem Ukrainy o ochronie miejsc pamięci i spoczynku ofiar wojny i represji politycznych z 21 marca 1994 r. podpisanego 13 marca 1999 r. Zapis w protokole obejmuje renowację kwatery, remont krzyża centralnego i umieszczenie tablicy informacyjnej w dwóch językach.

W roku przyszłym, w miarę możliwości finansowych i organizacyjnych Rady, zajmiemy się tą kwaterą, traktując jako program minimum przeprowadzenie prac porządkowych i zabezpieczenie przed dalszą dewastacją.

Z poważaniem
Sekretarz Generalny
Andrzej Przewoźnik

Zdjęcie: Cmentarz Janowski we Lwowie. Pole 753 Obrońców Lwowa lat 1918-1920. Do dziś zachowało się 30 grobów, które troskliwie zrekonstruowano. Fot. M. R.



Izabela, Mieczysław
i Roman de Teisseyre

Pan
dr Andrzej Kaminski
Prezes Tow. Miłośników Lwowa
i Kresów Poł.-Wschodnich
ZGTML i KPW we Wrocławiu
ul. Rуска 32/33

Wypełniając wolę Lwowianina śp. dr. Ludwika Grajewskiego, historyka sztuki, przekazujemy Jego honoraria autorskie na odbudowę CMENARZA OBROŃCÓW LWO-

WA. Ofiarodawca był przyjacielem naszego ojca Kazimierza jednego z Orłąt Lwowskich.

Kwotę 8500 złotych wpłaciliśmy na konto ZGTML i KPW w PKO BP IV O Wrocław nr 10205255-99-192-270-1-111 w dniu dziewiątego listopada 1999 roku.

Uprzejmie prosimy o potwierdzenie odbioru (oprócz wydrukowania potwierdzenia w czasopiśmie „SEMPER FIDELIS”), a także o ew. informacje w przyszłości, jak została w/w kwota zagospodarowana.

Z upoważnienia
Mieczysław W. TEISSEYRE
53-122 Wrocław, Al. Jaworowa 27A
tel. (071) 337-21-69
Wrocław, 10.11.1999 r.

Przemyśl-Twardogóra-Goszcz

18 listopada 1999 r.

Szanowny Pan
Andrzej Kaminski
Prezes Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich
we Wrocławiu

Szanowny Panie Andrzeju, Prezesie,

Proszę przyjąć najserdeczniejsze słowa podziękowań od naszego całego zespołu organizacyjnego uroczystości Rodzin Kresowych, które miały miejsce w Twardogórze i Goszczu w dniach 23/24 października br. – za Waszą obecność i uświetnienie tychże uroczystości, nadając im właściwej wagi i godności także w oczach tutejszych mieszkańców, wzbudzając ich świadomość do refleksji, że trzeba sobie wysoce cenić rodzime korzenie-ojcowiznę, bronić je i domagać

się należy satysfakcji: materialnej – również, ale przede wszystkim – prawdy!, i jeszcze raz prawdy; bowiem ta tylko będzie właściwym fundamentem pojednania narodów: polskiego i ukraińskiego (a zawsze idzie tu o dokonane morderstwa przez OUN-UPA i ugrupowania im towarzyszące, do których nie chcą się przyznać!).

Na ręce Pana, Panie Prezesie – składamy również gorące podziękowania WSZYSTKIM biorącym udział, z różnych kręgów: sekretariatu (Paniom Danutom!), redakcji „Semper Fidelis” i działających w Towarzystwie. Szczęść Boże!

Przyznam się, że noszę w sercu radość i satysfakcję doprowadzenia tych naszych zamierzeń do celu; jak zawsze trudności nie brakowało, tym bardziej, że w znacznym stopniu „kierowałem” na odległość – z Przemyśla: zasadniczo za pomocą wysyłanych listów i telefonicznie. Bogu dzięki i za to.

Z wyrazami szacunku i pamięci,
w imieniu zespołu organizacyjnego
ks. Tadeusz Pater

TMLiKPW Oddział w Gnieźnie

Gniezno, dnia 26.10.1999 r.

Komenda Hufca ZHP w Gnieźnie

Uprzejmie informuję, że Rada Miasta Gniezna uchwałą z dnia 01.10.1999 r. nadała terenowi wokół Pomnika Poległych i Pomordowanych Harcerzy imię Skweru Orłąt Lwowskich. Z wnioskiem o nadanie temu terenowi imienia Orłąt Lwowskich wystąpiły jednocze-

śnie Towarzystwo Miłośników Lwowa Oddział w Gnieźnie i Komenda Hufca ZHP w Gnieźnie.

Z chwilą postawienia tablic z oznaczeniem Skweru przewidujemy uroczystość patriotyczną z udziałem harcerzy i młodzieży szkolnej.

Termin uroczystości uzależniony jest od postawienia tablic, które wykonane zostaną na koszt Urzędu Miejskiego.

Z poważaniem i harcerskim pozdrowieniem

Czuwaj!
Prezes Oddziału mgr Janusz Sekulski

Lwowska ulica w okresie międzywojennym



1. Lwów. Franciszka i Franciszek Tischlerowie



2. Lwów. Na pierwszym planie w środku Stanisława Kindinger, z tyłu Michał Kindinger i Zofia Lech



3. Lwów. Od lewej F. F. Tischlerowie i St. Kindinger



4. Lwów. Tadeusz Sury (1910-1978) adiutant Wł. Białoszewicza, dz.-Wschodniej AK ps. „Drań”



5. Lwów. Od lewej Michalina Kindinger, Halka Kocur zamordowana przez Ukraińców w 1946 r. k. Lutowisk, Polany

Zbigniew Umański Kronika Kresowa

Pamięci poległych i zmarłych

1 listopada, jak co roku, Polacy zamieszkali we Lwowie przybyli na Cmentarz Orłąt, aby oddać hołd pamięci poległym w obronie tego miasta, zapalić znicze na ich mogiłach, ponownie odkrytych. W całkowicie już odbudowanej, zewnątrz i wewnątrz, kaplicy Orłąt (ostatnio ułożono w niej posadzkę z białoczarnych, jak kiedyś, płytek marmurowych – dar prezydenta Zamościa) ks. Arcybiskup Marian Jaworski, Metropolita Lwowa odprawił Mszę św. w asyście kapłanów. Śpiewał chór Archikatedry Lwowskiej. Metropolita, konsulowie RP M. Uziembło i W. Dębicki oraz prezes Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi, E. Cydzik złożyli kwiaty na Grobie Nieznanego Żołnierza. Modlono się o spokój dusz poległych obrońców i ofiar wojny, oraz aby Cmentarz Orłąt stał się znakiem pojednania polsko-ukraińskiego. Następnie procesja udała się na Cmentarz Łyczakowski, odwiedziła także Cmentarz Janowski. Złożono kwiaty, zapalono znicze, modlono się za spoczywających tu rodaków.

W Dniu Święta Zmarłych we wszystkich większych miastach w kraju, członkowie TMLiKPW i Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” kwesowali przed miejscowymi nekropoliami na odbudowę Cmentarza Orłąt i Łyczakowskiego we Lwowie. Najwięcej datków zebrano w Warszawie, Krakowie i Wrocławiu. Przekazano je na konto Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, które finansuje odbudowę lwowskiego cmentarza jak i innych. Koszt prac jest ogromny.

Spotkanie prezesów

6 listopada Prezes Zarządu Głównego TMLiKPW, dr A. Kaminski, podczas pobytu we Lwowie spotkał się z Prezesem Zarządu Głównego Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, Emilem Legowiczem oraz prezesami terenowych oddziałów tego towarzystwa. W spotkaniu wzięli udział Konsul Generalny RP we Lwowie, Piotr Konowrocki oraz przebywający we Lwowie Sekretarz Generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Andrzej Przewoźnik. Zapoznano się z problemami społeczności polskiej na Ukrainie. Prezes Kaminski obiecał pomoc finansową oddziałom terenowym TKPZL na organizację imprez z okazji Św. Mikołaja.

Listopadowe obchody

W Święto Niepodległości w Lubaniu odsłonięto Pomnik Orłąt Lwowskich (piszemy o tym szerzej). We Wrocławiu Świątowi Związek Żołnierzy Armii Krajowej Środowisko Obszaru III Lwów zorganizował uroczystą Mszę św. w miejscowym Kościele Garnizonowym, w której uczestniczyły delegacje organizacji kombatanckich i kresowych z pocztami sztandarowymi. Po mszy odsłonięto tablicę pamiątkową poświęconą żołnierzom AK Obszaru III Lwów. Uroczystościom towarzyszyła Kompania Honorowa WP i orkiestra wojskowa.

22 listopada wrocławski Klub TMLiKPW „Orłąt Lwowskich” zorganizował – z okazji 81 rocznicy Obrony Lwowa – patriotyczną manifestację pod Pomnikiem Orłąt Lwowskich na miejscowym cmentarzu na Sepolnie. O obrońcach Lwowa mówiła dr Danuta Nespia. Pod pomnikiem złożono kwiaty, zapalono znicze.

W rocznicę Obrony Lwowa wrocławska Szkoła Podstawowa nr 91 (850 uczniów), która w ub. roku przybrała nazwę „Orłąt Lwowskich”, otrzymała piękny sztandar ufundowany przez społeczny komitet, w skład którego wchodziło TMLiKPW – Zarząd Główny, Zarząd Oddziału Wrocławskiego, wrocławskie Kluby „Leopolis” i „Orłąt Lwowskich”, Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” i inni fundatorzy.

Poświęcenia sztandaru dokonał JE ks. Henryk kardynał Gulbinowicz, Metropolita Wrocławski podczas mszy w kościele św. Rodziny. Matką chrzestną była prezes Klubu „Leopolis” inż. Janina Węglińska-Flis. Zarówno akt poświęcenia jak i przekazania sztandaru szkole nr 91 i ślubowanie uczniów miało uroczysty i podniosły charakter oraz oprawę plastyczną. Przygotowano bogaty program artystyczny. Uczniowie – od klas najmłodszych do najstarszych – recytowali wiersze poetów lwowskich o mieście „Semper Fidelis”, grali i śpiewali – chór i soliści – pieśni patriotyczne i popularne piosenki lwowskie. Zebrali gorące brawa licznie zaproszonych gości i młodzieży. Słowa uznania dla pań nauczycielek, które pomogły młodzieży przygotować ten program i występ artystyczny. Ponadto urządzono wystawę grafik, zdjęć, opracowań o Lwowie, jego zabytkach oraz oryginalnych pamiątek przywiezionych przez ekspatriantów ze Lwowa. Wśród eksponatów było wiele samodzielnych prac uczniów o zabytkach lwowskich we Wrocławiu – plon uczestnictwa w rajdach młodzieżowych „Śladami zabytków Lwowa we Wrocławiu”, organizowanych co roku przez Oddział Wrocławski TMLiKPW. Młodzież SP nr 91 przyjęła imię Orłąt Lwowskich z pełną świadomością i się tym szczyci. Piękny, z lwowskimi akcentami, sztandar trafił w godne ręce. Wierzymy, że będą kontynuować działalność rozpoczętą przez TMLiKPW.

W uroczystości przekazania sztandaru uczestniczyli przedstawiciele miasta, władz oświatowych, „Solidarności”, wrocławskich uczelni, także wojskowej, szkół, w tym imienniczki „91” z Wołowa, kapłani oraz prezesi TMLiKPW – Zarządu Głównego, zarządów oddziałów wrocławskiego i opolskiego, Fundacji Kresowej „SF”, klubów „Leopolis”, „Orłąt Lwowskich” i in.

Dni Lwowa i Kresów w Warszawie

Odbyły się tradycyjnie w dniach 19-22 listopada. Zainaugurowało je uroczystość odsłonięcia w XVI Liceum dla Dorosłych – w I rocznicę nadania jej imienia „Orłąt Lwowskich” – urny (wmurowanej w ścianę szkoły) z ziemią z grobów Orłąt Lwowskich oraz tablicy pamiątkowej. Aktu odsłonięcia dokonał prezes lwowskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi, Eugeniusz Cydzik, który wręczył tę ziemię w ub. roku uczniom „XVI”, gdy odwiedzili Cmentarz Orłąt. Urnę poświęcił ks. Janusz Popławski, prezes Oddziału Stołecznego TMLiKPW.

W następnych Dniach odbyły się: w Muzeum Niepodległości promocja książki Oktawii Grząskiej pt. „Byłam więźniarką NKWD”, a w Muzeum Literatury – sympozjum naukowe, podczas którego prof. dr hab. Marek Drozdowski wygłosił referat pt. „Agresja na Lwów w 1939 r.”, a pisarz Andrzej Kunert mówił o poetach w wojskowych mundurach. Sympozjum zakończył występ zespołu artystycznego szkoły nr 328 im. Orłąt Lwowskich. „328” urządziła – w czasie stołecznych Dni Lwowa i Kresów – Święto Szkoły, z Mszą św., występami artystycznymi, na które zaprosiła lwowiaków przybyłych do Warszawy na Dni ze Lwowa i zagranicy.

Największym wydarzeniem stołecznych Dni Lwowa i Kresów był, jak zwykle dotąd, Koncert Galowy, we wspaniałej sce-

nerii Galerii Porczyńskich, wzbogaconej herbami Lwowa i miast kresowych. Licznie przybyłych warszawiaków serdecznie powitał prezes Oddziału Stołecznego TMLiKPW, ks. Janusz Popławski, a szczególnie serdecznie żonę gen. Abrahama – panią Martę i syna gen. Boruty-Spiechowicza – pana Romana, Janinę Zamojską ze Lwowa i „strażnika mogił Orląt Lwowskich” – jak go nazwał – E. Cydzika oraz dyrektorki polskich szkół we Lwowie nr 10 i 24, panie Markunię i Kowalską. I oddał głos chórowi „Warszawianka”, który przepięknie zaśpiewał „Lyczakowską Madonnę” (dyrygent M. Witkowski). Potem popłynęły „Strofy Lwowskie” M. Hemara i wiersze K. Makuszyńskiego o Lwowie (recytował R. Bacciarelli), mazurki i walce Fr. Chopina (grała I. Noskowska) oraz pieśni St. Niewiadomskiego i J. Galla w wykonaniu Andrzeja Hiolskiego, Aleksandra Bubicza i Jerzego Antepowicza.

W tym znakomitym gronie wykonawców lwowskiego repertuaru nie mogło, oczywiście, zabraknąć Barbary Dunin i Zbigniewa Kurtycza z nieodłączną „gitarą kupioną we Lwowie” (11 listopada p. Zbigniew został odznaczony Krzyżem Kawalerskim OOP – serdecznie gratulujemy!). Zaśpiewali, jak zwykle z lwowskim wdziękiem i swobodą, najpopularniejsze ongiś piosenki w mieście ciotki Bandziuchowej, panny Franciszki, lwowskich weteranów i batiarów. Na bis p. Zbigniew zaśpiewał tęskną piosenkę o Lwowie, skomponowaną razem z Refrenem-Konarskim podczas wojny na pustyni libijskiej. Młodsze pokolenie wykonawców reprezentowała aktorka filmowa i piosenkarka Irena Karel, która przypominała satyryczną piosenkę M. Hemara „Moja babunia”, a piosenki młodzieży o Lwowie wykonali młodzi – Amira Skomorowska i Bartek Sznabel.

Wspaniały Koncert Galowy (wiadomo, Stolica!) zakończył chór wiązanką pieśni, m.in. „Hymnem na cześć Lwowa” (muz. W. Walewskiego, słowa H. Zbierzchowskiego) i „Rotą”, którą śpiewaliśmy wszyscy razem, ze wzruszeniem. Duże brawa dla wykonawców, J. Antepowicza za ułożenie programu i organizatorów (R. Orzechowskiego). Po koncercie gości podejmowano hortexowymi sokami „Hortexu” i słodkościami od Bliklego.

Kolejne Dni Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. w Warszawie zakończyły się tradycyjnie 22 listopada złożeniem wieńców na grobie Nieznanego – a tak nam bliskiego, bo ze Lwowa – Żołnierza przez delegację Oddziału Stołecznego i Zarządu Głównego TMLiKPW, organizacje kombatanckie, kresowe oraz warszawskie szkoły noszące imię Orląt Lwowskich i Aleksandra Fredry. Towarzyszyła im duża grupa rodaków przybyłych ze Lwowa. Po tej uroczystości, w kościele św. Krzyża, ks. Janusz Popławski odprawił Mszę św. za Orlęta i wygłosił homilię. Obecne były poczty sztandarowe organizacji kombatanckich i kresowych, śpiewał chór „Warszawianka”.

Do spotkania, na równi udanych Dniach, za rok!

Na Mikołaja i Gwiazdkę

Jak co roku, kluby, oddziały TMLiKPW w całym kraju oraz Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” w okresie przedświątecznym organizują pomoc dla rodaków na Kresach znajdujących się w trudnej sytuacji życiowej. Indywidualnie i zbiorowo, z własnych składek członkowskich i datków lub środków uzyskanych od fundatorów. Niektórzy już zdążyli posłać. I tak Oddział TMLiKPW w Katowicach przekazał do Lwowa 60 paczek (każda ok. 5 kg) z żywnością (konserwy, cukier, kasze, makarony, kawa, herbata) i 20 paczek z odzieżą na Gwiazdkę i 20 paczek z książkami dla uczniów najmłodszych klas polskich szkół – na Mikołaja. Prezes Zarządu Głównego TMLiKPW A. Kaminski przekazał już też bawiącemu w tych dniach we Wrocławiu prezesowi TKPZL Emilowi Legowiczowi, obiecaną wcześniej, pomoc

finansową TMLiKPW dla 17 oddziałów terenowych TKPZL – na zorganizowanie Mikołaja.

Z pomocą charytatywną pojedzie do Lwowa i Stanisławowa, jeszcze przed świętami, ekipa Fundacji Kresowej „SF”. Obecnie zbiera środki od sponsorów i indywidualnych ofiarodawców na ten cel. Na apel Fundacji odpowiedział m.in. Teatr Współczesny we Wrocławiu – przekażą na pomoc rodakom na Kresach połowę dochodów za bilety z dwóch przedstawień teatralnych sztuki J. Babla „Zmierch”, które zagrają 16 i 17 grudnia. Zgłosili się też indywidualni sponsorzy. Do akcji włączyła się wrocławska telewizja osiedlowa „Vizja”. Przypominamy konto na które nadal można wpłacać datki: PKO-BP IV O/Wrocław nr 10205255-10012-270-1-111 z dopiskiem „Świąteczna pomoc”. Cenna jest każda złotówka, którą będziemy mogli zamienić na pomoc.

Otrzymaliśmy list z polskiej szkoły nr 24 we Lwowie. Dyrektorka p. Z. Kowalska dziękuje księgarni Klubu „Świat książki” we Wrocławiu za książki przesłane uczniom tej szkoły. Już dotarły. W następnym numerze „SF” zamieścimy listę ofiarodawców.

Upamiętnili przesiedlenie



Twardogóra. Poczta sztandarowa Z. G. TMLiKPW

Twardogóra i Goszcz oraz ich okolice w woj. dolnośląskim są zamieszkałe przez rodziny przesiedlone po wojnie z Kresów Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej. Minęło już pół wieku od osiedlenia się ich na ziemiach zachodnich Polski. Postanowili to utrwalić w pamięci potomnych, pokazać gdzie są ich korzenie, ziemia ich ojców. I dać temu wyraz w postaci tablic umieszczonych w miejscowych kościołach. Zrealizowania tego pomysłu podjął się ksiądz Tadeusz Pater – kresowianin – wraz z zainteresowanymi mieszkańcami obu miejscowości. I dopięli celu.



Kościół w Twardogórze. Poczta Sztandarowa AK III Obszar Lwów, z prawej ZG TMLiKPW Wrocław

24 października br. w Twardogórze i następnego dnia w Goszczy, po uroczystych mszach odsłonięto w kościołach tablice z identycznymi napisami: „Ku upamiętnieniu dwutysięcznej rocznicy chrześcijaństwa, dwudziestolecia pontyfikatu Jana Pawła II papieża Polaka, pięćdziesiątej piątej rocznicy pobytu na ziemiach zachodnich z Kresów Wschodnich polskich rodzin usuniętych siłą przez sowietów, z ziemi ojców z miejscowości: Buczały, Chłopy, Komarno, Malinów, Rumno, Tuligłowy, Jasionów, Kochawina, Tarnopol, wierni Bogu i Ojczyźnie Kresowianie”.

W odsłonięciu pamiątkowych tablic uczestniczyli zaproszeni przez organizatorów uroczystości Prezes ZG TMLiKPW A. Kaminski i viceprezes E. Teśluk oraz dyrektor Fundacji Kresowej „Semper Fidelis”, Danuta Tabińska-Juhasz.

Kto pójdzie w ślady kresowiaków z Twardogóry i Goszcza?

Spotkanie historyków

Stosunki polsko-ukraińskie w latach II wojny światowej były tematem szóstego już spotkania historyków z Polski i Ukrainy, tym razem w Warszawie w Wojskowym Instytucie Historycznym. „Było to kolejne spotkanie na temat drażliwych problemów i krwawych kart w naszej wspólnej historii. Sukcesem jest, że rozmawiamy na te trudne tematy” – powiedział przewodniczący obrad prof. Andrzej Ajnenkiel z WIH. Przypomniał, że poprzednio omawiano okres międzywojenny. Teraz głównym tematem były tragiczne losy polskiej społeczności na południowo-wschodnich kresach II RP w latach II wojny światowej, w tym masowe mordy na Wołyniu.

„Według naszych szacunków z rąk Ukraińców zginęło ok. 100 tys. Polaków. Ukraińcy obliczają swoje straty na kilkadziesiąt tysięcy. Ze strony ukraińskiej podejmowane są próby wykazania, że mordowanie ludności polskiej nie było zorganizowaną akcją. My natomiast widzimy w tym typowe czystki etniczne” – powiedział prof. Ajnenkiel. Ci, którzy ocaleli z pogromów na Kresach – świadkowie rzezi – to potwierdzają. Czy przekonamy o tym kiedyś ukraińskich historyków?

Światowe Forum Mediów Polonijnych

Siódmy raz Tarnów był w dniach 15-20 września miejscem Światowego Forum Mediów Polonijnych, a jego organizatorem – stowarzyszenie Małopolskie Forum Współpracy z Polonią. Kolejne spotkanie dziennikarzy polonijnych nawiązywało do prowadzonej od początku Forum wielkiej debaty na temat roli mediów polonijnych w utrzymaniu więzi pomiędzy środowiskami Polonii, a krajem oraz promocji Polski w świecie. Temu celowi służyły też m.in. wizyty dziennikarzy w Krakowie, Wieliczce i Warszawie, spotkania z politykami i działaczami społecznymi, prominentnymi osobistościami. W trakcie Forum prowadzono warsztaty dziennikarskie oraz wymianę doświadczeń i spotkania z dziennikarzami pracującymi w kraju.

Jednak nie antyukraiński...

Zanim film J. Hoffmana „Ogniem i mieczem” wszedł na ekrany ukraińskich kin, różne czasopisma, zwłaszcza ukazujące się na Ukrainie zachodniej pisały o nim, że antyukraiński, fałszuje historię pokazując ją z pozycji „polskich panów” itp. brednie. Tymczasem...

Po obejrzeniu filmu Hoffmana (na premierę którego w Kijowie zabrakło biletów) dziennikarz „Literaturej Ukrainy” napisał: „Najważniejsze, czego obawiałem się, nie było: nie odczułem ani cienia lekceważenia godności Ukraińca. Wszystko wyważone – i rycerskie zwycięstwa i zawziętość, i miłość, i krew, i życie. Takie były czasy, taka była nasza okrutna historia, że na długie stulecia doprowadziła do konfliktów dwa bardzo bliskie

sobie słowiańskie narody. (...) To dobry film i na czasie.” A dziennikarz „faktów” tak kończy swoją recenzję: „... Jerzemu Hoffmanowi należą się ogromne podziękowania. Zrobił film nie tylko z myślą o Polsce i Polakach, ale o Ukrainie i dla Ukraińców.”

Cieszy, że inni ukraińscy dziennikarze potrafiliby obiektywnie docenić dzieło polskiego reżysera. Może jednak „Ogniem i mieczem” przyczyni się, w jakimś stopniu, do zbliżenia polsko-ukraińskiego poprzez nakłonienie widza do bezstronnej oceny dramatycznych faktów historycznych w stosunkach między naszymi narodami w przeszłości? Byłoby to największe osiągnięcie – tego filmu i jego twórcy.

„Credo” we Lwowie

Wielkim wydarzeniem artystycznym we Lwowie stało się wykonanie „Creda” Krzysztofa Pendereckiego 12 października w Operze Lwowskiej. Grała Penderecki Festiwal Orchestra, którą poprowadził sam kompozytor, a śpiewały wspaniałe głosy: Bożena Harasimowicz-Hass (sopran), Agnieszka Rehlis (mezzosopran), Romuald Tarasiewicz (bas), Adam Zdunikowski (tenor) oraz chór chłopięcy i męski „Dudaryk” i Narodowy Chór Ukrainy „Dumka”. Koncert prowadzili: prezes Fundacji „Pro Musica vita” Roman Rewakowicz oraz reżyser Teatru Polskiego we Lwowie Zbigniew Chrzanowski. Przemówienie wygłosił przed koncertem ambasador RP na Ukrainie Jerzy Bahr.

W koncertowej gali uczestniczyły Jolanta Kwaśniewska (prezydent Kwaśniewski objął honorowy patronat nad nim) oraz małżonka K. Pendereckiego. Obie panie gorąco powitano w Operze Lwowskiej. Wykonanie „Creda” przyjęto entuzjastycznie.

Jest już ołtarz główny

Kościół polski pw. Chrystusa Króla w Stanisławowie, czynny od dziesięciu lat, ma wreszcie ołtarz główny. Zaprojektował go architekt kijowski (nazwiska nie znamy), a wykonali go majstrowie stolarscy z Sambora, panowie Michał Burak i Antoni Andyszczak. Pracowali przy nim od lutego br. Malowanie ołtarza i złocenie go płatkami złota (ofiarował je Józef Steciński z Jarosławia) wykonała ekipa fachowców ze Lwowa pod kierownictwem p. Michała Dekalskiego. Zbudowano także tzw. wzniesienie ołtarza, które sfinansował były stanisławowianin oraz parafianie. „Największe jednak zasługi w urządzeniu i wyposażeniu ich kościoła – twierdzą parafianie – ma jego proboszcz.”

21 listopada odbyło się uroczyste poświęcenie nowego ołtarza głównego w stanisławowskim kościele. Po zbudowaniu Domu Parafialnego kolejne osiągnięcie ks. Kazimierza Halimurki.

Kresowe wystawy

Niezwykle bogata jest wystawa pt. „Życie społeczne Lwowa” otwarta w hallu Domu Polonii na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Czego tu nie ma! Fotografie, plany, grafiki, druki ulotne, świadectwa, dyplomy czeladnicze, klepsydry, bilety wstępu, banknoty. Nadzwyczajne wydanie „Słowa Polskiego” i „Gazety Wieczornej” z 1918 r. o proklamowaniu Niepodległości Polski, afisze, ogłoszenia, karty żywnościowe z okresu I wojny. Doskonale prezentują życie Lwowa i jego mieszkańców. Wszystkie, niektóre unikalne dziś, eksponaty pochodzą ze zbiorów Janusza Wasylkowskiego. Kto znajdzie się w Warszawie – gorąco polecam obejrzenie tej niezwykle ciekawej wystawy w Domu Polonii.

Interesującą wystawę pt. „Kresy Południowo-Wschodnie w poezji i naszej pamięci” urządziło w Kluczborku miejscowe muzeum, co godne jest odnotowania, bo świadczy o aktywności środowiska kresowego.

Lwowskie jubileusze

Jeszcze nie przebrzmiały we Lwowie echa wielkiego, obchodzonego z wielką pompą – Jubilat był tego godzien – jubileusz Taetru Polskiego, który wszystkim kojarzy się z reż. Zbyszkiem Chrzanowskim, a już mamy kolejny: 10-lecie lwowskiego Chóru „Echo”, reaktywowanego po 50-letniej przerwie w 1989 r. przez lwowskiego polonistę Władysława Łokietko. Niestety, wskrzesiciel „Echa” nie doczekał jubileuszu. Jego dzieło kontynuuje obecnie, związany z tym zespołem od lat, absolwent dyrygentury Konserwatorium Lwowskiego, Edward Kuc.

Chór, liczący ponad 30 osób, ma opracowanych 200 utworów chóralnych i 11 programów tematycznych. Daje ponad 60 koncertów rocznie w Polsce – z okazji różnych rocznic i świąt kościelnych – i ok. 20 w Archidiecezji Lwowskiej, przypominając piękno i bogactwo kulturowe pieśni polskiej – religijnej, patriotycznej i kresowej. Robicie to z pełnym zaangażowaniem, z sercem. Wasz piękny śpiew wzrusza, budzi wspomnienia, serce zaczyna bić szybciej... Dziękujemy Wam za chwile razem spędzone. Trwajcie. I odwdzięczajcie nas częściej – tego życzymy Wam i sobie z okazji jubileuszu.

Gratulacje i najlepsze życzenia przesyłamy też zespołowi „Gazety Lwowskiej” i jej szefowej, red. Bożenie Rafalskiej – z okazji wydania 200 numeru. Tak trzymajcie lwowscy żurnaliści! Kresowianie w Polsce Was cenią i kochają! Z niecierpliwością oczekują na kolejny numer „Gazety Lwowskiej”!

Sylwester we Lwowie!

Nie brecham! Jest okazja pożegnania starego roku i powitania 2000 w ukochanym Lwowie! Na prawdziwym balu sylwestrowym. A to dzięki wrocławskiemu Biuru Turystycznemu „Rodos”, które organizuje wycieczkę do byłej stolicy Galicji w dniach 29 grudnia – 2 stycznia. W cenie 630 zł noclegi w hotelu i wyżywienie. Oprócz zwiedzania miasta, jego zabytków, w Sylwestra przewidziana jest wspólna kolacja, bal i powitanie Nowego Roku w hotelu „Sputnik”. Zainteresowanym podajemy „namiary” do BT „Rodos”: Wrocław, ul. Krasińskiego 15, tel. (071) 342-13-78, fax (071) 364-09-07.

Tym, którzy zdecydują się pojechać życzymy udanej zabawy! A wszystkim naszym Czytelnikom – Wesołych Świąt i Do Siego Roku! □

Kwesta w kraju na odbudowę Cmentarza Orłąt Lwowskich i Łyczakowskiego

Zgodnie z decyzją Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji Nr DO.T-632-71/99 z dnia 1.10.1999 i 15.10.1999 r. zezwalającej na przeprowadzenie ogólnokrajowej zbiórki publicznej w dniach 30.10.99 - 2.11.1999 z przeznaczeniem zebranych środków na odbudowę Cmentarza Orłąt i Łyczakowskiego we Lwowie podajemy wykaz oddziałów i Klubów TMLiKPW, które uczestniczyły w zbiórce na cmentarzach w Polsce. Wykaz obejmuje te oddziały i Kluby, które przekazały pieniądze na konto Zarządu Głównego TMLiKPW we Wrocławiu.

Kwesty TMLiKPW

1. TMLiKPW Wrocław (w tym Fundacja „SF” 8172,15)	19293,87
2. TMLiKPW Warszawa	100000,-
3. TMLiKPW Sulików	1488,-
4. Klub Miłośników Lwowa i KPW Prudnik	2307,96
5. Klub Miłośników Lwowa i KPW (parafia Czyżowice)	76,-
6. Klub Jana III Gdańsk	6023,38
7. Oddział Miłośników Lwowa i KPW Zielona Góra	2768,50
8. Oddział Miłośników Lwowa i KPW Brzeg	5765,22
9. Oddział Miłośników Lwowa i KPW Wałbrzych	1801,65
10. Oddział Miłośników Lwowa i KPW Jelenia Góra	2170,-

11. Zespół Szkół Mechanicznych Tarnów, ul. Staszica	3448,25
12. Klub Miłośników Lwowa i KPW Kędzierzyn Koźle	542,50
13. Oddział Miłośników Lwowa i KPW Tarnów	2238,-
14. Klub Miłośników Lwowa i KPW Rabka	960,-
15. Klub Miłośników Lwowa i KPW Gorzów Wlkp. .	6690,-
16. Oddział Miłośników Lwowa i KPW Nysa	3740,-
17. Klub Miłośników Lwowa i KPW Koźuchów	200,-
18. Oddział Miłośników Lwowa i KPW Jarosław ..	2015,-
19. Oddział Miłośników Lwowa i KPW Kielce	4500,-
20. Szkoła Podst. nr 9 im. Orł. Lw., kl. M. Dąbrowskiej 6 Tarnów	935,-
21. TMLiKPW Przemysł	2628,26
22. TMLiKPW Węgliniec	1103,11
23. TMLiKPW Tychy	3500,-
24. TMLiKPW Bolesławiec	645,-
25. TMLiKPW Kłodzko	1600,-

Wszystkim organizatorom i kwestującym oraz ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowanie.

Jednocześnie informujemy, że pieniądze zostaną przekazane do Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie jako wkład naszego kresowego społeczeństwa na pokrycie chociaż w części prac jakie zostały wykonane na Cmentarzu Orłąt we Lwowie.

Poszukiwania

Przygotowuję biografię poety ZBIGNIEWA HERBERTA. Poszukuję osób, które go znały, zwłaszcza ze LWOWA, z lat szkolnych, studenckich, wojennych, powojennych, a także wszelkich związanych z nim świadectw (dokumentów, listów, zdjęć). Wiadomości proszę kierować:

Joanna Siedlecka

01-678 Warszawa, ul. Edwarda Stachury 3
tel. 8338402

Podziękowanie

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. – Zarząd Główny we Wrocławiu pragnie podziękować Firmie „Kseropol” we Wrocławiu, ul. Klęczkowska 28 (p. Krzysztofowi Stawiarzowi i Bogdanowi Dziwiszowi) za ofiarowanie kserokopiarki na potrzeby naszego Towarzystwa.

(A. K.)

Tadeusz Tomkiewicz

Wspomnienie o Zofii Orliczowej



5 listopada 1999 roku w wieku 101 lat odeszła do lepszego świata wybitna lwowianka, żołnierz obu wojen światowych, żołnierz Armii Krajowej, WIN-u, więzień polityczny. Odznaczona Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych, Krzyżem za Wojnę Polsko-Bolszewicką 1920 r., Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem Armii Krajowej, Krzyżem Drugiej Obrony Lwowa, a ponadto Krzyżem Oficerskim O.O.P. i odznaczeniami resotowymi MEN.

Zofia Orlicz z d. Krzysik urodziła się w Foča (Bośnia) 26 września 1898 roku w rodzinie prawniczej. Od 1907 roku zamieszkała wraz z rodzicami we Lwowie i od tego czasu na dobre związała się z tym miastem. Maturę uzyskała w roku 1918. Zofia wraz z braćmi włączyła się czynnie w obronę Lwowa. Podczas najazdu bolszewickiego w 1920 roku jako ochotniczka opiekowała się rannymi na dworcu Lwów-Podzamcze. Licząc się z możliwością zajęcia miasta przez bolszewików, dowództwo nielicznej załogi nakazało ewakuację. Ciężko rannych żołnierzy nie można było ewakuować, więc Pani Zofia pozostała z nimi, wiedząc jaki los czeka ją, gdyby dzikie hordy konarmii Budionnego wdarły się do miasta. Do zajęcia Lwowa nie doszło wskutek zwycięskiej ofensywy Piłsudskiego 16 sierpnia. W dniu następnym rozegrała się pod Zadwórzem krwawa bitwa kilkuset ochotników, głównie młodzieży szkolnej i studentów lwowskich, pod dowództwem kapitana Zajęczkowskiego z armią Budionnego. Większość młodzieży zginęła, a sama bitwa przeszła do historii jako Polskie Termopile. Tu na polu bitwy Zofia odnalazła ciężko rannego swego brata Franciszka Krzysika, przyczyniając się do uratowania mu życia.

Po uzyskaniu dyplomu z fizyki i matematyki na UJK we Lwowie w 1925 roku, została asystentką w Zakładzie Fizyki tegoż uniwersytetu. Równocześnie rozpoczęła wykładać fizykę i matematykę w Gimnazjum i Liceum Sióstr Notre Dame. W tymże też czasie wyszła za mąż za Władysława Orlicza, docenta matematyki na UJK (ze słynnej szkoły matematyków lwowskich), późniejszego profesora Uniwersytetu Poznańskiego.

W czasie okupacji niemieckiej zaangażowała się w tajne nauczanie, a z czasem w działalność konspiracyjną w ZWZ i AK. Najpierw pełniła funkcję łączniczki, a później zastępcy kierownika łączności Okręgu Lwowskiego AK o. Rafała Kiernickiego. Swoją służbę pełniła z wielkim poświęceniem, nie zwracając na własne bezpieczeństwo. Wyrazem tego było odznaczenie Jej Krzyżem Walecznych, a następnie Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari i awansem na podporucznika.

Po zajęciu Lwowa przez Armię Czerwoną w lipcu 1944 nastąpiło słynne „spotkanie” dowództwa Armii Krajowej Okręgu Lwowskiego z dowództwem Armii Czerwonej. Pani Zofia z racji swej funkcji miała również w nim uczestniczyć, lecz na skutek ostrego sprzeciwu o. Rafała, przeczuwającego co nastąpi, nie brała udziału. Wiemy jak

się to spotkanie skończyło – wszyscy zostali aresztowani, ojca Rafała „nagrodzono” 10 latami łagrów.

Po tych tragicznych wydarzeniach związała się z organizacją NIE, organizując od nowa struktury łączności konspiracyjnej, jednakże jesienią 1945 roku zmuszona była opuścić Lwów. W Krakowie nawiązała kontakt z byłym komendantem NIE ze Lwowa majorem A. Sawickim i rozpoczęła służbę jako sekretarka komendanta Eksterytorialnego Okręgu Lwowskiego WIN i jako szef łączności. Ponadto prywatnie udzielała lekcji fizyki i matematyki.

W 1947 roku przeniosiła się wraz z mężem do Poznania. Na przełomie lat 1947-48 nastąpiła fala aresztowań. Aresztowany major Sawicki zginął tragicznie w czasie śledztwa. 22 marca 1948 roku została aresztowana i Pani Zofia przez funkcjonariusza UB, przebranego w habit franciszkański. Śledztwo prowadzone we Wrocławiu i Warszawie było okrutne. Bicie i łamanie klatki piersiowej było powodem uszkodzenia kręgosłupa i w następstwie trwałego kalectwa. Rozprawa odbyła się w styczniu 1949 roku przed sądem wojskowym we Wrocławiu. Oskarżał prokurator por. E. Jurkiewicz, a sąd w składzie R. Abramowicz, por. M. Radecki i por. W. Pastuszko wydał wiele wyroków śmierci i długoletniego więzienia na działaczy WIN-u. Zofia Orlicz otrzymała wyrok 12-tu lat więzienia, a w wyniku „łaski” prezydenta zmniejszono do lat 8-miu. Siedziała w kobiecym więzieniu w Fordonie. W wyniku licznych starań, w tym znajomego państwa Orliczów, matematyka ze Lwowa prof. S. Mazura, który ongiś udzielał lekcji matematyki Bolesławowi Bierutowi, warunkowo została urlopowana w maju 1953 roku ze względu na stan zdrowia. W 1962 r. odbyła się rozprawa rewizyjna procesu, w wyniku której została uniewinniona.

Niestety, władza ludowa uniemożliwiła Pani Zofii podjęcie pracy w swoim zawodzie nauczyciela matematyki i fizyki, bojąc się widocznie, by nie pomniejszała roli Polzunowa czy Popowa w dziele wynalazku maszyny parowej czy radia. Jej kalectwo było podstawą do uzyskania renty inwalidzkiej. Pomimo tragicznych przeżyć Pani Zofia zachowała pogodę ducha, nigdy nie narzekała, nie skarżyła się. Zawsze powtarzała, że dla Polski należy znosić nieraz i największe cierpienia. Zawsze życzliwa dla wszystkich, pogodna i uśmiechnięta, utrzymywała żywe kontakty z b. więźniarkami Fordonu, ze Środowskiem Wierchy-Orlęta Ś.Z.Ż.A.K. w Poznaniu, którego była członkiem. Była też członkiem Towarzystwa Miłośników Lwowa i K.P.W. i żywo interesowała się wszystkim, co dotyczyło Lwowa. Cieszyła się, gdy rozpoczęto odbudowę Cmentarza Orłąt, bolała gdy beczeszczono.

Swą pogodą ducha i życzliwością czerpała z głębokiej wiary. Mieszkając w pobliżu kościoła o.o. Dominikanów w Poznaniu, prawie do ostatnich dni swego długiego życia uczestniczyła codziennie w porannej mszy św. Była tak wielkim autorytetem dla nas, b. żołnierzy AK jak i członków TMLiKPW, że byliśmy gotowi spełnić każde Jej życzenie. Nie mogliśmy spełnić tylko jednego Jej życzenia w całej rozciągłości – aby pogrzeb odbył się skromnie i bez rozgłosu. Niech Jej światła dusza wybaczy, ale jak mogło być bez rozgłosu, gdy tyle życzliwości zasiała wśród bliskich. W dniu Jej pogrzebu, w dniu Matki Boskiej Ostrobramskiej 16 listopada br. w godzinach przedpołudniowych odbyła się w kościele o.o. Dominikanów msza święta celebrowana przez ks. biskupa M. Jędraszewskiego, który też wygłosił

piękną homilię. We mszy św. jak i w pogrzebie wzięły udział sztandary akowskie, więźniów politycznych i Fordonianek, liczni bracia zakonni, przyjaciele, znajomi. O godz. 13-tej na cmentarzu Junikowskim, w asyście kompanii honorowej i orkiestry WP, licznych sztandarów i księży złożono trumnę ze szczątkami doczesnymi śp. Zofii do grobu rodzinnego. Pada salwa honorowa. Przy głuchym łoskocie werbli wieńce i kwiaty składają liczni zebrani. W imieniu Zarządu

TMLiKPW kwiaty składają pp. S. Kowalińska, H. Telesińska i K. Kubiak, w imieniu ŚZŻAK Prezes Zarządu Okręgu Wielkopolska ppłk S. Ignaszak z członkami Zarządu.

Tacy ludzie jak Zofia Orlicz nie odchodzą w niepamięć. Pozostawiony po Jej odejściu żal i ból z czasem łagodnieje i ustępuje, ale pamięć o Niej, jako wiernym obrońcy miasta „Semper Fidelis” i Polski, wybitnym pedagogu i po prostu życzliwym i dobrym człowiekiem – pozostanie. □

Zbigniew Domostłowski

Śp. Mieczysław Holz (1916-1999) – jeleniogórzanin o lwowskim rodowodzie (Słowa pożegnania)

Zostałem upoważniony do pożegnania śp. Mieczysława Holza – naszego Drogiego Miecia, przez Uczestników znanych imprez w Kotlinie Jeleniogórskiej „W niedzielę nie ma nas w domu”, a także przez przewodniczącego Związku Kombatantów i byłych Więźniów Politycznych płk. mgra Edwarda Jakubowskiego – ażeby tu nad grobem pożegnać Go w tej jego już ostatniej wyprawie do wieczności. Szczęśliwym zrządzeniem losu było mi danym od blisko 30 lat związać się z zaprzyjaźnioną i zwartą grupą biorącą od lat udział w tych znanych na całą Polskę cyklach imprez turystycznych, które od kilku lat objęły też wolne soboty.

Trudno wyzbyć się osobistego wątku, wszak znaleźliśmy się tyle lat, a spośród odbytych około 2300 wycieczek górskich, podgórskich i nizinnych w wielu z nich uczestniczyłem, a przewinięło się przez nie około 50 000 osób. Trudno nie wspomnieć o Jego lwowskim rodowodzie. Mieczysław Holz urodził się we Lwowie w dniu 17 października 1916 roku, były to jeszcze czasy przynależności Lwowa i Galicji do Monarchii Austro-Węgierskiej – ale czuć było już zaranie niepodległości. W rozwoju historii i kultury Lwowa brały udział liczne narodowości, ale aż cisną się słowa Marszałka Józefa Piłsudskiego: „Lwów, któreż serce polskie nie drgnie na to miano”. Trudno też nie przytoczyć fragmentów ze Strof Lwowskich Mariana Hemara:

*My jesteśmy z polskiej Florencji,
Z miasta siedmiu pagórków fiesolskich,
Z miasta muzyki, inteligencji
I najpiękniejszych kobiet polskich.
Z miasta talentów, ideałów,
Temperamentów i błyskawic
I teatru i gwiazd i zapałów
I tej „Panoramy Raclawic”.*

We Lwowie spędził prawie 30 lat swego życia, uczęszczając do szkoły, ucząc się zawodu. Posiadał duże uzdolnienia techniczne i rachunkowe, tak, że specjalizował się w buchalterii. Był zatrudniony m.in. w Elektrowni Miejskiej we Lwowie. Pokochał też nie tylko pagórki lwowskie, ale pasmo Czarnohory, wspominał szum Prutu i Czeremoszu. Brał udział w wojnie obronnej w 1939 roku, z tego tytułu otrzymał później zarówno medal jak i krzyż, a także uprawnienia kombatanckie. Ale w swojej skromności nie eksponował swojej przeszłości i zasług wojennych.

W wyniku wydarzeń drugiej wojny światowej, wiadomych ustaleń jałtańskich, gdzie o zgodę Polaków nie pytano, w ramach ekspatriacji, która nosiła charakter przymusowego wysiedlenia ludności polskiej, był zmuszony opuścić Lwów, ażeby w Jeleniej Górze znaleźć na dalsze lata życia swą drugą ojczyznę, gdyż ojcowizna pozostała na ziemiach opuszczonych. Pracował w Zjednoczeniu Przemysłu Drzewnego, Centrali Handlowej Przemysłu, ale najdłużej związał się z Narodowym Bankiem Polskim. Pracował też społecznie, ale najsilniej związał się z Polskim Towarzystwem Turystyczno-Krajoznawczym. Złotymi zgłoszkami zapisał się jako animator, organizator i niezastąpiony instruktor przewodników w ramach znanych dziś w całym kraju imprez turystycznych „W niedzielę nie ma nas w domu”. To hasło z czasem się nieco zdezaktualizowało, gdyż wycieczki odbywa-

ły się także w dni świąteczne, a od kilku lat również w wolne soboty. Celem tych wycieczek, dostosowanych do możliwości zarówno mieszkańców Jeleniej Góry, jak i okolicznych miejscowości, rekrutujących się ze wszystkich środowisk społecznych i zawodowych, było także wciągnięcie indywidualnych wczasowiczów, walczących z nudą i monotonią, wszak nieraz mieli tylko zapewnione łóżko i wikt. Miecio jak własną kieszeń znał nie tylko uroczę zakątki Karkonoszy, ale również Gór Izerskich, Rudaw Janowickich czy Gór Kaczawskich. Wiedział gdzie, kiedy i co należy pokazać.

A więc wiosna to przede wszystkim krokusy w Szklarskiej Porębie czy Górzyncu, obowiązkowa wycieczka w Góry Kaczawskie, gdzie w siodelku między Barańcem i Skopcem, w podmokłym śnieżynowym gaju podziwialiśmy ogromne naturalne stanowisko śnieżycy wiosennej. Warto też było zobaczyć karkonoskie wodospady również wiosną, gdy zbierze się woda i z hukiem spada na ziemię. Bogactwem flory wapieniolubnej witały nas Góry Kaczawskie, bogate w charakterystyczne rośliny późnej wiosny i wczesnego lata. W lecie asortyment był bardzo urozmaicony, Miecio wiedział gdzie znaleźć można jakiś rzadszy kwiatek, ciekawy głaz, gdzie możemy oglądać piękne panoramy czy ślady dawnych budowli. Zwykle początek lipca był przeznaczony na dłuższą wyprawę w Śnieżne Kotły, nazywane inaczej ogrodem Karkonoszy. I tak czas mijał, a upływ jego był nieubłagany. Mijały kolejne jubileusze, 25 lecie w 1991 roku, trzydziestolecie w 1996 oraz ostatnie niezapomniane pożegnalne spotkanie w Michałowicach w dniu 11 listopada 1998 roku. Wprawdzie ktoś z miejscowych uczestników ukuł wiersz „Mieciu, Mieciu przyjacielu nasz – Ty w sobie tyle energii masz” – ale jakoś czuliśmy, że zamyka się pewna epoka.



Mieczysław Holz (siedzi w środku) w otoczeniu grupy wędrowców na jednej z licznych wycieczek

Chciałem podnieść jego wyjątkową, nie tylko wspomnianą już skromność (dokonaniami, odznaczeniami nie chwalił się), ale też wyjątkową bezinteresowność i życzliwość. Są mu szczególnie wdzięczni mieszkańcy regionu jeleniogórskiego, uważał bowiem, że im, mieszkańcom jednego z najpiękniejszych zakątków Polski, też coś się należy i warto im niejedno pokazać. A pokazał wyrażając się językiem poezji biblijnej i wysokość nieba i szerokość ziemi i przepaść i mądrość...

Nie omijaliśmy też kościołów i kaplic, były i Pasterka w Samotni (odbyła się bez zakłóceń, ale nie obeszło się bez komentarza WOPu) i Msze św. w Dąbrowicy i doroczne odpusty w dniu św. Wawrzyńca na Śnieżce w dniu 10 sierpnia, którego od roku 1981 przewodnicy sudeccy publicznie obrali sobie za patrona i obchodzili właśnie w tym dniu swoje święto.

Była to więc dusza z natury swej chrześcijańska, która szukała Boga na świętych górach, jak głosi Psalmista, i zdążyła schodami prowadzącymi do nieba.

Odszedł od nas, ale nie całkowicie, albowiem żyć będzie w naszych ciepłych wspomnieniach, a niezależnie od tego na trwałe zapisał się w historii regionu jako jeleniogórzanin o lwowskim rodowodzie. □

Bogdan Skotnicki

Ku czci i pamięci

„Homo toties moritur, quoties amittit suos”

Miarą wszystkich rzeczy jest CZŁOWIEK, a JEGO najszlachetniejszym klejnotem jest potęga umysłu i serca!

Takim CZŁOWIEKIEM był śp. Dr Zdzisław Lubicz-Ojrzyński, który swój umysł i serce, całego siebie bez reszty poświęcił cichej, skromnej i żmudnej pracy w imię utrwalenia wierniej pamięci Polaków o KRESACH, o NAJDROŻSZYM SEMPER FIDELIS LWOWIE, o DZIECIACH-ORLĄTKACH i o OBROŃCACH poległych w obronie Niepodległości OJCZYZNY i Wolności Ukochanego MIASTA!

Vulnerant omnes – ultima necat!
to godziny, minuty, sekundy na
zegarze życiowym człowieka!

„Mors ultima linea rerum” – ale śmierć nie jest kresem życia a tylko pomostem do życia wiecznego, jakie BÓG zapewnił tym, którzy w Niego wierzą!

A śp. Dr Zdzisław Lubicz-Ojrzyński zawsze był wierny Bogu-Honorowi-Ojczyźnie, ukochanemu Miastu, najświętszym, najwyż-

szym ideałom! Był STRAŻNIKIEM NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI!!!

Chyląc czoła przed Majestatem Śmierci
zapewniamy Ciebie
Doktorze Zdzisławie Lubicz-Ojrzyński
o naszej trwałej Czci i Pamięci!

Errata do Nr. 5 (52) 1999 r.

Jest	Ma być
str. 14 podpis pod zdjęciem Związek Hellerczyków	Związek Hallerczyków
Okładka – spis treści po angielsku	
Z. Grata – Bordeland Madonnas at Brzeg	Z. Grata – „REMEMBRANCE MEMORIAL” UNVEILED AT BRZEG
w artykule str. 15	bełzka bełska
Zdjęcie przedstawia siostrę Aldony Soltysówniej – Gertrudę (sprostował Tadeusz Kukiz)	
Proszę Lwowiankę z Lewandówki z Wrocławia o podanie adresu – list z wyjaśnieniami autora artykułu prześlę po otrzymaniu adresu.	(A. K.)

Contents

Christmas Wishes	i
M. Hemar – The Lwów Christmas Carol	1
D. Śliwińska – Christmas recollections	1
J. Masior – Meditations upon the of the passing century	3
J. Masior, J.W. – The Lwów Christmas Carol upon the end of century	5
S. Srokowski – Sorrowfuk returns	6
S. Scheller – Assimilation of immigratory population in Lwów. Part II – Germans	7
T. Kukiz – From the past of the Radziechów District	10
T. Łaskiewicz – My war-time education	12
J. Duda – Birth of the Lwów Football Team "POGOŃ"	15
A. Więcek – Jakub Potocki, creator of teh Foundation for Research into Cancer and Tuberculosis, patron of arts, honorary citizen of the town Brzeżany	16
W. Skibiński – Pogrom of hamlet Parośle in Volhynia by Ukrainian nationalists	18
F. Grodecka – Recollections of our exile in Kazakhstan (cont.)	18
R. Wójcicki – Sądowa Wisznia – a small town just behind our present border	21
CELEBRATIONS AT LWÓW LOVERS' SOCIETY DIVISIONS AND CLUBS	
A. Janicki – 60th anniversary of September 1939	23
S. Rakowski – "South-East Borderland in poetry and memory" – an exhibition at the Dzierżoń Museum at Kluczbork	24
J. Sibiga – The rise of South-East Macroregion of Lwów and South-East Borderland Lovers' Society	25
XIth Conference of South-East Macroregion held at Tarnów on 6th November 1999	29
D. Śliwińska – Xth anniversary of Bydgoszcz-Toruń Division of the Society held in Bydgoszcz	30
Xth anniversary of Silesian Division of the Society held in Katowice	32
Xth anniversary of Regional Club of the Society held at Kępno	33
B. Mielcarek – Lwów always faithful	34
Z. Grata – Borderland Madonnas at Brzeg	35
B. Charewicz-Wiśnička – Borderland during the war: Volhynia – Lwów – Podolia	36

By a sailing boat from Przemyśl to Hel (reprint from the quarterly "Polish Tourist" of 1931)	38
H. Leska – A recollection of Franciszek Leski (1886-1959) ...	40
Polish children from Ukraine on vacation in Gniezno (reprint from "Transformations on the Piast Route")	41
From Gniezno to Strzelczyska and Lwów (reprint from "Our Transformations")	41
LETTERS TO THE EDITORIAL BOARD	
A letter from the Rzeszów Division of the Society to His Eminence Primate Józef Glemp	42
A letter from Andrzej Konoplicki to the Editorial Board of "Semper Fidelis"	43
Z. Kratochwil – A forgotten Lwów song	44
A letter from the President of Silesian Division of the Society Mr Lesław Hawling to the Neadquarters of the Society in Wrocław	44
A letter from Mr Andrzej Przewoźnik to the President of the Society in Wrocław	45
A letter from Izabela, Mieczysław and Roman de Teisseyre to the President of the Society in Wrocław	45
A letter from Przemyśl-Twardogóra-Goszcz to the President of the Society in Wrocław	45
A letter from the Gniezno Division of the Society to the Scout Troop Headquarters in Gniezno	45
The Lwów streets in the interwar period	46
YESTERDAY, TODAY, TOMORROW	
Z. Umański – Borderland diary	47
Colection for reconstruction of the Łyczakowski and Lwów Eaglets Cemetery	50
Search for missing persons	50
Acknowledgements	50
OBITUARY COLUMN	
T. Tomkiewicz – Recollection of Mrs Zofia Orliczowa	51
Z. Domosławski – The late Mieczysław Holz (1916-1999), the Jelenia Góra citizen of Lwów origin	51
B. Skotnicki – In memory of the late dr Zdzisław Lubicz-Ojrzyński	53
Errata to 5 (52), 1999	53

Lista ofiarodawców w m-cu X-XI 1999 r. (w zł)

1. Alicja Kafarska, Warszawa, sztandar	70.-	24. Kazimierz Judzki, Trzebień-Zdrój	20.-
2. Zofia Krzyśków, Bytom	20.-	25. Juliusz Petrus, Rzeszów	50.-
3. Danuta Siera, Warszawa	10.-	26. Jacek Mroszczyk, Warszawa	42.-
4. Mieczysław Wilczyński, Katowice	40.-	27. Kornelia Szankowska, Gliwice	30.-
5. Jerzy Punzet, Kraków, Cm. Orl. Lw.	40.-	28. Tadeusz Tomkiewicz, Poznań	20.-
6. Danuta Markiewicz, Trzebnica	20.-	29. Karol Kufłowski, Olsztyn, pomoc dzieciom	165.-
7. Stanisław Łoś, Wilczyn Leśny	20.-	30. Stanisław Mierziński, Gliwice	100.-
8. Władysław Ostrowski, Zamość,	50.-	31. Antoni Opała, Bolesławiec	100.-
Polskie Radio Lwów	50.-	32. Saturnin Wasilewski, Gostyń	26.-
9. Adam Pobóg Spolski, Gliwice	65.-	33. Mieczysław Tokarski, Włodawa	20.-
10. Antonina Obara, Polanica Zdrój	20.-	34. Zygmunt Karpów, Szczecin, Cm. Orl. Lw.	50.-
11. Zbigniew Kubas, Brzozów	40.-	35. Artur Hutnikiewicz, Toruń	500.-
12. Bronisław Więckowski, Kobyłka	100.-	36. Maria Żurowska-Gangi, Toruń	10.-
13. Marian Gubrynowicz, Sopot	40.-	37. Bożenna Sobolewska, Białystok, Cm. Orl. Lw.	50.-
14. Józefa Nawicka, Koźuchów	20.-	38. Śp. Ludwik Grajewski, Wrocław, Cm. Orl. Lw., wplaca p. Mieczysław Teisseyre, W-w	8500.-
15. Adam Nikosiewicz, Dębica, Cm. Orl. Lw.	20.-	39. Maria i Henryk Karski, Oława	100.-
16. TMLiKPW Klub Kędzierzyn Koźle	800.-	40. Izabela Kantorska, Toruń, Cm. Orl. Lw.	50.-
17. Henryk Piotrkowski, Kraków	10.-	41. Zbigniew Stanisław Bończyk, Warszawa	100.-
18. Stefan Przyszlak, Twardawa	10.-	42. Dr. T. Z. Błazyński, Anglia, Cm. Orl. Lw.	16.-
19. Stanisław Lewek, Sanok	10.-	43. Michalina Olszańska, Wrocław, Gwiazdka	60.-
20. Leszek Smoleński, Bytom	40.-	44. Antoni Hrycek, Katowice,	50.-
21. Kazimierz Dobraczyński, Radom	30.-	kościół w Przemyslanach	50.-
22. Janina Blum, Wrocław	40.-		
23. Joanna Ciechanowska, Gliwice	26.-		

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Od Wydawcy

Rada Fundatorów i Zarząd Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” składa Szanownym Czytelnikom, wszystkim Kresowianom, Sympatykom oraz Rodakom za wschodnią granicą najserdeczniejsze życzenia Świąteczne i Noworoczne: zdrowia, radości i wszelkiej pomyślności w roku 2000-nym.

– Na tysiąclecie Wrocławia Fundacja przygotowuje wydanie albumu-przewodnika pt. „Śladami Lwowa i Kresów we Wrocławiu”. Będzie to praca zbiorowa dokumentująca wkład kultury i nauki wniesionej do Wrocławia przez Lwowian i Kresowian. Ogłaszamy przedpłatę w wys. 50 zł na ten bogaty treścią i ilustracjami album.

– W dalszym ciągu przyjmujemy prenumeraty na 2000 rok:

dwumiesięcznik „Semper Fidelis”	24 zł
dwutygodnik „Gazeta Lwowska”	24 zł
dwutygodnik „Dziennik Kijowski”	12 zł
kwartalnik „Zeszyty Tlumackie”	16 zł.

– Z nowości wydawniczych Fundacji polecamy:

– Kalendarz na 2000 rok, w którym jest prezentowany cykl o pomnikach lwowskich oparty na unikalnych zdjęciach Lwowa.

– Drugie poszerzone wydanie katalogu wystawy pt. „Cmentarz Orłąt Lwowskich – Historia – Dewastacja – Stan obecny”. Równocześnie przypominamy, że wystawa wraz z makietą „wędruje” po Oddziałach TMLiKPW po całym kraju. Zainteresowanych prosimy o wcześniejsze zarezerwowanie terminu wypożyczenia wystawy w 2000 roku.

– Książkę autorstwa Oktawii Grząskiej pt. „Byłam więźniarką NKWD” opisującą gehennę więźniów w Zamarstynowie i Brygidkach we Lwowie.

Pozostałe wydawnictwa kresowe, ogłaszane w poprzednich numerach „SF” można zakupić zamawiając pisemnie wybrane pozycje na adres Fundacji Kresowej „SF”, 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33.

Trwa w dalszym ciągu zbiórka pieniędzy na pomoc świąteczną dla Polaków we Lwowie i Stanisławowie. Apel o tę pomoc ukazał się w programie TV Polonia, w gazetach wrocławskich i w ostatnim numerze „SF”. Ponawiamy naszą prośbę o wpłaty na konto bankowe Fundacji Kresowej „SF” – PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111 z dopiskiem „Świąteczna Pomoc”. Dziękujemy bardzo za dotychczasowy odzew.

Dyrektor
Fundacji Kresowej „SF”
Danuta Tabińska-Juhasz